

De. II. 1.
TOM CCLXIII.

ROK 66.

SERYA 9.

ZESZYT 789.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

WRZESIEŃ.

1906.

TOM III. — ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1906.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. PROBLEMAT AGRARNY, — przez <i>Wł. Studnickiego</i>	417
2. PAMIĘTNIK, — przez <i>Mariona</i>	446
3. SOKOLNICKI I KRUKOWIECKI, — przez <i>Aleksandra Kraushara</i>	479
4. IMPROWIZACYA ADAMA MICKIEWICZA, — przez <i>Artura Górskiego</i>	511
5. RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	554
6. ROZMAITOŚCI (<i>Tempus edax?</i>), — przez <i>M. M.</i>	574
7. ALEKSANDER REMBOWSKI, — przez <i>Z. D.</i>	581
8. PIŚMIENICTWO:	
WARSCHAUER: Der polnische Reichstag von 1603 in der historischen Ueberlieferung und in der Darstellung des Schillerschen Demetrius. Vortrag gehalten in der öffentlichen Sitzung der Historischen Gesellschaft für die Provinz Posen. 1905, — przez <i>A. R.</i>	586
MICHAŁ RAWITA-WITANOWSKI: Kłodawa i jej okolice pod względem historyczno - ludoznawczym, — przez <i>d-ra Emmanuela Świejkowskiego</i>	589
MARYA KONOPNICKA: Głosy ciszy, — przez <i>Z. D.</i>	592
TADEUSZ JAROSZYŃSKI: Miasto. Powieść, — przez <i>Z. D.</i>	595
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Chwila obecna. — Wzrost anarchii i przygotowanie gruntu dla rewolucyi społecznej. — Towarzystwo opieki nad dziećmi. — Szkoły, zakładane przez Macierz Polską	597
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	611

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 9.



De. II. 1.

PROBLEMAT AGRARNY

w guberniach wielkorosyjskich i u nas.

Pod znakiem kwestyi agrarnej odbywać się będzie i odbywa się rewolucya rosyjska, jak pod znakiem kwestyi robotniczej odbywała się rewolucya 1848 r. we Francyi.

Ruch polityczny jakkolwiek nie jest w ogromnej większości wypadków wywołany czynnikami gospodarczeni, jakkolwiek ma częstokroć cele nie gospodarczej natury, jednak wysuwa cele gospodarcze popularne dla mas, w zamiarze pozyskania ich siły fizycznej dla swego spotęgowania. Ruch polityczny staje się tem silniejszy, im bardziej niezadowolone ze swego bytu gospodarczego a posiadające wiarę w przeobrażenie go masy, doń się przyłączają. Stąd kwestya *ziemi* weszła na porządek dzienny współczesnego kryzysu państwowego w Rosyi, gdy oświecone warstwy społeczeństwa rosyjskiego wysunęły sprawy wolności politycznej.

„Ziemia i wolność”—dawne hasło rewolucjonistów rosyjskich z 5-go i 6-go dziesięciolecia, dziś staje się sztandarem Izby państwowej rosyjskiej. W Rosyi z jej 86% ludności wiejskiej musiała sprawa ziemi wejść na plan główny w pierwszej jej reprezentacyi i wejść może z uszczerbkiem sprawy jej wolności, jakkolwiek tej sprawie gwooli podjęta była przez konst. dem. rosyjskich.

Głody peryodyczne w Rosyi i nędza chroniczna chłopca rosyjskiego dostarczała opozycyi rosyjskiej materyału do oskarżeń rządu. Rzecz więc naturalna, że opozycya rosyjska musiała w okresie kryzysu politycznego Rosyi postawić te sprawy na porządku dziennym. Głód 1905 i 1906 r. zrobił ją bardziej aktualną jeszcze. Lecz głośniej niż głód wołały o nią rozruchy agrarne.

W 1905 r. gdy szereg porażek armii rosyjskiej zachwiał powagę rządu, rozpoczęło się wrzenie w Rosyi, nie noszące w wielu

wypadkach charakteru politycznego. Różne grupy ludności, nie oglądając się na rząd i normy prawne, usiłowały zadość uczynić swym wymaganiom drogą strejków i rozruchów. Walka ekonomiczna, której objawy ulegały presji państwa policyjnego wystąpiła w szanotaniach się, silnem reagowaniu na wszelkie prawdziwe lub urojone krzywdy. Obok strejków po miastach, rozpoczęły się po wsiach rozruchy agrarne. Przyczem na gruncie głodów, trapiących wieś rosyjską, na gruncie pojęć, zrodzonych przez gminną własność (obszczyzny) ziemi w Rosyi, rozruchy agrarne w guberniach rdzennie rosyjskich nabrały specyficznego charakteru. W powiatach Dmitriewskim, Siewskim i Głuchowskim (gub. Niżnielowogrodzkiej) zrujnowani gospodarczo, głodni chłopi rzucili się na dwory i gospodarstwa wielkich właścicieli. Na zapytanie władz: „czegożście chcieli?“ odpowiadali chłopi: „chcieliśmy jeść!“ Gdy chłopi poraz pierwszy przyszli do Dołbenkińskiego dworu, poprosili najpierw, by im dano jeść. Rabunek i palenie dworów, zjawilo się samo przez się, jako wyraz instynktów i uczuć tłumu chłopów rosyjskich. Grunt był podatny do rozruchów. W nocy 27 (15) lutego 1905 r. przyszli włościanie na folwark kupca Czerniczina, rozbili zamki w składach i wywieźli owies — podaje korespondent Ruskich Wiedomosti, Maksimow. Wypadek ten był niby hasłem do rabunku innych większych gospodarstw. W ciągu 5 dni zrabowano ich dziesiątki całe na przestrzeni 150 wiorst kwadratowych. Częstość przychodziła najpierw niewielka grupa dla obejrzenia dworu, na który napaść miano, komunikowano nawet, że chłopi przyjdą któregoś dnia. W dzień wyznaczony zapalano wiechy słomiane w pobliżu dworu, na sygnał ten zjeżdżali się chłopi, przybywało wozów coraz więcej, od 500 — 700 niekiedy. Zebrawszy się chłopi napadali na dwór, podchodząc, strzelali kilkakrotnie ze strzelb. Po wyłamaniu zamków w śpichrzach, napełniano zbożem wozy, rabowano przeważnie zboże, inne produkty rzadko, oprócz śpichlerzy nie ruszano więc często zamków u innych budowli. W Prilepach chłopi zrabowawszy zboże, nie tknęli cukrowni, u Piotrkowskiego gorzelni. Ale wódka i podniecenie tłumnym rabunkiem wywoływały często orgie niszczenia — palono, niszczone wszystko: zdemolowano i spalono dwór w Głumazdynie wraz z gorzelnią, gorzelnię Chinelską, cukrownię Michałowską.

W początkach marca rozpoczęły się rozruchy agrarne w powiecie Trubczewskim. Zaczęto od wyrąbywania lasów wielkiej własności ziemskiej, a wieczorem 14 (2) marca i rano 15 (3) zdemolowano 4 gospodarcki. Wszędzie rozpoczynano od rabunku zbo-

ża, wywożono, następnie karm dla bydła, a potem bito okna, rozwalano piece, łamano meble, niszczone książki, papiery, pościel—wogóle wszystko, co się zniszczyć dało.

W wielu miejscowościach chłopci realizowali swe pretensje w sprawach oddanych do sądu lub spornych. W powiecie Bałaszewskim gub. Saratowskiej chłopci wsi Romanowskiej wywieźli siano skoszone i wyrabali las, twierdząc, iż podług posiadanych przez nich dokumentów las i łąka do nich należą. W parę tygodni potem wyrokiem saratowskiego sądu okręgowego przyznano im ziemię sporną istotnie. W warunkach normalnych chłopci czekali by wyroku sądowego, w podnieceniu okresu wojny i przeobrażeń, w okresie osłabienia autorytetu państwa, działali na własną rękę. Analogicznych wypadków było dużo. W marcu, w powiecie Charkowskim włościanie wyrabali las p. Tłota, jako rosnący na gruncie spornym, wkrótce przyszli jednak do porozumienia z właścicielem; ten ostatni miał na koszt własny wynająć geometrę dla wymierzenia gruntów spornych, obowiązując się zwrócić ziemię, jeżeli się okaże własnością chłopów; do pilnowania zaś zrąbanych spornych drzew postawiono straż wspólną.

Wypadki podobne nie były negacją prawa własności prywatnej, ale ostrą formą sporu o nią: ostrość ta mówi o naprężeniu żądzy własności.

Poza granicami Wielkorosyi i Ukrainy rozruchy agrarne odbywały się na wiosnę 1905 r., lecz nosiły inny charakter. W gub. Witebskiej włościanie wyrabali lasy tych właścicieli ziemskich, którzy zbyt skwapliwie ściągali odszkodowania za wszelkie szkody leśne. W gub. Nadbałtyckich, gdzie rozruchy przybrały rozmiary tak znaczne, były one, co się tyczy samej sprawy agrarnej, ruchem strejkowym robotników rolnych i wyrąbywaniem lasów. W Królestwie odbywał się ruch strejkowy robotników rolnych.

Zabieranie ziemi wielkich właścicieli ziemskich, odbywało się tylko na terenie wielkorosyjskim. W powiecie Buzułuckim chłopci, którzy otrzymali ziemię przy uwłaszczeniu (t. zw. darstwieniiki) zabrali majątek ziemski właściciela, gdy ten sprzedał go w inne ręce i podzielili ziemię według „dusz,“ t. j. cyfry ludności męskiej.

W gub. Saratowskiej jeden właściciel, którego ziemia otaczała wokół wieś sąsiedzką, tamował przejazd i nakładał na chłopów często kary pieniężne. Gromada postanowiła odebrać mu ziemię i rozdzielić ją pomiędzy chłopami.

W maju, w powiecie Lipienickim włościanie posadzili właściciela wsi Stizakowo do powozu i kazali mu wyjechać, dokąd mu się żywnie podoba, oznajmiając, iż ziemię zabierają sobie. W pow.

Borysowskim był również wypadek zaorania pól właściciela większej posiadłości przez gromadę chłopską i rozdania gruntów chłopom. „Syn Ocieczestwa,“ organ który propagował „czornyj pieriediel“ (podział gruntów) podaje, że były wypadki zajęcia gruntów w powiatach: Pskowskim, Siergackim, Czystopolskim, Boguroślawskim, Mikołajewskim, Syzrańskim, Nowoczerkaskim, Rostowskim, Symferopolskim, Dnieprowskim i Kiszyniowskim. Możliwe, że wiele wypadków zwykłych, sąsiedzkich sporów o ziemię, zaliczono tu do świadomej akcji chłopów o podział gruntów. Były miejscowości, w których włościanie pod wpływem rozsiewanych pogłosek o nadziale gruntów przestali dzierżawić zwykle dzierżawioną ziemię. W podnieconej atmosferze zaostrzył się również spór o cenę dzierżawy.

Rozruchy agrarne jesienią 1905 r. były o wiele bardziej rozpowszechnione i o wiele silniejsze niż na wiosnę. Nieurodzaj objął 11 rolniczych gubernij Rosyi: Tulska, Riazańską, Penzeńską, Symbirską, Niżegorodzką, Kazańską, Orłowską, Kurską, Tambowską, Woroneską i Saratowską. Zamiast przeciętnych w tych guberniach 491 mil. pudów zebrano 310. Ucierpiały szczególnie gub. Tulska, Riazańską, Penzeńską, Woroneską i Saratowską, w których otrzymano mniej lub około $\frac{1}{2}$ zbioru przeciętnego. Dodać do tego należy traf, że skutkiem posuchy nastąpił nieurodzaj ogólny w Rosyi.

Pierwszemi symptomatami rozruchów i konfliktów, powstałych na gruncie nieurodzaju, było wykoszenie łąk dworskich. U hr. Szeremetjewa włościanie skosili zielony owies na karm dla swego bydła. W powiecie Bobrowskim były wypadki samowolnego korzystania gromady z łąk, podług taksy przez nią ustanowionej. Te i tym podobne rozruchy nie nosiły jeszcze charakteru negacyi wielkiej własności; wdzierali się w jej sferę chłopci pobudzani nadzwyczajnym nieurodzajem. Po zbiorach ruch chłopski przybrał charakter bardziej groźny. W ostatnich dniach czerwea chłopci zniszczyli i spalili dwa dwory szlacheckie w pow. Saratowskim. W powiatach Bałaszowskim, Atkarskim, Pietrowskim i Wierchniednieprowskim, zaraz po ukończeniu żniwa, włościanie zaczęły zwozić zboże dworskie do swych śpichrzy. W pow. Atkarskim, Bielgorodzkiem i Dmitriewskim, gdzie były rozruchy na wiosnę, włościanie palili zboże dworskie zebrane w kopy. Był to akt jakiejś dziwnej rozpacz i złości: „nie będę miał zboża, będę głodny, niech nie mają i inni;“ ten syllogizm barbarzyński — oto pojęcie na jakie zdobyli się chłopci gub. Saratowskiej i Samarskiej.

Głód wstępował w swe prawa, administracya zaś w wielu miejscowościach zamiast przyjść z pomocą, czyniła chłopom tru-

dnosci w korzystaniu z magazynów zapasowych. Jesienią rozpoczęła się rabunek dworów, rabowano też przedewszystkiem zboże. Częstość owego zabierania zboża odbywała się na mocy uchwał gminnych. W pow. Pietrowskim, we wsi Klucze, rabunek majątku Jerinołajewa odbywał się na mocy uchwały gminnej: „całe zboże w jego śpichrzach podzielić postanowiliśmy między poszcząciami wsiami, gdyż nie posiadamy środków do życia, ani rachujemy na pomoc rządu.“

Ruch ten nie był z natury swej skierowany przeciw tym lub owym typom własności ziemskiej, nosił charakter ruchu wywołanego potrzebą znalezienia środków spożycia, głodem. Włościanie napadali nie tylko na dwory, ale na stacje kolei żelaznej, na których były zapasy zboża np. w gub. Saratowskiej na stacjach: Zonachow, Turkow, Romanowka, Żernowka.

Głody w Rosyi — zjawisko to dosyć zwykłe. W 1891, 1892, 1897 przeżywała Rosya głody, lecz gdy wówczas chłop rosyjski znosił je biernie, a najenergicznymi objawami jego protestu było rzucanie się pod pociąg, wywożący zboże z gubernii dotkniętej głodem, w okresie rewolucyi zmieniła się psychologia tego chłopca, uległ on ogólnemu prądowi walki.

Przegrana wojna pozbawiła go wiary we wszechmoc rządu, walka z rządem, której odgłosy dolatywały doń, podniecała. Partya socyalistów-rewolucyonistów, t. zw. S. R. znalazła grunt odpowiedni dla swej akcji w chłopstwie rosyjskiem. W swych koncepcjach ekonomicznych, partya ta jest jakąś mieszaniną socyalizmu zachodnio-europejskiego z ideologią rosyjskiej „obszczyzny“ gminnego władania ziemią. Podział generalny gruntów — „Czornyj pieriediel“, przeniesienie zasad „obszczyzny“ na całe terytorium państwowe, było to dawnym ideałem partyi t. zw. „*Ziemli i woli*“ z przed lat 30-tu, oraz jej następców: „*Czarnego pieriedielu*“ i „*Narodnej woli*“ z 9-go lat dziesiątka. Ideową spuściznę partyi tych odziedziczyła S. R. Terrorystyczna działalność S. R. zaznaczona jest takimi punktami jak zabójstwo Plehwego, ks. Sergiusza i t. p. Propaganda S. R. natrafiając we wsi wielkorosyjskiej na sferę pojęć i ideałów powstała z gruntu „obszczyzny“, wywoływać musiała skutek doraźny. Pod wpływem propagandy S. R. chłopci w gub. Kurskiej, Saratowskiej i Samarskiej jesienią 1906 r. palą dwory i zabierają ziemię. Palenie dworów motywowali S. R. tem, że gdyby je pozostawić w całości, właściciel ziemski, który opuścił wieś podczas rozruchów, będzie mógł niebawem wrócić, odbudowanie zaś dworu spalonego wymagać będzie około 2 lat, gdy włościanie będą już faktycznymi panami ziemi, którą podziela między siebie.

Palono dwór i zabudowania gospodarskie również ze względów strategicznych; w tych bowiem jedynie budowlach mogliby się utrzymać kozacy z większem bezpieczeństwem niż po chatach włościańskich. Ten wzgląd oczywiście wysuwany był przez prasę sympatyzującą z rozruchami, nie zaś przez włościan, zgoła nie pożąujących mieć kozaków po swych chatach.

Podniecająco oddziałał również na chłopów strejk kolejowy w październiku 1905 r. „Gdy wybuchł strejk kolejowy—pisze Maksimow w „Synie Ojczyzny”—chłopi wyrzekli: baczność! Zaczęli się tłumnie schodzić do stacyj na kolejach zwożących delegatów wszystkich linii drogi Riazańsko-Uralskiej do Saratowa, wypytywali delegatów, co się po miastach dzieje i w wielkiem podnieceniu wracali do domu. Od 12 (25) października rozlewa się nowa fala ruchów agrarnych po całej gub. Saratowskiej. Podług danych oficjalnych spalono i obrabowano w tej gubernii 272 dwory. Ruch rozpowszechnił się następnie w całej niemal Samarskiej, Tambowskiej i Kurskiej gubernii — drugim samodzielnym ogniskiem zamieszek. Spalono lub zrabowano podług obliczeń oficjalnych 2000 dworów, straty wyniosły 29 mil. rubli.

Zwolennicy podziału gruntów mają skłonność do przedstawiania wszelkich konfliktów między chłopami a wielką własnością ziemską, jako objawu rozruchów agrarnych, które zdaniem ich rozlały się na całym terytorjum państwa, wywołane pragnieniem nowego nadziału. Tak jednak nie jest, chociaż sporadyczne wypadki na wzór wielkorosyjski, zdarzały się i w innych miejscowościach, prócz gub. Charkowskiej i Czernihowskiej; lecz były one wywołane szaloną agitacją lub też wynikały na tle długotrwałego konfliktu między danym właścicielem ziemskim a chłopami.

Tylko w gub. Saratowskiej, Tambowskiej, Czernihowskiej i Kurskiej włościanie dzielili między siebie ziemię szlachecką. Tam też uważać należy rozruchy za objaw dążności chłopów do przekształcenia stosunków agrarnych.

Jak tłumiono rozruchy agrarne? W sposób równie, a nawet jeszcze bardziej, barbarzyński niż się one odbywały. W jednej tylko wsi (w gub. Saratowskiej) chłopci batożyli właściciela ziemskiego, a chłosta masowa mężczyzn i kobiet wsi całej, trzymanie całemi godzinami tłumów na klęczkach, strzelanie do zgromadzonych włościan—oto zwykłe sposoby, któremi tłumiono rozruchy. Gazety rosyjskie donosiły, iż gubernator tambowski Bohdanowicz radził sprawnikowi Borysoglebskiemu i Zamarskiemu: „Mniej areztujecie, więcej rozstrzelujecie.“ Ów Zamarskij uczył asesorów policji (stanowój przistaw): „Porzućcie wszelkie przekonywania,

im więcej będzie u was zabitych, tem większą będzie wasza zasługa w oczach władz, tem silniejsze pozostawicie po sobie wrażenie.“ „*Nasza Żizń*“ donosiła, iż w gub. Saratowskiej po rozruchach chłopskich nastąpiło katowanie włościan, którzy brali udział w rozruchach przez tych, którzy udziału nie brali. „Był to pogrom ludności włościańskiej przez chuliganów i *kułakow*.“ Fakt powyższy świadczy, iż wśród chłopów rosyjskich zarysował się w sprawie rozruchów rolnych antagonizm; bogatsi t. zw. *kułaki*, posługując się najbiedniejszym proletaryatem wsi, uderzali na tych, którzy rabowali dwory. Chęć bicia i znęcania się, wódka, którą go poczęstowano, wystarczała, aby część wiejskiego proletaryatu, t. zw. „*gołod*“ rzuciła się na resztę współmieszkańców swej wsi. Ohydne sceny, okrucieństwa i znęcania się podawał korespondent „*Naszej Żizni*.“ Była to działalność czarnej seciny. Ale rabunkowi dworów towarzyszyły częstokroć fakty analogiczne.

Rosyjskie *czarne* i *czerwone seciny* są w gruncie rzeczy sobie pokrewne tak, iż zaklasyfikowanie do tej lub owej kategorii tłum, będącego sprawcą rozruchów, zależy od dowolności klasyfikatora. Przewodniczący na zjeździe wszechrosyjskiego związku chłopskiego, członek biura zjazdu, 21 (8) listopada podczas rozpraw zjazdowych o rozruchach chłopskich zakomunikował: Gdym w swoim okręgu organizował chłopów, a potem przybyłem znowu po 2 tygodniach, nie poznałem swych zorganizowanych: podczas mej nieobecności zjawił się manifest październikowy i wybuchł następnie ruch czarnej seciny, który się odbił na chłopach. Mówili oni: „W Rostowie rzną *Żydów* i *kupców*, którzy ściągnęli grosze—powinniśmy też rozpocząć ich rzeź.“ W gub. Czernihowskiej rozruchy antysemityczne przeszły bezpośrednio w rabunek i niszczenie dworów. W gub. Saratowskiej na parę miesięcy przed rozruchami agrarnymi odbywało się bicie nauczycieli, lekarzy, felczerów i funkcyonaryuszy ziemstw. Delegat gub. Ekaterynosławskiej opowiadał: Były i u nas pogromy *Żydów*, ale tam gdzie działa Związek, pogromów nie ma. We wsi Szerokiej pop skierował chłopów na *Żydów*, ale gdy Związek chłopski nie dopuścił do rozruchów antysemitycznych, chłopci chcieli rozbić gospodarke popa¹⁾.

Dezorganizacya państwowa Rosyi z jednej strony, z drugiej to podniecenie, w którym znajduje się ludność, wreszcie barbarzyństwo chłopów we wschodniej i południowej Rosyi—wszystko to stwarza grunt do rozruchów agrarnych.

¹⁾ Materiały do kwestyi chłopskiej. Sprawozdanie ze zjazdu wszechros. Związku chłopskiego (10 listopada, wydawn. „*Nowyj Mir*).“

Tę żywiolową siłę chłopską pragną wyzyskać dla swych celów różne grupy polityczne i w różnym prą chłopów kierunku.

Znaczny odłam władz i duchowieństwa prawosławnego skierowywał ich przeciw Żydom i liberalnej inteligencji; partye socjalistów-rewolucjonistów i socjalistów-ludowców („narodników“) przeciw dworom, wskazując jako cel rozruchów agrarnych zdobycie całej ziemi przez chłopstwo; konstytucyonalisci-demokraci pragnęli pozyskać chłopca przez podniesienie popularnego wśród ludu *nadziału uzupełniającego*. Kwestya agrarna w Rosyi, stanowiąc w swem zaognieniu jeden z pierwiastków kryzysu rosyjskiego, nie na podstawie praw ekonomii i agronomii rozwiązywaną będzie.

Rozruchy chłopskie występują, jako argument za reformą agrarną. Prawda, kontrargumenty rządu były silne... Ale wobec kryzysu państwowego, represye nie wystarczą na długo. Najbardziej demoralizują wojsko właśnie odgłosy rozruchów agrarnych i wieści o ich tłumieniu; składa się ono bowiem z synów włościńskich przeważnie. Wojna i zamieszki zdemoralizowały armię, wywołały w niej rozkład. Przy tłumieniu rozruchów agrarnych we wsi rosyjskiej, nie można już być całkowicie pewnym wojska.

Za czasów Plehwego rząd rozszerzył na całą Rosyę instytucye strażników wiejskich, dawniej już wprowadzoną w Królestwie. Mieli oni gwarantować spokój wsi, dziś jednak sami spokoju nie znają i pod presyą chłopów w wielu miejscowościach Rosyi podają się do dymisyi.

Rosya przeżywała wielokrotnie rozruchy chłopskie znacznych rozmiarów. Najznacniejsze—nie mówię o dawnych „Pugaczowszczyznach“ przypadły na r. 1862 wobec zamętu, wywołanego przez reformę włościńską 1861 r., nie wywołały one jednak przeobrażeń w przyjętych zasadach reformy agrarnej. Uspokojenie się włościńskie nastąpiło, gdy przekonali się o nieskuteczności rozruchów. Ruchy rolne z przed 1861 przyczyniły się jednak w znacznej mierze do reformy włościńskiej z 1861 r. W 1854 i 1855 rozszerzyły się one na gub. Riazańską, Włodzimierską, Niżnienowogrodzką, Tambowską, Penzeńską, Saratowską, Symbirską, Woroneską i Kijowską. W ciągu następnych lat kilku rozruchy chłopskie zdarzały się w licznych miejscowościach. Historycy zniesienia pańszczyzny w Rosyi twierdzą, że obawa przed ekscesami chłopskimi zniewoliła wielu przedstawicieli szlachty rosyjskiej, zasiadających w komitetach, przystać, a nawet pożądać reformy. Owoż zwolennicy *nadziału uzupełniającego* radzi są rozruchom chłopskim, gdyż sądzą, że skłonią one do likwidacyi wielkie gospodarstwa i wykup przez państwo stanie się rzeczą popularną.

Ten fakt, że i prawica *Dumy* rosyjskiej z hr. Heydenem na czele, zgadza się na nadzień uzupełniający w wielu wypadkach, mówi o niezupełnej bezzasadności owej idei. Trzeba to, ma się rozumieć, przyjąć z pewnem ograniczeniem. Trzeba, aby niebezpieczeństwo dla mienia właścicieli ziemskich było już bardzo wielkie, jeżeli mają się zgodzić na odstąpienie dóbr za jakieś 30—40% ich wartości, gdyż wobec 21 miliardowego długu państwowego, który już ma Rosya, i wobec tendencji do wzrostu długów państwowych, papiery indemnizacyjne będą stały nie wyżej 30—40% a mogą spaść niżej nawet. Nadzień uzupełniający zarysowuje się w oczach wielu, jako przesypanie ziemią wybuchającego na wsi pożaru. Nadzień odbędzie się — chłop się uspokoi, a przez to uratowane będą większe posiadłości ziemskie. Lecz gdzie zasada, na mocy której ma być dokonany ów nadzień, któraby więc normowała jego rozmiary. Całkiem co innego dzieło się przy znoszeniu stosunków pańszczyźnianych, tam dzielono między szlachcicem a chłopami ziemię, która była we wspólnem posiadaniu, którą rozrządzał szlachcic nieraz z ograniczeniem, odnośnie do gruntów chłopskich, jak np. w Królestwie Polskiem od r. 1846, lecz która była w poglądach chłopów i niechłopów własnością wspólną szlachcica i chłopu; na własności tej leżały pewne zobowiązania pierwszego względem drugiego, np. zobowiązanie do zapomogi w razie nieurodzaju lub pożaru. Chłop pańszczyźniany posiadał też prawo historyczne do gruntu uprawianego przezeń i przez jego przodków, do gruntu, wydzielonego mu faktycznie w dziedzictwo. Oddanie gruntu tego włościanom z indemnizacją na rzecz dziedzica, było to naturalnem rozwiązaniem kwestyi. Zasada nadzień i rozmiar jego leżały w naturze stosunków. Dziś mamy całkiem coś innego. Mamy wielkie i drobne posiadłości wzajem od siebie odseparowane. Podział gruntów chłopskich, odbywający się peryodycznie w gminie (obszcznie) rosyjskiej wyłania i czyni popularną wśród chłopu rosyjskiego ideę generalnego podziału gruntów.

Na obu zjazdach wszechrosyjskich nie byli obecni albo nie zabierali głosu przedstawiciele zagrodowej Rosyi, a tembardziej krajów o drobnej własności prywatnej, pisze p. Groman we wstępie do referatu o drugim wszechrosyjskim zjeździe chłopskim. Co zaś do samej zasady nadzień, to delegaci chłopscy, czyli najbardziej *uświadczeni chłopci*, wyrażali optymistyczną zasadę: „Nie trzeba, tyle dostań,“ jak mówił delegat gub. Włodzimierskiej. Chłopi nie mają pojęcia o ilości ziemi, któraby mogła pójść do podziału. Operowanie wielkimi cyframi, chociażby powiatu, przeraża niedyscyplinowane władze umysłowe chłopu. Wie on, że

na ziemi mało, w pobliżu zaś leży wielki majątek szlachecki. Stosunek obszaru tego majątku do swego gruntu on sobie uprzytomnia, stosunek obszaru gruntów wielkiej posiadłości do wsi chłopskiej, stosunek ilościowy pierwszej kategorii ludności do drugiej, są to rzeczy dlań niezrozumiałe. Stąd pożądlivość chłopska co do ziemi nasycić się nie da nadzielem pewnej ilości bezrolnych i małorolnych. Parcie masy chłopskiej może być olbrzymie, tembardziej, że mowy i uchwały w Dumie sankcyonują w oczach chłopów ich chęć zawładnięcia ziemią.

Widzieliśmy, że wśród chłopów gub. Saratowskiej obok, że tak powiem, rewolucyi agrarnej, spotykano i kontrrewolucyę, której nosicielami byli chłopi zamożniejsi. Włościanstwo nie jest jednolitą masą społeczną; nawet tam, w Rosyi, gdzie istnieje obszczyzna, wyłoniła się na wsi grupa chłopów zamożniejszych z pośród ogólnego tła nędzy chłopskiej. Chłopi ci, pomimo iż są nieliczni, częstokroć sterują sprawami gromady. Na Wołyniu, Podolu, na Litwie i Białej Rusi, warstwa tych chłopów jest bardziej liczną, względnie liczniejszą jest ona w Królestwie. Owoż wobec tego, że warstwa ta nic nie zyska przy nadziale uzupełniającym, a nie sie on dla nich zarodek niebezpieczeństwa—wyrównywanie gruntów w przyszłości, chłopów tych można zmobilizować do walki przeciw nadziałowi uzupełniającemu drogą wywłaszczenia.

Im niższą dla danej gubernii będzie norma, poza którą chłop nie otrzyma nadziału uzupełniającego, tem liczniejszą utworzyć można będzie rzeszę przeciwników wywłaszczenia większych obszarów.

Idea nadziału uzupełniającego jest o tyle dla tej kategorii chłopów pociągająca, o ile przedstawia się im w postaci dodatku proporcjonalnego do gruntów posiadanych. A. Jermołow, exminister rolnictwa, czyni słuszną uwagę, że zapragną nadziału nie tylko małorolni, lecz również uposażeni w ziemię włościanie, nawet wcale jej nie potrzebujący, jak w latach głodu przy rozdawaniu zapomóg, bogaci chłopi, mający dziesiątki korecy na sprzedaż, domagają się energicznie wydania im zboża („carskiego pajka“) na równi z chłopami ubogimi, cierpiącymi głód istotnie. (A. S. Jermołow. Nasz poziemielnyj wopros, str. 6).

Sprawa wywłaszczenia gruntów dla nadziału, spotyka najpierw kwestyę, jaki zapas ziemi posiada Rosya w postaci gruntów państwowych, apanażów i obszarów dworskich. Ogólny obszar ziem skarbowych w Rosyi Europejskiej (z ziemią Terską i Kubańską oraz gub. Stawropolską włącznie) na mocy danych ministerjum rolnictwa i dóbr państwa z 1901 r. wynosił 112,800,000 dziesięcin, ale z tej przestrzeni do 108,024 tys. dziesięcin znajdu-

je się pod lasem, a 88,840,000 dzies. przypada na gub. północne: Archangielską, Wołogodzka i Ołoniecką; 16,270,000 dzies. w gub. Nowogrodzkiej, Permskiej i Wiackiej. Ogólną przestrzeń lasów skarbowych w pozostałych guberniach Rosyi Eur. obliczają na 13,000,000 dziesięcin, lecz z tego 6 milion. dzies. blisko przypada na lesiste gub. Kostromską, Kazańską, Ufimską, Niżnienowgorodzka, Mińską (Polesie) Wołyńską, Petersburską, Grodzieńską, w pozostałych zaś wszystkich 7 mil.—w tej liczbie około miliona w krajach Kubajńskim i Terskim (lasy górskie). Część przestrzeni leśnych w guberniach północnych i północno-wschodnich przy znacznych kosztach może być obrócona na kulturę rolną, łąki i pastwiska, w guberniach środkowych, południowych, południowo-wschodnich i południowo-zachodnich czynić tego nie należy. Stąd ziemie leśne w tamtych guberniach nie nadają się do nadziałów, gdyż jak uczy doświadczenie, oddanie lasów w nadział chłopom, pociąga za sobą wytrzebienie, na czem najbardziej cierpią interesy tejsze ludności. Lasy zachowuje najlepiej skarb państwa.

Z wyjątkiem lasów jest jeszcze w posiadaniu skarbu w Rosyi Europejskiej 4,200,000 dziesięcin ziemi skarbowej, ale stąd odjąć trzeba znaczną część ziem, które mogą służyć celom gospodarczym, tylko jako sianożęcie i pastwiska, przestrzenie piaszczyste, grunta słone, bezwodne, niezdatne pod kulturę i zaludnienie. Ziem takich w samej gubernii Astrachańskiej liczą około stu tysięcy dziesięcin, niemało jest ich w południowej części gub. Samarskiej w gub. Taurydzkiej i innych. Przestrzeń ogólną ziem tych oblicza Jermołow na $\frac{1}{2}$ miliona dziesięcin. Pozostaje więc 3,700,000 dzies. Lecz grunta te są rozłożone na całej przestrzeni Rosyi nierównomiernie.

W gub. Samarskiej	1,400,000 dzies.
„ Chersońskiej	311,500 „
„ Saratowskiej	222,300 „
„ Taurydzkiej.	205,000 „
„ Ekaterynosławskiej	90,000 „
„ Charkowskiej	77,000 „
„ Tambowskiej	68,000 „

W innych zaś guberniach bardzo niewiele. Np. w Połtawskiej 3607, w Tulskiej 746, Kurskiej—190 dziesięcin, a są to właśnie gubernie, w których brak ziemi najbardziej się daje we znaki chłopom. Na terenie dawnej Rz-tej, której $\frac{1}{3}$ stanowiły dobra koronne, edukacyjne, klasztorne, zostały one w znacznej mierze zmarnowane, porozdawane generałom rosyjskim. Najwięcej ziemi skar-

bowej oraz różnych instytucyj posiada gub. Mińska ze względu na puszcę Białowieską.

Gubernie:	Ziemia skarbu i apanaży	Innych instytucyj
	t y s. d z i e s.	
Mińska	893	77
Mohilewska	121	69
Witebska	204	47
Wileńska	385	30
Grodzieńska	484	61
Kowieńska	200	29
Wołyńska	593	145
Podolska	159	147

Królestwo liczy ziemi skarbowej 669 tys. dziesięcin.

Ziemie te, których ⁹/₂₀ stanowią lasy, bezwarunkowo nie mogą odegrać rozstrzygającej roli w załatwieniu kwestyi agrarnej.

Znany statystyk rosyjski Kaufmann dał próbę obliczenia, ile potrzeba byłoby ziemi dla doprowadzenia jej do norm 1861 roku. To samo uczynili profesorowie Czuprow, Den, Manuilow i inni. Wszyscy oni jednak, wobec luk rosyjskiej statystyki, zniewoleni byli operować przestarzałym materiałem statystycznym, dochodzić do odpowiednich danych na mocy szacowania.

Statystyka rosyjska nie posiada wszystkich danych o dzisiejszym lub przynajmniej wczorajszym podziale własności. Dlatego to badacze rosyjscy zwracają się do statystyki własności ziemskiej na podstawie badania z 1877 r., czasami zaś do badań z 1887 r., które pod wieloma względami ustępują pierwszym. Każdy z tych statystyków otrzymał cyfrę ludności rolniczej w 1905 r. drogą szacowania, gdyż najświeższe dane w kwestyi rzeczzonej były zaczerpnięte z rezultatów spisu jednodniowego, t. j. były nietylko przestarzałe, ale nie ścisłe, w chwili bowiem spisu znaczna część ludności wiejskiej szukała, jak zawsze przez zimę, po miastach tymczasowych zarobków.

Podług obliczeń Kaufmanna dla uzupełnienia nadziałów włościańskich do wyższych norm 1861 r. brak 73 mil. dziesięcin. Po oddaniu chłopom wszystkich ziem skarbowych i apanażów, ów deficyt wynosić będzie 67 mil. dziesięcin, gdy więc grunta wielkiej własności obliczają w tych guberniach na 39 mil. dzies., brakuje 28 mil. dzies. Tylko w guberniach Taurydzkiej, Chersońskiej, Symbirskiej, Samarskiej i Petersburskiej wielka własność wraz z własnością rządową pokrywa całkowicie nadziały włościański.

Najbardziej optymistycznymi obliczeniami były prof. Czuprowa, który przyszedł do wniosku, że dość połowy własności wielkiej dla uzupełnienia nadziałów chłopskich do norm 1861 r., gdyż podług obliczeń jego dość podzielić między bezrolnych i małorolnych 35,6 mil. dzies. dla osiągnięcia normy powyższej. Wśród licznych, bijących w oczy błędów metodycznych obliczenia, spotykamy u Czuprowa nieuwzględnienie przyrostu ludności od 1897 r. t. j. niemal w ciągu 10-lecia. Owóz Den przyjmuje dane Czuprowa z wprowadzeniem poprawek najniezbędniejszych i oblicza, że włościanie winni otrzymać 46.4 mil. dzies., uwzględniając naturalny przyrost ludności od 1897 do 1904 r., jako 12,14% oraz ludność włościańską, która podczas spisu 1897 r. znajdowała się w miastach.

Obliczenie Kaufmanna jest ściślejsze. Obliczył on ludność włościańską w 1904 r. na mocy danych komisji Centrum i przyrostu ludnościowego w różnych kategoriach własności rolnej od 1857—78 r. Kaufmann brał pod uwagę ludność przypisaną do gmin, bez względu na jej zamieszkanie, na wsi czy w mieście, co bezwarunkowo zwiększało nadmiernie cyfrę osób, mających korzystać z nadziału; uwzględnienie jednak w pewnej mierze ludności włościańskiej po miastach jest niezbędnem, gdyż znaczna część robotników rosyjskich, są to związani z rolą chłopci, którzy w razie przyjęcia zasady nadziału małorolnych i bezrolnych, pretendowaliby do owego nadziału.

Statystyka zawodowa rosyjska czeka jeszcze na opracowanie, w braku więc danych dla większej jednostki gospodarczej, prowincyi, zapożyczamy dane z pracy Szestakowa: „Robotnicy i rękodzielnicy Kompanii Emil Zindel“ (Moskwa 1900):

Porzucających fabrykę podczas robót rolnych w polu	11,9%
Nieporzucających podczas robót polnych, lecz prowadzących gospodarkę przy pomocy rodziny.	61,4%
Nieprowadzących gospodarki samodzielnej, lecz oddających grunt w dzierżawę.	12,3 ₀ %
Nieposiadających gruntu na wsi.	10,8%

Danych tych nie można bezwarunkowo uważać za ogólne dla całej Rosyi, a nawet dla całego okręgu moskiewskiego: przedsiębiorstwa, wymagające bardziej ukwalifikowanego robotnika, mają i tam używają wyłącznie niemal robotników, którzy oddawna zerwali związek z ziemią, nie ulega jednak wątpliwości, że nadział uzupełniający wywołałby powrotną falę wędrowni z miasta na wieś.

Chociaż sprawa nadziału uzupełniającego jest nader popularną w Rosyi i znajdowała większość wśród kadetów rosyjskich,

nie mówiąc już o większości Dumy, nie posiada statystyka rosyjska zadawalających swą pewnością danych, ile niezbędnie potrzeba ziemi dla uwłaszczenia włościan podług norm 1861 r., czy należałoby użyć wszystkich, czy tylko połowy gruntów wielkiej własności.

Wobec tego, że statystyka rosyjska w kwestyi agrarnej jest niewystarczającą, przestarzałą, każdy inny parlament rozpocząłby nie od wniosków, dotyczących samego już rozwiązania tej kwestyi, ale od organizacyi statystyki agrarnej, ankiet agrarnych i t. d.

Postępowałyby tak Izba, zajęta pracą prawodawczą, pracą reform organicznych. Ale Izba, zaabsorbowana walką o swój byt i przewagę nad instytucjami innemi, uczynić tego nie mogła, ona rzucała tylko hasła bojowe w celu mobilizacyi mas. Jednem z tych haseł było uzupełniające uwłaszczenie włościan, wywłaszczenie wielkiej własności.

*

*

*

W adresie Dumy państwowej, będącym odpowiedzią na mowę tronową, a zawierającym z natury rzeczy program Izby, spotykamy już ustęp o dodatkowym nadziale i wywłaszczeniu własności prywatnej: „Najbardziej liczna część ludności — pracujące włościanstwo z niecierpliwością czeka zaspokojenia swej dotkliwej potrzeby ziemi i pierwsza Duma rosyjska nie spełniłaby swej powinności, gdyby nie wypracowała prawa dla zaspokojenia tej nieodbitej potrzeby, używając w tym celu ziem skarbowych, apanażów, gabinetu, klasztorów i przymusowego wywłaszczenia ziem właścicieli prywatnych.“

Rzecz dziwna, za adresem, a więc za ową zasadą, głosowali posłowie polscy z Litwy i z Rusi, głosowali posłowie polscy z Królestwa, jakkolwiek ostatnich od głosowania winnaby była wstrzymać chociażby ta okoliczność, że nad ich żądaniem wzięcia do adresu sprawy autonomii Królestwa, komisya adresowa, a za nią Izba, przeszły do porządku dziennego.

21 (8) maja 1906 r. na posiedzeniu Dumy sekretarz jej odczytał wniosek agrarny, zawierający postulaty następujące:

1) „Zwiększenie ilości ziemi, będącej w użytku uprawiającej ją ludności t. j. bezrolnych i małorolnych włościan oraz innych kategorii rolników, gruntami państwowymi, dworu i gabinetu,

cerkiewnemi i drogą przymusowego wywłaszczenia w tym celu na koszt państwa, w rozmiarach potrzebnych ziem prywatnych właścicieli z wynagrodzeniem właścicieli dzisiejszych według słusznej oceny, t. j. odpowiednio do normalnych dla danej miejscowości dochodów przy warunkach samodzielnie prowadzonej gospodarki, bez brania pod uwagę cen dzierżawnych, stworzonych przez brak ziemi.

2) „Wywłaszczone ziemie zaliczone są do państwowego zapasu ziemskiego. Zasady, na mocy których ziemie z tego zapasu oddawane są ludności potrzebującej jej, winny być ustanowione odpowiednio do właściwości własności i użytkowania ziemi w różnych prowincjach Rosyi.

Uznając za przewodnią zasadę polityki agrarnej — oddanie ziemi do rąk pracujących, uważamy, że zasady powyższe mogą być rozwinięte w sposób następujący:

I. Prawo do rozszerzenia użytkowania ziemi przyznać należy małorolnym i bezrolnym rodzinom rolniczym, prowadzącym gospodarke na ziemiach tak nadziałowych, jak należących do nich w charakterze własności prywatnej. Tam, gdzie istnieje specjalna klasa bezrolnych robotników wiejskich, ci ostatni będą zaopatrzeni w ziemię na zasadach ogólnych. Przepisy specjalne określają udzielanie gruntów rodzinom, które zaniechały prowadzenia gospodarki wskutek małorolności, jeżeli zechcą one odtworzyć własną gospodarke. Miejscowym instytucjom zarządzającym winno być pozostawione wszechzwanie spraw o zmianę kategorii osób, które stosownie do okoliczności miejscowych, winny być zabezpieczone ziemią.

II. Dla każdej miejscowości (gubernii, okręgu, powiatu lub jego części) winien być ustanowiony rozmiar normalny zaopatrzenia w ziemię, do którego, przy istniejącym zapasie ziemi i biorąc pod uwagę możliwe dobrowolne wysiedlenie się, winna być doprowadzona ilość gruntów w ręku ludności rolniczej. Uznaniem jest przytem za pożądanę doprowadzenie rozmiarów zaopatrzenia do normy konsumpcyjnej, t. j. do takiej ilości ziemi, która względnie do warunków miejscowych z przyjęciem pod uwagę innych zarobków i dochodów, gdzie takowe istnieją, — byłaby dostateczną do pokrycia przeciętnych potrzeb w spożyciu, mieszkaniu, odzieży i niesienia powinności. Obliczenie normy ziemi robione jest na jednostkę konsumcyjną.

III. Zaopatrzeniu w ziemię, w rozmiarach wskazanych, winni podlegać ci rolnicy, którzy albo wecale nie mają nadziałowej lub własnej ziemi, albo mają ją w normie mniejszej od ustanowionej dla danej miejscowości.

IV. Na wytworzenie zapasu państwowego, jak już było powiedziane, oprócz ziem państwowych, apanażowych, gabinetowych, cerkiewnych, klasztornych, winny iść również grunta wywłaszczone przymusowo od posiadaczy prywatnych, poszczególnych osób i instytucyj.

V. Przy wywłaszczeniu gruntów właścicieli prywatnych należy ustanowić zasadę następującą:

a) bez żadnego ograniczenia winny być wywłaszczone wszystkie grunta, zwykle do 1-go stycznia 1906 r. oddawane w dzierżawę za pieniądze, na część lub na odrobek, a także grunta uprawiane przeważnie inwentarzem chłopskim oraz grunta nieuprawne, ale uznane za zdolne do uprawy. Oprócz tego dla każdej miejscowości prawo winno określić wyższy rozmiar ziemiowładania przy warunkach gospodarki rzeczywiście własnej (inwentarz własny) t. j. ustanowić maksymalną normę posiadania ziemi; wszystko, co się okaże powyżej tej normy, ulega wywłaszczeniu bez wszelkich ograniczeń.

b) Grunta, nie przewyższające rozległością normy maksymalnej i uprawiane za pomocą inwentarza własnego winny również ulegać wywłaszczeniu przymusowemu, jeżeli miejscowa ludność rolnicza nie może być dostatecznie zaopatrzoną z innych gruntów tej miejscowości, albo jeżeli wywłaszczenie jest niezbędnem dla usunięcia szkodliwej szachownicy i innych ważnych braków w rozmieszczeniu nadziałów i składzie ich gruntów.

a) Nie ulegają wywłaszczeniu:

1) Niewielkie posiadłości, nie przewyższające normy pracy, określonej podług warunków miejscowych.

2) Pastwiska miejskie, a także grunta, należące do małych miasteczek, ziemstw, zakładów naukowych i dobroczynnych instytucyj, o ile służą bezpośrednio do celów społeczno-sanitarnych, naukowych i t. p.

3) Grunta pod domostwami, ogrodami owocowymi i warzywnymi (prócz oddawanych w dzierżawę), zasiewy leśne, winnice, chmielniki, szkółki i t. p. z wyjątkiem jednak wypadków, gdy wywłaszczenie tych gruntów jest niezbędnem do usunięcia szkodliwej szachownicy.

4) Grunta, na których zbudowane są zakłady fabryczne lub rolniczo-przemysłowe, t. j. grunta, dla nich niezbędne technicznie, znajdujące się pod zabudowaniami, składami i t. p. Ale grunta, służące do zaspokojenia potrzeb gospodarczych tych przedsiębiorstw, winny ulegać wywłaszczeniu narówni z innymi, lecz z usta-

nowieniem pewnego porządku i stopniowego przejścia ich do państwowego zapasu ziemi.

5) Posiadłości gruntowe, które przez centralną (sic!) instytucję zarządzającą uznane będą za niezbędne do zachowania ze względu na ich charakter wyjątkowy i korzyść społeczną.

VI. Grunta z zapasu państwowego oddawane są do użytkowania długoterminowego, na czas, ustanowiony przez instytucje odpowiednie, bez prawa odstępowania wtórnego. Za wszystkie owe grunta, oddane z zapasu państwowego, pobierana jest opłata, której rozmiar określa dochód z ziemi odpowiednio do planu ogólnego opodatkowania ziemi.

VII. Z państwowego zapasu ziemi oddaje się do użytkowania grunta najpierw miejscowej małorolnej i bezrolnej ludności,— prawo określa, co rozumieć pod ludnością miejscową. Po zaspokojeniu potrzeb ludności miejscowej, pozostałe wolne grunta państwowego zapasu ziemi przeznaczają się dla kolonistów, którzy nie zostali zaopatrzeni dostatecznie w ziemię w miejscowości danego zamieszkania.

VIII. W miejscowościach, obfitujących w lasy, mogą iść na zaopatrzenie w ziemię rolników lasy, nieposiadające znaczenia ochronnego. Lasy w innych miejscowościach pozostają do rozporządzenia państwa w rozmiarach, odpowiednich do potrzeb ludności. Porządek zaopatrzenia ludności w materiały leśny z tych lasów określają przepisy specjalne.

IX. Ustanawiając zasady ogólne reformy agrarnej, prawo pozwalać winno na to, by instytucje miejscowe zwracały się z propozycjami pewnych zmian w tych normach odpowiednio do warunków miejscowych, lecz zachowując niewzruszenie zasadę reformy — trwałe zaopatrzenie w ziemię ludności rolnej drogą wyłączenia przymusowego.

X. Prawo winno ustanowić system i porządek instytucyj centralnych i lokalnych do przygotowania i przeprowadzenia reformy agrarnej. Instytucje te winny przystąpić do zbierania i opracowywania niezbędnych materiałów, kierując się normami, ustanowionymi przez prawo, łącznie z ludnością miejscową.

Wnioskodawcy proszą o wybór komisji z 33 członków, dla roztrząśnięcia i wniesienia do Dumy projektu sprawy agrarnej, proszą o oddanie tego wniosku do komisji.

Podpisani: 1) W. Jakuszkin, 2) A. Medwiediew, 3) W. Janowski, 4) M. Kommissarow, 5) G. Kostrominow, 6) Ks. P. Dołhorukow, 7) P. Postowcew, 8) Miklaszewskij, 9) Z. Nowosilcow, 10) A. Wiazłow, 11) A. Sadurin, 12) Mikieszin, 13) Imszenieckij, 14)

J. Szczepkin, 15) A. Chartochej, 16) Bałachenczew, 17) P. Owczinikow, 18) P. Safonow, 19) A. Tokarskij, 20) A. Saweljew, 21) G. Szelgorn, 22) M. Hercensztein, 23) P. Kryłow, 24) I. Prisieckij, 25) M. Lebediew, 26) A. Popow, 27) P. Tołstoj, 28) W. Bałasnikow, 29) N. Szirkin, 30) L. Sicinskij, 31) P. Kirilenkow, 32) I. Zamysłow, 33) Z. Frenkel, 34) T. Sztejngel, 35) A. Swieczin, 36) N. Mietelnikow, 37) D. Protopopow, 38) W. Dołżenkow, 39) Jollos, 40) Mich. Petruniewicz, 41) Ks. Szachowski, 42) Maslennikow.

Widzimy, że z wybitnych k-dów, dawnych działaczy ziemskich, podpisali ów projekt: W. Jakuszkin, ks. P. Dolhorukow, Petruniewicz i ks. Szachowski.

1 czerwca (19) maja państwowa otrzymała projekt agrarny trudowików, brzmienia następującego:

§ 1. Prawodawstwo agrarne winno dążyć do tego, aby ustanowić takie porządki, przy których wszystkie ziemia z jej wnętrzem i wodami należałyby do całego narodu: przytem grunta niezbędne do gospodarki wiejskiej mogłyby tylko tym być oddawane, kto będzie je obrabiał pracą własną. Wszyscy obywatele winni mieć równe prawo do korzystania z nich.

§ 2. W tym celu winien być utworzony społeczny zapas ziemi, do którego winny wejść wszystkie grunta skarbowe, apanaże, gabinetowe, klasztorne i cerkiewne, do tego zapasu winny być włączone przymusowo grunta właścicieli ziemskich, o ile rozmiary posiadłości poszczególnej nie przenoszą ustanowionej dla danej miejscowości normy pracy.

§ 3. Grunta nadziałowe oraz posiadłości prywatne, nie przynoszące normy pracy, pozostają w rękę terażniejszych ich posiadaczy, ale winny być przyjęte środki prawodawcze do zapobieżenia skupieniu w jednym rękę gruntów powyżej normy pracy i zabezpieczenia stopniowego przejścia ich na własność społeczną.

§ 4. Wynagrodzenie za grunta wywłaszczone przymusowo, ustępowane dobrowolnie do społecznego zapasu ziemi winno odbywać się na koszt państwa. Rozmiar tego wynagrodzenia oraz wypadki wywłaszczenia bez wynagrodzenia, będą określone nie wcześniej, jak po omówieniu sprawy całej reformy agrarnej przez lud na miejscu (Patrz § 18).

§ 6. Wnętrze ziemi i wody, o ile nie były dotąd eksploatowane przez ich właścicieli, winny być uznane za własność społeczną narodową. Porządek ich oddania do eksploatacyi instytucjom i osobom prywatnym winien być ustanowiony przez ustawy specjalne.

§ 7. Porządek przejścia na własność społeczną wnętrza ziemi i wód, które już są eksploatowane, a także gruntów, znajdujących się pod zakładami przemysłowymi i miastami, winien być uregulowany ustawą specjalną, zanim przejdą one na własność społeczną, prawa właścicieli do przyrostu wartości, o ile to zależy nie od pracy i kapitału, lecz od warunków społecznych, winny być ograniczone.

§ 8. Z zapasu społecznego wydzielane są najpierw grunta niezbędne na potrzeby państwowe i społeczne, przechodzą one w zawiadywanie instytucyj społecznych i państwowych.

§ 9. Pozostała ziemia, o ile takowa użyta być może do gospodarki wiejskiej, oddaje się do użytkowania wszystkim, pragnącym ją obrabiać własną pracą, przytem pierwszeństwo ma ludność miejscowa nad przybyłą, rolnicza nad nierolniczą. W każdym razie każdy pracujący ma prawo do otrzymania siedziby w miejscowości, w której mieszka i do nadziei w tej miejscowości, gdzie są ziemi wolne.

§ 10. Udzielenie ziemi ze społecznego zapasu odbywa się w granicach normy pracy, jeżeli przytem po nadziei pozostanie jeszcze ziemia, to znajduje się ona w zawiadywaniu instytucyj państwowych lub społecznych, jako zapas na potrzeby społeczne albo na wypadek przyrostu miejscowej ludności, oraz na nadziei kolonistów z innych miejscowości.

§ 11. Jeżeli w danej miejscowości nie wystarczy ziemi na nadziei dla całej ludności rolniczej, to wszyscy, mający mniej normy spożywczej, otrzymują prawo przesiedlenia się na koszt państwowy do tych miejscowości imperyum, gdzie jest nadmiar ziemi.

§ 12. W razie zmiany warunków gospodarczych miejscowości zmienioną być może ustanowiona dla niej norma pracy i zjawiający się u poszczególnych gospodarzy nadmiar ziemi ulega wyłączeniu. Również przy zmianie warunków ulega zmianie i norma konsumcyjna, w zależności od której pozostawać będzie również prawo przesiedlenia się na koszt państwowy.

§ 13. Grunta otrzymane z zapasu społecznego winny być, w razie zaniechania gospodarki lub znużenia jej rozmiarów, zwrócone, państwo zaś wypłaca wartość wszystkich melioracyj dokonanych, lecz nie uzyskanych jeszcze. Odstąpienie drogą prywatną ziemi, pochodzącej z zapasu społecznego, jest zakazanem.

§ 14. Ci, którzy otrzymali grunta z zapasu społecznego, opłacają specjalny podatek ziemski, który winien być ustanowiony odpowiednio do jakości położenia i obszaru gruntu.

§ 15. Ci, którzy otrzymali grunt z zapasu społecznego, a nie posiadają środków do zaopatrzenia się we wszystko niezbędne przy gospodarce, winni otrzymać pomoc na koszt państwa w formie zapomóg i zaliczek.

16. Zawiadywanie zapasem społecznym z wyjątkiem gruntów, mających znaczenie ogólnopństwowe, winno być oddane w ręce samorządów miejscowych, wybranych na mocy powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania, a działających samodzielnie w zakresie, ustanowionym przez prawo.

§ 17. Do czynności przygotowawczych w sprawie reformy agrarnej i do uregulowania stosunków gospodarczych w okresie przejściowym winny być ustanowione w ciągu okresu tego miejscowe komitety gubernialne, powiatowe i gminne (albo inne, stosownie do warunków miejscowych). Komitety winny być wybrane na zasadzie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania.

§ 18. Komitetom powierza się:

- a) organizowanie swobodne i szerokie, przy udziale całej ludności, rozważanie zasad ogólnych i wszystkich szczegółów reformy agrarnej,
- b) zebranie danych co do ilości i podziału gruntów, cyfry i skład ludności potrzebującej ziemi; projektowanie norm pracy i normy spożycia, opracowanie planu reformy agrarnej zgodnie z warunkami miejscowymi,
- c) ustanowienie aż do dokonania reformy cen dzierżaw, zarobku, długości dnia roboczego, regulacja stosunków między właścicielami ziemskimi a pracującymi, w razie sporów i nieporozumień między nimi.

§ 19. Organizacja komitetów miejscowych i plan ich działalności winny być określone przez prawo.

§ 20. Wybory do komitetów miejscowych, a także rozwiązanie reformy agrarnej na miejscu, winno być określone przez prawo.

Elaborat ten podpisało 104 członków Dumy, cała niemal grupa pracy. Jest on konsekwentniejszym od projektu kadetów. Rosya przeobraża się w jedną „obszczynę“ typu wielkorosyjskiego, złożoną z „obszczyn.“ Postęp techniczny przyniesiono w ofierze zasadzie zrównania ekonomicznego. Postępowi rolnictwa danej miejscowości, polegającemu na zwiększeniu natężenia, stanęłaby na zawadzie okoliczność, że pociągałoby to zmniejszenie norm pracy, owej maksymalnej miary nadziału, stąd prowadziłoby do uszczuplenia rozmiaru gospodarstw.

Projekt trudowików oświadcza wyraźnie, że pragnie skończyć z prywatną własnością ziemską. Projekt kadetów pragnie doprowadzić grunta małorolnych do pewnych norm i udzielić ziemi bezrolnym, co wobec obliczeń Kaufnanna zniweczyłoby wielką własność. Następnie, projekt kadetów jest za wywłaszczeniem nie tylko w celu bezpośredniego zaspokojenia włościan, lecz i w celu stworzenia zapasu ziemi, a co najważniejsze, gdyby nawet, jak twierdzi prof. Czuprow, połowa posiadłości wielkich właścicieli pozostała po uzupełniającem wywłaszczeniu, ów eksperyment musiałby być powtarzany aż do skutku, aż do zaniku wszelkiej większej własności.

Projekt trudowików nie ma zamiaru liczyć się z przemysłem wiejskim, projekt kadetów nie wyłącza od uwłaszczenia gruntów, służących do zaspokojenia potrzeb gospodarczych wielkich zakładów, stąd szachuje cukrownie, ale stawia te ziemie na dalszym planie wywłaszczenia, szuka jakby kompromisu z interesami techników.

Projekt kadecki czyni wolnem od wywłaszczenia wzorowe gospodarstwa, mówiąc (§ 5) „nie podlegają wywłaszczeniu posiadłości gruntowe, które uznane będą przez centralne instytucje zarządzające za niezbędne dla zachowania, wskutek ich wyjątkowego znaczenia społecznego.“ Charakterystycznym jest, że projekt kadetów powierza to nie lokalnym instytucjom samorządnym, ale centralnym. Nosi on wogóle charakter bardziej centralistyczny, niż projekt trudowików. Pierwszy może iść w parze z kapitalistycznymi przedsiębiorstwami rolnymi państwowemi, z nowym monopolem rolnym państwa, drugi oparty jest na gminach i organach samorządu lokalnego.

Projekt kadetów stawia, jako warunek wywłaszczenia, odpowiednie wynagrodzenie właścicieli ziemskich, projekt trudowików sprawę wynagrodzenia odsuwa aż do załatwienia kwestyi w komitetach miejscowych, przypuszcza przy tem wypadki wywłaszczenia bez odszkodowania. Wywłaszczenia bez odszkodowania większej własności domagają się socjaliści-rewolucyoniści rosyjscy, którzy urabiali grupę pracy i są głównymi sprawcami awantur agrarnych.

Zatrzymujemy się szczegółowo na projektach reformy agrarnej, wniesionych do Dumy, gdyż przez fakt rozwiązania Dumy, nie zostały one pozbawione znaczenia politycznego. Będą one osią walki wyborczej przy najbliższych wyborach. Oprócz tego te kierunki myśli społecznej i politycznej w Rosyi, które wyłoniły owe projekty, nie znikły wraz z rozwiązaniem Izby państwowej, tkwiąc głęboko w psychologii społeczeństwa rosyjskiego.

Oderwana od gruntu realnego przez brak możliwości oddziaływania nań, myśl inteligencji rosyjskiej chwyciła cheiwie produkty myśli zachodnio-europejskiej. Przytem idąc w kierunku najmniejszego oporu, weszła nie w dziedzinę wolności jednostki, poszanowania jej praw, nie w dziedzinę indywidualizmu i politycznego liberalizmu, lecz w dziedzinę kierunków socjalistycznych. Kierunki socjalistyczne w Rosyi nie mogły się przejawiać, jako czynnik polityki społecznej, były tylko negacją własności prywatnej, gdy inteligencja rosyjska z książki barona Haxhausena o istnieniu „obszczyzny“ w Rosyi—polegającej na peryodycznych podziałach gruntów chłopskich—przyszła do przekonania, że Rosya jest bliższa ustroju socjalistycznego, niż zachód, na którym ciąży, jakby grzech pierworodny, pojęcie prawa rzymskiego.

„Odrywając się od Rosyi, Polska odrywa się od nowego życia”—pisał Hercen w 1861 r., lecz niech się stanie jej wola. Inni publicyści rosyjscy nie okazywali tego liberalizmu względem Polski, co Hercen, dla nich wyższość form własności rosyjskiej—ów dogmat ich myślenia społecznego—służył do ideologii rusyfikacji. W publicystyce rosyjskiej wyrażano żal, że Milutin nie zaprowadził „obszczyzny“ w Królestwie Polskiem.

W dziewiątym lat dziesiątku toczyli spór narxiści z narodnikami Rosyi. Pierwsi dowodzili, że „obszczyzna“ nie jest bynajmniej nosicielką lepszej przyszłości, ale jest zabytkiem barbarzyństwa, tamującym rozwój kultury, czemś, co musi być z fatalną koniecznością zniesione przez rozwój kapitalizmu w Rosyi. Inni tkwili w dawnej ideologii obszczyzny. Zdawało się, że narodnicy zostali pobici na głowę, jednak poglądy ich, będące podstawą kierunku socjalistów-rewolucjonistów Rosyi odbiły się w programach partyj rosyjskich, w akcji parlamentarnej.

Projekty, które miały zmobilizować chłopów, zaszachowały wielką własność, mającą kontakt z kamaryłą dworską, i były przeszkodą w dojściu k-dów do władzy. Projekt wywłaszczenia, będąc awanturą ekonomiczną i finansową, zagraża i tak już oplakany finansom Rosyi, stąd też znajduje znaczniejszy opór u rządu, niż można byłoby przypuścić z jego tradycyjnego stosunku do własności.

Zrealizowana reforma agrarna w Rosyi wedle projektu kadetów, musi wywołać obawę wzmocnienia liczebnie armii biurokracyjnej, zwiększenia władzy rządu nad społeczeństwem. Wobec tej obawy socjalni demokraci rosyjscy wysunęli z inicjatywy Kautskiego, jednego z najwybitniejszych teoretyków socjalnej demokracji niemieckiej, postulat, by dokonywanie reformy agrarnej

na miejscu oraz zawiadywanie sprawami rolnymi powierzono organom samorządu lokalnego, obranym na mocy formuły czterocłonkowej. Nie jest to jednak bynajmniej gwarancja przed zbytnią przewagą państwa, gdyż wobec określenia zasad reformy przez państwo, będzie ono utrzymywało kontrolę nad całą sprawą agrarną. Państwo na mocy własnego suwerenitetu będzie mogło w każdej chwili zmienić, uszczuplić kompetencję organów samorządu lokalnego. W rezultacie reformy agrarnej „grupy pracy“ znalazłoby się gminne władanie pod kontrolą władz w rodzaju *ziemskich naczelników*. Przed kilkunastu laty w wielu miejscowościach Rosji *ziemscy naczelnicy* zaprowadzili na części gruntów gminnych uprawę społeczną, t. zw. „*obszczestwiennyja zapaszki*,” co wywołało protesty chłopskie, dochodzące do rozruchów. Biurokracja rosyjska, nie nawykła do szanowania praw jednostki tak w zakresie sfery prawa publicznego, jak i prywatnego, skłonna jest do eksperymentów komunistycznych.

Chłop wielkorosyjski, pozbawiony indywidualnej własności ziemskiej, mogący być pozbawiony przez „mir“ gruntu uprawianego, nie posiada sfery, do której inni, ów „mir“ lub *ziemski naczelnik*, stojący nad „mirem,” nie mogliby wtargnąć, która byłaby wyłączną sferą praw jego. Brak praw w sferze prywatnej osłabia dążność do walki o prawo w sferze publicznej. Chłop wielkorosyjski jest w swych instynktach jak najbardziej obcy poszanowaniu praw jednostki.

W artykule p. S. Kotlarewskiego spotykamy odbicie poglądów analogicznych na konsekwencje reformy agrarnej. „Nie może nie wzbudzić trwogi owa chwila — czyni trafną uwagę p. S. Kotlarewskij — gdy w rękach rosyjskiej władzy państwowej znajdzie się rozrządzanie najważniejszą gospodarczą wartością kraju. Mimowoli występuje tu skojarzenie myślowe nie z Australią i Nową Zelandią, lecz z pierwotnymi despotami wschodnimi, z peruańską monarchią Inków, z rządami Jezuitów w Paragwaju.“

Przez długi czas inteligencja rosyjska nie doceniała znaczenia form politycznych Zachodu, obecnie nastąpiła reakcja w kierunku przeciwnym. Dziś panuje w Rosji jakaś zabobonna wiara we wszechmoc formułki: „równe, bezpośrednie, powszechne prawo wyborcze.“ Forma polityczna oparta na zasadzie powyższej jest ważnym czynnikiem zrównania, ale to zrównanie w Rosji może nosić charakter zrównania w nędzy, w bezprawiu. Historia Francji świadczy, że tradycje obyczajowe biurokracji przeżywają formę rządów, gdy państwo o tradycjach biurokratycznych stanie się szafarzem ziemi i kredytu oraz wszystkiego,

bez czego jest niemożliwa produkcyjna praca rolna, gdzież tu pole dla rozwoju jednostki? Żywotny w historii Rosyi duch hr. Arakcejew—pisał, zwracając się do rosyjskiego społeczeństwa w 1864 r. Hercen. Nie wchodząc w to, ile słowa te odpowiednio w owej chwili, są odpowiednio w dobie obecnej, twierdzimy, że w projektach agrarnych, które wyłoniły się w Dumie, były i atomy Arakcejewy i krople Murawjewa).

„W każdym z nas jest atom Arakcejewy, jest kropla Murawjewa“ — pisał, zwracając się do rosyjskiego społeczeństwa w 1864 r. Hercen. Nie wchodząc w to, ile słowa te odpowiednio w owej chwili, są odpowiednio w dobie obecnej, twierdzimy, że w projektach agrarnych, które wyłoniły się w Dumie, były i atomy Arakcejewy i krople Murawjewa.

O atomach Arakcejewskich mówiliśmy powyżej, teraz pomówimy o kroplach Murawjewskich w projektach agrarnych. Są one przedewszystkiem narzuceniem krajom nie wielkorosyjskim reformy, opartej na projektach i ideałach, które wyrosły na gruncie „obszczyzny“ wielkorosyjskiej. Są one narzuceniem krajom, węgietującym względnie pomyślnie w porównaniu do Rosyi centralnej i wschodniej, tych form własnościowych, które tam wywołały głody peryodyczne. Szachują one ekonomicznie bogatsze prowincye Rosyi.“ Wskazywało się niejednokrotnie — powiada cytowany przez nas S. Kotlarewskij—że przy bardzo nierównomiernem zaopatrzeniu włościan w ziemię w różnych miejscowościach Rosyi, reforma, oparta na zasadach państwowego zapasu ziemi, wywołałaby przesiedlenia z miejscowości bardziej zaludnionych. Gdyby chodziło tylko o stworzenie zapasu kolonizacyjnego, to przeciw temu nie należałoby oponować. Ale tu ma się na widoku coś innego i większego; pojmuje się możliwość przerzucania chłopów Kurskich do gub. Kijowskiej, Kijowskich do Samarskiej, stąd ewentualność nowej „wędrownki narodów,“ rządzonej przez instytucję centralną, regulującą stosunki agrarne. Nie mówimy tu o perspektywie niezbędnej w tym wypadku wojny cywilnej, mówimy o wywołanym tu stanie chaotycznym całej ludności rolniczej państwa. Dobrobyt prowincyj, które stanęły na wyższym stopniu gospodarczym, będzie z konieczności obniżony do poziomu najbardziej potrzebujących, najbardziej cierpiących na ciasnotę rolną. U podstawy tego planu występuje zrównanie à tout prix, chociażby do ogólnej nędzy, która jest ciężką spuścizną rosyjskiej bezprawnej przeszłości, gdy panowało zrównanie w bezprawiu.“

Czyż to nie demokratyzm Murawjewski?

1) Swoboda i kultura № 8 str. 576.

Upaństwowienie ziemi w Rosyi jest dla nas oraz dla ludów nierosyjskich tego państwa wielkiem niebezpieczeństwem.

„Przy braku samodzielnego bytu państwowego, upaństwowienie ziemi byłoby dla nas niepożądanem. Wypartoby wówczas żywioł polski z ziemi oddawna przezeń zajętej, uczynionoby to w Niemczech i Rosyi. Zwiększenie władzy nad ziemią państw, nie będących organizacyami naszych, jeno obcych sił narodowych, dałoby możność tym państwom rozproszyć nas po całej ich przestrzeni“ (Pisaliśmy w 1900 r. „Wykład ekonomii politycznej“ str. 263).

Żywiolowi polskiemu w Królestwie, jako mieszkającemu w zwartej masie, nie zagraża takie niebezpieczeństwo, jak na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Postaranoby się wywołać kolonizacyę z Królestwa do wschodnich kresów państwa, na nawóz dla Mongołów; losem jej byłoby obniżenie się kulturalne, cywilizacyjne, nawet przy większym dobrobycie materyalnym. Konsekwencye polityczne takiej kolonizacyi uważalibyśmy za najbardziej niepożądane. Lecz o eksterminacyi żywiołu polskiego w Królestwie, a także skolonizowaniu go przez chłopów rosyjskich, mowy być nie może, chyba z wyjątkiem powiatu Zamojskiego, gdzie wywłaszczona ordynacya, zajmująca znaczną część powiatu, mogłaby być uznana za „ziemię posiadającą znaczenie państwowe“ i rozkolonizowana przez ludność rosyjską. Ale co się tyczy innych ziem Polski historycznej, liczącej przeszło 3 mil. ludności polskiej, dla nich proponowane eksperymenty agrarne byłyby klęską.

Cała historia tych ziem w ciągu ostatnich lat stu kilkudziesięciu tego dowodem.

Po pierwszym i drugim rozbiorze rozpoczęły się konfiskaty i rozdzawnictwo ziemi koronnej generałom rosyjskim; to samo odbywało się po 1831 r. Wobec jednak posiadania przez Polaków prawa kupna ziemi, ziemia nabywców rosyjskich przechodziła do rąk polskich i przed 1863 r. stosunek ziemi rosyjskiej do polskiej równał się 1 do 70. Przyszły potem konfiskaty, sekwestry, przymusowa sprzedaż — przyszło to, co nosi popularną nazwę prawodawstwa Murawjewa.

Cyrkularz zawiadowcy dóbr państwa Zielonego, rozesłany zarządowi Izb dóbr państwa 25 lutego (9 marca 1867 r.) porucza folwarki skarbowe w gub. zachodnich oddawać w dzierżawę wyłącznie osobom pochodzenia nie polskiego, zwłaszcza duchowieństwu prawosławnemu, starowiercom i całkiem lojalnym chłopom miejscowym. O dzierżawcach i o proponowanych przez nich warunkach zawiadamiać polecono generał-gubernatorów, którzy mieli komunikować o nich ministeryum.

D. 5 (17) marca 1864 r. wydano Zasady ulg, przywilejów i zapomóg pieniężnych, dawanych przy kupnie majątków skarbowych i prywatnych w gub. zachodnich. Z ulg tych mogli korzystać mieszkańcy wszystkich gub. Imperyum pochodzenia nie polskiego oraz nie Żydzi. Kupujący majątek, zastawiony w instytucji kredytowej lub obciążony długiem skarbowym, mógł albo przenieść na się ów dług w rozmiarze, nieprzewyższającym wartości majątku, albo wypłacać 5% świadectwami indemnizacyjnymi i 5% renty, podług wartości nominalnej. 2) Kupujący majątek bez zapomogi albo bez przekazania długu na sumę nie mniejszą niż 15 tysięcy rb. lub z zapomogą i z przekazaniem długu na sumę nie mniejszą niż 30 tys. rb. otrzymuje prawo pędzenia wódki bez względu na to, do jakiego stanu należy, a jeżeli jest kupcem 1-szej lub 2-giej gildyi, otrzymuje tytuł obywatelstwa dziedzicznego (patomstwiennawo paczotnawo grażdanstwa). 3) Kupujący majątek korzysta z zapomogi rządowej, ze stworzonego na ów cel funduszu specjalnego; zapomoga ta zalicza się do opłaty ceny sprzedaży, a następnie amortyzuje się na mocy przepisów bankowych w ciągu 37 lat za pomocą wnoszenia po 6% rocznie; w ten sposób amortyzuje się przeprowadzony na kupującego dług skarbowy.

Oprócz tego, dla wzmocnienia pierwiastku rosyjskiego rozprzedano osobom pochodzenia rosyjskiego bez licytacji, za bezcen, pozostałe po nadziale dobra państwowe.

10 (23) grudnia 1865 r. zakazano Polakom kupna majątków w dziewięciu gub. zachodnich.

W 1887 r., następnie w 1892 i w 1895 r. wydane były prawa, skierowane przeciw własności ziemskiej cudzoziemców, wywołały one przejścia do rąk rosyjskich dóbr Hohenlohowskich (po-Radziwiłłowskich) i wielu innych.

W grudniu 1883, a raczej w styczniu 1884, wydane zostały prawa, zakazujące dzierżawy długoterminowej oraz zastawu majątków osobom pochodzenia polskiego.

Konfiskaty, przymusowa sprzedaż ziemi po 1863 r., owe rozporządzenia, skierowane ku tępieniu polskiej i wzmocnieniu rosyjskiej własności ziemskiej, rozporządzenia, z których uwzględniliśmy tylko ważniejsze, odsyłając czytelnika do cennej pracy mecenasa B. Olszamowskiego¹⁾, wytworzyły na ziemiach Polski historycznej, własność rosyjską i zmniejszyły znacznie własność polską.

1) B. Olszamowski. Prawo do ziemlewdalienji w Zapadniom Kraje.

Stosunek jednak obszaru własności polskich do rosyjskich przedstawia się w tym kraju, jak następuje:

	Polska własność	Rosyjska własność	
Gub. Kowieńska . . .	75%	14%	ogólnej
„ Wileńska . . .	73%	20%	przestrzeni
„ Grodzieńska . . .	53,6%	40%	wielkiej
„ Mińska . . .	49,7%	41%	własności
„ Podolska . . .	48,3%	49%	
„ Wołyńska . . .	47,9%	45,4%	
„ Witebska . . .	40,6%	42,3%	
„ Mohyłowska . . .	33%	63,6%	
„ Kijowska . . .	—	59,3%	

Większa własność rosyjska, jako produkt sztuczny, musiała by zniknąć drogą parcelacyi lub przejścia do rąk polskich, o ileby nastąpił w kraju tamtym wolny obrót ziemią.

Wielka własność rosyjska nie odgrywa roli w życiu tamtego kraju; absentyzm wielkich właścicieli rosyjskich jest niemal regułą. Majątki polskie i rosyjskie są przeważnie gospodarowane przez Polaków.

Wielkich właścicieli Polaków podług danych Komitetu Ministrów w gub. Witebskiej, Mińskiej, Mohylewskiej, Kijowskiej, Wołyńskiej, jest 19,863, niemal 20,000 z 10 blisko tysiącami wielkich właścicieli w gub. Kowieńskiej, Grodzieńskiej i Wileńskiej, cyfra większych właścicieli Polaków 9-ciu gub. zachodnich dochodzi do 30 tysięcy.

Przeciętna własność polska jest większą od rosyjskiej.

Gub.	Właściciele ziemscy prawosławni, staro- wiercy i protestanci	Katolicy
Gub. Witebska	6,669	2,564
„ Mińska ¹⁾	8,706	4,554
„ Mohyłowska	11,395	2,722
„ Kijowska	5,776	1,054
„ Podolska	4,612	1,225
„ Wołyńska	13,741	3,414

¹⁾ W pracach mińskiego gub. komitetu o potrzebach przemysłu rolnego spotykamy statystykę podziału własności ziemskiej polskiej i białoruskiej, zaczerpnięte z danych Ministerjum Spraw wewnętrznych.

Ilość dziesięcin	Białorus. i ros. właśc.	Polscy
Od 5—25	5172	1996
25—60	1325	995

Otóż stosunek przestrzeni polskiej własności do niepolskiej (właśność katolików przyjmujemy za polską, inne za niepolską) jest bardziej dla nas korzystną, niż stosunek ilościowy właścicieli Polaków do nie Polaków. Pochodzi to stąd, że największe dobra ziemskie znajdują się w rękach polskich.

Uzupełniający nadział do wyższych norm nadziału z 1861 r. wywołały w kraju tamtym, według obliczeń Kaufmanna, znaczny deficyt ziemi. Gub. Wileńska miałyby 960 tysięcy dzies. defic.

„ Kowieńska . . .	11	„	„	„
„ Grodzieńska . . .	838	„	„	„
„ Witebska . . .	1000	„	„	„
„ Mohyłowska . . .	1107	„	„	„
„ Podolska . . .	1536	„	„	„
„ Wołyńska . . .	20	„	„	„
„ Kijowska . . .	2485	„	„	„
				7027

Tylko gub. Mińska miałyby nadwyżkę około 62 tysięcy dziesięcin. Deficyt ziemi dziewięciu gubernii, Litwy, Białej Rusi, Wołynia, Podola i Ukrainy wynosi $\frac{1}{4}$ deficytu ziemi, obrachowanej przez Kaufmanna dla 44 gub. Rosyi Europejskiej. Dowodzi to, że dokonanie nadziału uzupełniającego w tym kraju natrafia na większe trudności w samym stosunku ilościowym ludności do ziemi, niż w Rosyi. Tu przypomnę, że, o ile byli obecni na zjeździe włościańskim wszechrosyjskim delegaci owych gubernij, to albo nie zabierali głosu, albo nie wypowiedali się za wywłaszczeniem.

Posłowie tych gubernij, nawet należący do stanu włościańskiego, byli przeciwnikami tworzenia zapasu państwowego ziemi oraz oddawania ziemi na własność. Wyjątek stanowił poseł adwokat z Kowna, Bramson, który podpisał projekt trudowików. Ludność tamtych stron pamięta, jak osadzono starowierców na zgłiszczach wsi litewskich zniweczonych w 1864 r. W 1865 r. Ministerjum dóbr państwa poleciło oddać grunta pozostałe w 6 guber-

Ilość dziesięcin	Białorus. i ros. właśc.	Polscy
Od 60—200	1300	668
200—500	433	340
500—1000	202	208
1000—2000	107	184
2000—5000	95	125
5000—10000	32	39
ponad 10000	23	36 (str. 15 z referatu Lubńskiego o ziemskiej gospod. w gub. Mińskiej).

niach północno-zachodnich po wysiedleniu nieprawomyślnych rodzin wyłącznie Rosyanom i starowiercom, tylko ich również osiedlać na gruntach zapasowych, wogóle skarbowych oraz fermach, leżących na granicy Królestwa.

Projekty, wniesione do Dumy, nawet projekt grupy pracy, wyłącza z pod kompetencji organów samorządu grunta, „posiadające szczególne znaczenie dla państwa.“ Pod tą rubryką znaleźć się może ziemia dla kolonizacji rosyjskiej w wielu miejscach Polski historycznej.

Rząd podejmował wielokrotnie kolonizację chłopską rosyjską w guberniach litewsko-ruskich, a nawet w Królestwie. Ostatnia próba kolonizacyjna rosyjska na Litwie przypada w 1903 r. Błędem byłoby przypuszczać, żeby ze zmianą formy rządu, zmieniła się dążność Rosyi do umacniania się w krajach zdobytych na Polsce. Sorel zwrócił uwagę na to, jak rządy rewolucyjne kontynuowały tradycyjną politykę Francyi Richelieu'go.

Tradycyjne dążności Rosyi do wzmocnienia rosyjskości na Litwie i Rusi będą musiały przybrać tylko inną formę: jedną z tych form jest unifikacyjna reforma agrarna.

30 tysięcy rodzin większych właścicieli, wyrwanych z głębi tamtego kraju nie obejmuje całego bilansu naszych strat narodowych w tych dzielnicach. Większość dzierżaw, nawet w dobrach rosyjskich, znajduje się w rękach polskich, administratorowie, służba folwarczna jest przeważnie polska na Litwie, Białej Rusi i w krajach południowych. Ilość rodzin polskich, żyjących z rolnictwa w tych krajach, można szacować śmiało na kilkaset tysięcy, ilość osób na 2,000,000. Jest to wobec absentyzmu rosyjskich właścicieli ziemskich jedyny kulturalny pierwiastek w kraju. Reformy agrarne czy to kadeckie, czy grupy pracy wykoleją tych ludzi. Wykolejeni nie będą mogli być podporą samorządu lokalnego w kraju i samorząd ów nie będzie czynnikiem podniesienia kultury krajowej, techniki rolnej. Ludność miejska, jako dyletant w sprawach rolnych, jako niezająca dobrze warunków życia chłopskiego, o ileby nawet pragnęła pracować rzetelnie w samorządzie ziemskim, nie odda mu tej usługi, co inteligencja i pół inteligencja wiejska.

Odnienny rozwój dziejowy i inne warunki uwłaszczenia w Rosyi i w ziemiach Polski historycznej, włączonych do państwa rosyjskiego, nadają kwestyi agrarnej w Rosyi i Polsce odmienny charakter, jak się przekonamy w dalszym ciągu pracy naszej. Nasze stosunki agrarne nie wymagają tej chirurgicznej operacji, jaką pragnie dokonać Rosya, rozdrażniona swem niedomaganiem gospodarczem.

PAMIĘTNIK.

(Strofy liryczne).

1.

...Nauczycielka wiejska...

O, jakże to brzmi sielankowo i ideowo! Czuję zapach sianokosów, słyszę szum jodeł rodzinnych w tem słowie!... Nauczycielka wiejska!... Pamiętam, że w czwartej klasie pisałam éwiczzenie na temat: „Czem chciałabym zostać po ukończeniu pensyi?“ i rozrzewniałam wszystkie moje koleżanki opowieścią wymowną o urokach tego posłannictwa...

Któż z nas choć raz w życiu nie marzył o całopaleniu bezinteresownem? Któż z nas przez pięć minut życia ducha nie był Farysem? Los wybrał sobie to jedno z tysiąca rozwianych marzeń i spełnił je. Tu mogłabym wtrącić zdanie o ironii losu, ale nie wtrączę. Idea zbliżka, to gromada brudnych dzieciaków, którym trzeba wszczepiać w tępe mózgownice ziarna wiedzy elementarno-dozwolonej, wzamian za wikt i opierunek.

Stało się tak, bo „żyć trzeba“ i na mocy tego pewnika, wiedząc, że tylko cztery klasy ukończyła, przyszedłam do przekonania, że mi nic innego nie pozostaje. Zawsze to lepiej, niż zarabiać „igłą“, do której czuję najzupełniejszy wstręt, lub wyjść za mąż *rozsądnie*, do czego czuję wstręt jeszcze większy.

Zresztą, wyznając z rumieńcem wstydu dziewiczego, los nie wiodł mnie na pokuszenie, bo w konstelacyi mych satelitów nie świeciła, ach, niestety, gwiazda kandydata do małżeństwa z rozsądku!...

Nauczycielka wiejska, przeciętna kropelka w oceanie ludzkości!... Gdyby mi kto był powiedział przed laty, że przyjdzie

dzień, kiedy sama sobie powiem:—trupio spokojnie, bez uniesień, bez rozpaczy: „Jestem taka sobie, arcy przeciętna... Nic we mnie niema...“

Ha, ha!... Marzenia! marzenia! Nic nie działałam na świecie... prócz marzeń—ale one były już za to, jak się należy! Życia, *meo* życia bez nadzwyczajności — nie rozumiałam. Na dnie duszy niosłam pewność aprioryczną, że jestem stworzona do wielkich przeznaczeń!

„Kiedyś...“ Nieokreśloność czasu, przestrzeni, bezkreśność cudów... Idę ulicą, jadę wagonem, i jedno słowo czyjeś przenosi mnie w zaczarowane okręgi tego „kiedyś.“ W świat z za lustra... Np. kiedy chłopczyk sąsiada przyniósł do domu złapaną sikorę...

Ptaka latał po pokojach, tłukł się o szyby...

„Kiedyś.“ Jedna sikora? O, nie!... To już ptaszarnia, gmach tęczyowy, ściany z drutu, kręgi powietrzne... Skrzydła złote i korallowe, gardła ze szmaragdów, połyski i upierzenia migotliwe, tyśiące gwizdów, śpiewów, okrzyków... Sen z jakiejś wyspy południowej, gdzie pną się liany... Ja, zwyczajna, nieuczona dziewczyna, stoję naprzeciw ciębie, o przyszłości!... Przyszłości niewyczerpalna, wspólna dla największych i najmniejszych tej ziemi!... Od skromnej chwili obecnej jeden skok do obrazów chimerycznych, widziadłowych... Wzywam je... i stają się... Na moje zaklęcie...

Aż przyszła chwila, kiedy czad się rozwiął, zostało odurzenie niezdrowe, jak po haszyszu... Zabrakło mi życia... Zapra gnęłam rzeczywistości... I znalazłam się wobec pustki, ze śmiertelną tęsknotą... Z tęsknotą, na której określenie brak nawet wyrazu...

2.

Po co to piszę?

Czy żeby oszukać marzenia pensyonarki... marzenia o twórczości, sławie, powodzeniu, upojeniach?

Piszę to dla siebie, wiem, że piszę dla siebie. A przecież, mimo wiedzy, wbrew wiedzy, oczekuję jakiegoś tajemniczego „kogoś“, kto odczyta te elukubracje. Kiedyś, może po mojej śmierci... I mimowoli piszę na korzyść swoją...

To obcowanie z za grobu pociąga mnie bardziej, niż wymiana słowa konkretnego. Gadać!... Cóż jest brutalniejszego... Nie umiem mówić zresztą... Czy przez nieśmiałość, czy przez dumę... Gdy chcę usta otworzyć, wszystko zastyga mi w gardle... Jakies wewnętrzne „po co?“ Jestem niezgrabna, wyglądam na mruka...

...Nauczycielka wiejska...

Nic już ze mnie nie będzie. Jakież to okropne słowo! Jaki okropny stan ducha, kiedy się dochodzi do takiej mogilnej pewnością...

Więc co? próbuję się buntować. Gdybym była napisała dwaście tomów lichych powieści, lub namalowała pół tuzina portretów rodzinnych, lub wybębniła Griega po koncertach dobroczynnych... Czy to byłoby już co innego?

Nie. Nie idzie o czyn dokonany, lecz o duszę, o nastrój twórczy duszy... Te światy niestworzone, te ogromy niezdobyte, tę całą moc potencjalną czułam niegdyś w sobie...

Dziś... nie czuję... Nic nie czuję...

Zjadły mnie dni szare, godziny porywów bezsilnych i rezygnacyi z musu. „Miernota.“ Musiałam nią się stać, inaczej byłabym oszalała. Instykt samozachowawczy rozpostarł skrzydła nademną, wyorał żdźbła buntów i odrębności. Taka sobie nauczycielka wiejska... I nic nie będzie...

Zdaje mi się, że widzę, jak powoli, nieznacznie, wdeptują duszę ludzką w szare, grzązkie błoto, rozmiarządzając na kształt, podobny do tysięcy innych rozmiarządzonych kształtów... O, życie niezdobyte!... Wszystko pozostało gdzieś na wyżynach, o których mi marzyć już nie wolno.

O, gdyby zerwać pamięci nić...

Czem byłam niegdyś, czem mogłam być...

O, gdyby strącić obraz z powieki

Tych dumnych wyżyn, tych jasnych chmur,

Które zamknięte dzisiaj na wieki

Dla połamanych mych, biednych piór...

Co uważałam za lepsze życie? Do czego się wyrывałam?

Gdy miałam lat piętnaście, naturalnie uniwersytet. Nie z miłości do wiedzy czystej, bynajmniej. W tym wieku *sapientia* nie wypełnia pożądań, a ja nigdy szczególnego pociągu do wiedzy nie czułam. Uniwersytet przedstawiał mi się raczej, jako furta do świata, do wolności. Wiedza — był to niby jeden urok więcej, atut kokieterji, nimb w oczach młodych entuzjastów, rzeczników „emancypacyi.“ Byłam głupia, jaknajcałkowiciej, ale wojowałam językiem na prawo i lewo, ucierałam się z ciotkami, burzyłam się w cudzem, a najbardziej we własnem rozumieniu... Życie, jednem słowem, tak czy owak, w tej lub innej formie. Dążenie do życia, ślepe, żywiołowe pragnienie stworzenia sobie takiej formy egzystencyi, w której najlepiej wylądowałyby się nagroma-

dzone zapasy. Tak jak kielki ziarn przebijają ziemię... I czując niejasno, że trzeba być silną, że trzeba *brać* życie, pozwalałam nieść się biernie fali, wprzęgåłam w jarzmo, wbrew woli, wbrew pragnieniom...

Dlaczego?

Ot, nie umiałam żyć...

Zostałam nauczycielką, bo to było najprostsze, najpewniejsze. Pewne! Nie wiem, skąd we mnie obawa największego uroku życia: niepewności, nieokreśloności. Im starszą jestem, tem bardziej rozrasta się we mnie ta obawa atawistyczna. Inaczej nie mogę jej nazwać, tak bardzo nie zgadza się z całą mną, z temperamentem moim, nawet z wyrozumowanym poglądem na życie.

Dziś, o dziesięć lat starsza, stoję u przełomu losów i znów nawiedza mnie genialna myśl, że trzeba „coś zrobić...“ Czuję, że to może ostatni raz już... i wiem, że nic nie uczynię... dziś, po dziesięciu latach i morzu gorzkich rozczarowań, ani na włos nie mędrsza... I wiem, że aż do końca iść będę tą drogą, przeklinając siebie i wiecznie wdychając nad „zmarowanym życiem...“

3.

...Bez żagli, wiosł, łódź moja płynie
W przestrzeń tajemną...

Po zachmurzonej, mrocznej głębinie
Bez żagli płynie...

Za mną — noc z ciszą martwą i ciemną,
Mgły nieskończone i noc przedemną...
...Bez żagli płynie.

Na szlaku moim uwiedły róże,
Zgasł uśmiech słońca
W kłębach chmur rudych, w gromów purpurze
Uwiedły róże...
Płynę i płynę... Piersz moją trąca
Tęsknota wieczna, gorzka, paląca...
...Uwiedły róże...

Płynę i nie wiem, dokąd i po co
Niesie ta fala
Łódź moją błędną... Łódź mą sierocą...
Dokąd i po co?...
Czy mi gdzieś przystań ognie rozpala?...
Czy się przybliża?... czy się oddala?...
...Dokąd i po co?...

4.

Kiedy się zniżyły loty mych piór? Kiedy wyniszczała siła odśrodkowa?

Ludzie wgłębiają się ostrzem myśli na samo dno zagadnień życia. Życie tworzy nowe problemy. Coraz się zmienia kształt świata... A ja, zakrzepła w codziennym kołowrocie, zasłuchana w melancholijną pieśń duszy... Zawsze w sobie.

Myślę znów o Bolku. Czytałam dziś w gazecie, że grano jego dramat. Co teraz porabia? Próby teatralne, atmosfera sztuki, przedstawienie, tłumy, oklaski... Kontakt bezpośredni ze światem wybrańców, których słowo kieruje ludźmi... Bolek, ten uczeń, którego regularnie codzień spotykałam w ogrodzie Saskim, idąc do klasy... Bolek, który przynosił mi swoje wiersze do oceny, bo miałam między koleżankami reputację „poetki.“

Więc on doszedł.

A ja?

Owijam się w togę nieprzystępności... Milczenie wyższe jest od mowy. Ja, z hardą, milczącą duszą, to głębia niezbadana, to tajemnica. On — to słowo, które się już wypowiedziało, Sezam, który się otworzył, wielkość określona i wymierna. Wiecie, co może wam rzec, co rzekł. Tego, co jest we mnie — nie znacie. Nie dowiecie się nigdy, jakie wartości mogę wam narzucić. Durna jestem tem wszystkim, co jest mojego, chmurnego, nieznanego wam... Ale z tą dumą moją stoję gdzieś na boku, odrzucona przez potężny rytm życia. A Bolek, zwyczajny Bolek, który niczego nie żądał i o niczem nie marzył...

„Stworzona do wielkich przeznaczeń...“

I nic się nie stało... Płomienie spopielały... Żyzna gleba stała się ugiorem...

Niepamięci... nakryj mnie płaszczem...

5.

Po co piszę to wszystko?

Czemuby raczej nie zdusić, nie zmiażdżyć w sobie, resztek buntu, być jedną z tysięcy, kazać milczeć na wieki

„pieśni, której nie było dane ożyć w słowie...“

Ach! zaraz cisną mi się na usta słowa nienapisanego nigdy poematu:

Pieśń moja nieskończona... Tam, w głębi, drżą jeszcze niewyrażone myśli, niewyłkane dreszcze...

Wierzę w to, na nieszczęście wierzę, że jest jeszcze coś: tragedia moja...

Czuję się silna, zbobywca... Czuję się na siłach wyzywać i zwyciężać! Stanąc przeciw światu i świat podbijać! Ja, prosta, głupia dziewczyna, nauczycielka wiejska z Zalesia, czuję w sobie Moc — moc królewską!

Chcę sławy, chcę upojeń, chcę miłości!

Miłości...

W piersi zrywa się fala ciepła, nieprzemierzona... Wzbiera, piętrzy się, objęłaby świat cały... Serce się rozszerza... Kochać... o, Boże... Kochać... Jednego człowieka... jedyne na całym świecie... Mieć duszę swoją — bliską — najdroższą... Życ dla niego, żyć w nim, przez niego...

Precz, precz... Wracajcie dnie powszednie... Precz wy, zbyt piękne, zbyt szalone, zbyt nieprawdopodobne pokusy!...

Ciężko mi na duszy... Ciężko...

Wybiegam nad rzekę, siadam na wierzbie pochyłej. Wicher wyje. Powietrzem lecą tchy posępne... dziwne, bezkształtne postacie, zmiatające piasek z drogi długimi szatami. Coś szlocha... szlocha do bólu, do obłędu, do roztopienia się wszystkiego w bezmiernej otchłani płaczu... Lecą liście, ostatnie liście. Rzeka poczerniała, wiatr bije z wściekłością o zbełtane fale.

Kruki wspomnień zbiegły się nademną. Czynią sobie żer ze mnie. A krew płynie. I znów ta bajka-farsa. Stara, jak świat... znana, jak świat... Bajka życia. O człowieku, co kochał gwiazdy, a zatopił się w błocie, w trzęsawisku lepkiem i brudnym. Próżne wysiłki... idzie coraz dalej na dno... coraz głębiej...

...I pocałował zwierciadło,

I cały stał się — błotem...

Duszę bym wydarła, żeby tego człowieka uratować. Szaleń modlitwy rozpacznej wołam: „przejrzyj!...“ Usłysz mnie!... Słuchaj mej udreki!... Gdybym mogła w ciebie przelać moje jasnowidzenie... Że nie to jest treścią życia... Że poświęcasz duszę dla mirażów błahych... Gdybyś mi uwierzył... Gdybyś chciał mnie zrozumieć...

...Lecz że modlitwa dziecka nie może —

Smutno mi, Boże...

I zwolna, zwolna mierzchnie wszystko, rozplywa się w szarości przedwieczornej... Wierzba skrzypiąca... Drobne, równole-

głe fale... Wracam omgloną drogą. Dłoń na oczach... perły łez w wodę... Istna Niobe!...

Chybiony efekt! Nawet płakać niema dla kogo. Nikt tu cierpień mych nie widzi. I znów chałupa i ta sama izba... I znów chwile szare, chwile monotonne, chwile beznadziejne... Trupia cisza odpowiada okrzykom wzburzonego serca... Wieś już śpi. W oparach mdło łyskają kaganki z jednego, dwóch okien. Woda szumi na grobli. Psy gdzieś urągają przejeżdżającemu zwolna wasągowi.

I znowu noc...

Czarna, straszna noc, w której drgają tętna milionowych tworów. Obiegają duszę, szarpia ją strachem płaskim, ślepy, niewytłómaczonym. Czasem, na dworze, pies zestrachany szczeknie urywkowo i milknie. Wraca cisza, straszna cisza pustkowi. Szelsty odpowiadają sobie po kątach. Za oknem Warta, burzliwa czarność... tajemnicze *Coś*... nieprzeniknione, milczące, martwe.

Życie moje, żywe życie szarpie się i rozbija o ten sen śmierci, o tę twardą, kamienną nicość. Ratunku! Doszłam do lat dwudziestu sześciu i nie żyłam... Ani chwili... Wieczne pragnienie, wieczne oczekiwanie czegoś... Co nie przyszło... Wybujale marzenia i gnuśna rzeczywistość... A ja chcę, ja pragnę, ja żądam życia! O Boże!... W ciało mi się wgryzają pręty mej klatki! Krew tryska z ran. Szaleję!.. Krzyczę!.. Szlocham!.. Miazdzy mnie fatalność, spycha na dno nędzy, w otchłań czarną, w paszczkę rozpaczy, nad wygony ciemne, gdzie błądzi Samobójstwo... Szlocham bez łez...

Przez noc całą... I znów przychodzi dzień, zwlekam się z łoża tortur, przywdziewam maskę z kamienia, wypełniam obowiązki. I nawet uspokajam się. Po okropnej nocy następuje dzień omdlały. Ciało wydręczone nie ma już sił do cierpień. Siedzę w trupim spokoju. Owłada mną jakieś zwierzęce przywiązanie do życia, radość czysto fizyczna z tego, że chodzę, jem, patrzę. Człowiek, to jak trzcina: nie wiem, jak deptany, odgina się nanowo.

Och, jakże się nienawidzę za tę spreżystość glisty, za tę wytrzymałość płazu, który, zmiażdżony, zdeptany, jeszcze z mułu i błota podnosi głowę — ha! ha! ha!... do słońca!...

6.

Siedzę i rozmyślam.

Płaczą mi się ułożone niegdys wiersze:

Znasz li ten kraj, gdzie biały bez rozkwita,

Gdzie eicha wieś, w koronę wierzb spowita... i t. d.

.....

Znasz li ten kraj, gdzie niegdyś, ach, przed laty,
 Pod nogi nam los pieśni ślał i kwiaty...
 I marzeń rój — ach, cudne te marzenia!...
 I uczuć szal — ach, niema z nich i cienia!...
 Tam, ach, tam...

Poezya...

Moja miłość — jeśli to miłość była — nie miała tła z wierzb kwitnących i marzeń wiosennych. Wkoło nas huczało miasto — brudne, zapyłone miasto, zięjące kopciem, duszne od skwarów letnich, z całym smutkiem umierających drzew. Marzenia?... nie było marzeń... tylko nerwy i pożądanie... I nawet nie pożądanie... Tylko obawa, rozpaczliwa obawa samotności, lęk duszy rozbitej i wykolejonej — pragnienie łątania pustki swej i nędzy cudzą nędzą...

Szukaliśmy się, jak dwa rozbitki na szczątku łodzi... by się wzajem podtrzymywać, i wzajem spychać w otchłań.

Szukaliśmy się, jak usychający bluszcz czepia się próchniejącego dębu. Każde z nas szukało w drugim ucieczki od siebie, od zdradzonych marzeń, od rezygnacji na dolę gnuśną i codzienną. Chcieliśmy się krzepić cudzą siłą... a kiedy przekonaliśmy się wzajem, że nic z nas niema, odwróciliśmy się od siebie.

Prawda?...

O, pamiętam jeszcze ten dzień letni, duszny, przepojony zapachem akacji. Słońce gasło gdzieś w wylocie ulicy, zapadało w obłok krwawego kurzu... Wysuwały się pierwsze gwiazdy samotne, nieśmiałe... Szliśmy zwolna, tuż przy sobie, okrążani tłumem, a samotniejsi, niż te gwiazdy... sami tylko, dla siebie... Szliśmy — i wracali — i nie mogli się rozstać... Szukałeś rąk mych co chwila, co minuta...

Pamiętam, jakieś łkał nieprzytomnie:

— Stacho, Stacheczko... ulituj się... ja płomienieję... ja cię chcę mieć blisko, bardzo blisko...

Uciekłam, zamknęłam drzwi na klucz... Stałeś pod oknem przez noce całe... I to się powtarzało co dzień. Przez ów niezapomniany miesiąc... I gdybym zamiast tego upartego „nie...“ Gdybym cię nie była odpychała...

Ale tyś się znużył kruszeniem kopii o niezdożytą bogdanę... Zwyciężył zdrowy rozsądek... Związywać życie... Z taką sobie nauczycielką... Szlak kariery taki obiecujący... Umiąłeś usunąć się w porę... Zapomniałeś mnie?... Nie sędzę... I ja ciebie zapomnieć niemogę... Pamiętam cię przez dni bólu, który mi sprawiłeś. Pamiętam cię przez łzy moje.

Uciekłam od ciebie, bo nie umiałeś żyć. Boś sobie życie zламаł i mnie zламаłbyś... Uciekłam, jak żyjący ucieka od tupa... Ale żal mi...

Czemuś ty żyć nie umiał?

O mój nienazwany, którego ust nie dotknęłam ani razu... którego nie nazwałam po imieniu ani razu... Czy ci lepiej bezemnie? Powiedz!

Wiem. Jesteś w wielkim mieście. Idziesz, podziwiając na zimno „owoce kultury europejskiej,” układając efektowne zdania do najbliższego artykułu wstępnego. Idziesz, przeklinając w duszy kulturę i siebie, potrącany przez tłum obcy i wrogci, z uczuciem żrącej samotności, z nieświadomym poczuciem czegoś chybnego, fałszywego, sztucznego.

Ach! pomyśl... Gdybyśmy byli razem... Gdybym oparła głowę na twem ramieniu... Gdybyśmy w przyszłość patrzyli we dwoje... Czyż życie nie byłoby lżejsze, piękniejsze, powabniejsze? ...W tej chwili żyć nie mogę bez ciebie.

Tak, tęsknię... Perswaduję sobie, ośmieszam cię, mówię, że nieszczęściem byłbyś dla mnie, że zmarnowałeś swoje życie i możebyś zmarnował...

...Wiem, że napróżno dusza się roztrwania,
Za tem widziadłem kruchem i zwodniczem,
Że to obłądem było — a jest niczem...
Wiem... i mrę w szponach wolnego koutania...

Cały dzień dzisiejszy smutny i przeklęty, myśl, jak urzeczona krąży wkoło ciebie... Tak mi ciężko... tak mi ciężko... Ah, tak tęsknię... Śmieszny, brzydki, nudny, stetryczały, stary kawalerze. Ludzie śmieją się z ciebie... I ja się śmieję...

I kocham cię...

7.

Melancholia... Melancholia...

Idę, jak codzien, brzegiem rzeki, wskrós kłębiących się mgieł... Dal cała przesnuta oparem, wytehnietym z wód, niby szatami bezcielesnych nimf mokradeł... Lasy dymią, jak wielkie czasze ofiarne...

Zwolna wlecze się za mną piosnka:

Mam ci ja woliki, mam ci ja koutiki,
Mam ci ja wo-li-ki...
A dziewczyny ja nie mam, co ma koraliki,
Co ma ko-ra-li-ki...

Dwa, trzy takty, tęskne, urwane... Bezbrzeżna żałość, tęsknota... Idę, a za mną wloką się skrzydła złamane tej piosnki wiejskiej.

Słyszałam ją niegdyś. Gdzie?... Kiedy?... Może nad kołyską... Nie wiem...

Jak mi smutno, ach, jak smutno...

Śmiertelnym smutkiem wieje na mnie od lasów, od rzeki, od torfowisk, utopionych w rosie. Może to duszyczki tych bagien... matka malarya o płonących oczach, co łowi rok rocznie legiony w swe sieci żarłoczne. A może ja przyniosłam w sobie ten smutek śmierci, co zatruwa wszystko dokoła mnie? We dnie i w nocy... W poranek majowy, i w wilgotny wieczór jesienny, jak dzisiaj...

Słucham ciszy...

Jak daleko od świata... Boże, czyż istotnie gdzieś, kędyś, są ulice, lampy elektryczne, gwar, ludzie?

Zda mi się, żem księżniczką zakłęta. Tylko nie w pałacu, nad jeziorom śpiących nenufarów, pomiędzy kolumnami z marmuru. Mój pałac, to szkoła z najjaśniejszym portretem, z rzędami ławek, na których mrowią się cuchnące dzieciaki...

Coraz dalej usuwam się od życia. Dawniej, niegdyś, był to przynajmniej żywy, krwią ociekający, dramat. Czułam węzły, łączące mnie z organizmem powszechnym, miałam około siebie bratnią wielość... Teraz to już cień cienia, jakieś nikłe, wiotkie, bezkrwiste wspomnienie... Wygnanka ze świata żywych, nauczycielka wiejska na puszczy, jedyna dusza na obszarze nieba i ziemi—zwieram się w sobie, przywykłam mówić z sobą tylko, porozumiewam się mrugnięciem oczu, odcieniem myśli...

Kiedy popękały te nici? Kiedy uczułam ostrą przeciwstawność i samotność mego ja? Jak zburzyć ten mur szklany? wkołnić się w życie, odegrać czynną rolę, nie odczuwać tej strasznej granicy między *mną* a *nie-mną*? Boję się, że z czasem zniknie wszelki grunt wspólny... Zdziczeję tu, będę, jak człowiek z innej planety.

A ja żyć chcę! Wszystko buntuje się we mnie przeciw tej śmierci przedwczesnej! Fizyolog powiedziałby, że to zmysły. Nie! to nie są zmysły... Nie powiem, żem z kamienia. Lubię oczy rozszerzone... i słowa dunszone namiętnością... Lubię, gdy się we mnie kochają. Ale lubię to jak sport, dla efektów teatralnych. Jestto erotyzm na zimno, marzycielstwo zmysłowe. Tyś tego nie rozumiał... Dla ciebie istnieje tylko pociąg brutalny

i żywołowy. I dlatego rozeszliśmy się... W uszach mi jeszcze brzmi twoje uparte, bezmyślne:

„Nie rozumiem... nic nie rozumiem...”

Myślę teraz często, że może nie tylko miłość karyery... Gdybym nie mówiła wciąż „nie“ i „nie...” Ach, czyż można wiedzieć!... Życie jest tak splątane i tyle złożonych przyczyn składa się na jeden prosty, zwyczajny fakt...

8.

Codziennność pożera mnie, przytłacza, wdeptuje w ziemię. Księgo marzeń moich, marzeń chimerycznych!.. Stopcie się krwawe kwiaty w płomieniu, co oczyszcza... Niechże raz wyrwę się ze snu w kłębach haszyszu... Ocknij się duszo do czynu... Zdaje mi się, że gdybym była tam — na świecie, zdolnabym była rozpaść ogień Rewolucji, wieść, jak nowa Joanna d'Arc, hufce za sobą, ziemię ściągnąć z jej dróg na nowe tory.

„Stworzona do wielkich przeznaczeń.”

Drogi strome, drogi trudne, drogi bohaterskie... Wieniec męczeński w krwawej aureoli. Umierać, jako posiew przyszłości, z którego wyrosną kwiaty bujnie.

Znów marzenia... Jak pająk siatką, tak ja, to nawet, co z natury swej urąga marzeniu — owijam w opony rojeń. Czyn, rozwłókniony na pasma, piękniejszy stokroć — chorobliwym urokiem owocu, zgniłego wewnątrz, tęczami bańki mydlanej, która kolorów zapożycza ze światów nieistniejących.

Ratunku! Ratunku! Czytać lub pisać, lub bodaj kapy szydełkowe robić — byle uciec od siebie, od obłędu, który przystawia do drzwi moich twarz szyderską i szepece po nocach wyrazy w niesłychanej mowie jakiejś. Dotykam palcem czoła, pytam się głośno: „Czy prawda, że dwa razy dwa — cztery?” Ten pewnik matematyczny uspakaja mnie. A więc nie zwaryowałam jeszcze. Nie... Mówię głośno, czekam na odpowiedź... Echo tylko... I tylko mówi Cisza... Ta tajemnicza, niezgłębiona Cisza... Czekam na coś... Co ma przyjść... Na coś, co się stać musi... Łowię uchem dźwięki... Drzę...

I nic... nic...

A potem zawsze ta sama konkluzja:

Myślisz, marzysz, rozpaczasz i uspokajasz się, a wszystko pod korą zdarzeń... Życie rzeczywiste przepływa gdzieś zdala od ciebie... A może ono stoi — tylko ty płyniesz, płyniesz... i ockniesz się już po za grobem...

9.

Nagła zmiana — przewrót — niespodziewana znajomość.

Panienki „ze dworu,“ uprzejmość, zaprosiny, wizyta...

Ten dwór, otoczony dużym parkiem, sterczy za wsią, niby symbol wspaniałości doczesnych. Nawet w umyśle Wojciecha Zatory, który chronicznie „prawuje się“ i mawia, że on taki pan, jak i sam pan—nawet w tym rebelii tkwi przekonanie, że „dwór—to dwór.“

A przytem, czytało się tyle powieści moralnych o paniczku pięknym i szlachetnym, który pokochawszy ubogą, lecz cnotliwą panienkę i t. d. Więc z drżeniem odświętnem moja marna osoba przekraczała próg tej wyspy szczęśliwości.

Na jawie wygląda to nieco prozaiczniej, choćby dlatego, że niema, niestety, panicza, lecz tylko trzy panienki! Wszystkie trzy niezmiernie wesołe, uprzejme, i jakby zakrzepłe w pewniku, wyssanym z mleka macierzyńskiego, że należy być uprzejmą. Gdyby im się zdarzyło znaleźć wobec faktu, na który niema przepisu w rocznikach bądź maminej, bądź pensyjnej mądrości, stanęłyby bezradne i wykolejone. A wszystko z pozorami stanowczości, z mnóstwem frazesów w rodzaju: „Trzeba być praktyczną...“ „trzeba być samodzielną“ — frazesów, które duch czasu rozsiewa po błoniach i zaszczepia w mózgi automatów ludzkich.

Ale zacznijmy od początku.

Nie!... odwykłam od życia rzeczywistego, nie umiem opisywać faktów.

Więc wizyta we dworze... Sama pani widzialna i niewidzialna, zasnuta w obłok swej godności, dobrotliwie łaskawa, królowa, nie zapominająca ani na chwilę o tronie. Pan serdecznie-rubaszny, ojcowskie uśmiechy, na których dnie leży coś nie coś nie bardzo ojcowskiego... Na szczęście, nie jestem ładna...

Panienki — patrz wyżej.

I takie wrażenie, jakgdyby wszyscy, zatopieni w uprzejmości po uszy, nie widzieli mnie wcale, patrzyli gdzieś mimo, w dal, w przestrzeń, po nad czerepami takich nędznych, jak ja, istot, rozsypując uprzejmość dobroczynnie i żywiołowo, jak słońce promienie. Ta uprzejma ekspansywność sprawiała, że zasuwałam się coraz głębiej w siebie, mruk jeszcze kapitalniejszy, niż zwykle. Chwilami porywała mnie pokusa głucha i głupia: cisnąć coś o ziemię, zrobić skandal... Za tę ich zręczność światową, której mnie brak, za te ich ręce wypieszczone, przy których moje narządy

chwytania wyglądają jak obraz nędzy i rozpacz... Czulam się, razem z moją duszą i subtelnością, ordynarnym chamem.

Myślałam:

— Dlaczego dokucza mi mierność? Dlaczego, jak rana rozpalona boli mnie ubóstwo? Nie powinna mi imponować ogląda pańien Rzeczyckich. Nie wogóle imponować mi nie powinno. Tyle dziewcząt idzie tą, co ja, drogą, i to dziewcząt naprawdę lepszych... Drogą idei. Gdybym ja miała ideę! Gdybym po za sobą czuła zwarty mur piersi ludzkich, złączonych jednym celem! Ale ja idę w pojedynkę. Wiem, że po za mną nie stoi nic, że tylko nędza zmusza mnie do tego. I to mi odbiera śmiałość.

Nie umiem być sama.

By żyć samotnie, trzeba mieć osobliwy hart, albo osobliwe wykształcenie. Trenować się w kunszcie samotności. Przeciętny człowiek musi żyć w określonej gromadzie ludzkiej. Musi należeć do partyi. Na idących pojedynczo patrzą dziwnie dziko.

10.

A, prawda, zapomniałam. Jest jeszcze jeden pan.

Dawny nauczyciel synka, umieszczonego w gimazyum, niby rządca, niby sekretarz, niby urzędnik do szczególnych poleceń. Uśmiechnięty, wesoły — żartobliwe, lecz z szacunkiem przekomamarza się z panienkami, przysługi oddaje pani, rozprawia z panem. I dla mnie znalazł odrazu ton właściwy: koleżeński a wyłany. Co nie przeszkadza, że gdyby nastrój domu się zmienił, i on by mnie unicestwił. Tamci gniew we mnie wzbudzili. On — pogardę.

Służalec.

Rozumiem służalstwo z musu, z wyrachowania, ale służalstwo z amatorstwa...

Jednego nie mogę przeniknąć. Czy ten człowiek jest szczerzy? Czy bierze za dobrą monetę serdeczność swoją i umiarkowaną poufałość z panienkami? Czy też w głębi duszy ma jasnowidzenie? W takim razie — albo musi drwić gorzko... albo płakać nad sobą.

A może się mylę. Może taki służalec „sapiens“ widzi jedno tylko: cel — miskę soczewicy. I to go wprawia w stan hipnozy. Ma jednak coś swojego, niezależnego od gustów domu. Nawet wbrew. Bo gdy pani Rzeczycka ganila go, że grosz wyrzuca, bronił z zapalem swych „namiętności.“

Oto — biblioteka.

Kupuje książki: rzadkie i pospolite, nowe i używane, druki, rękopisy, gotykami, na bibule, foliały z trupiemi głowami w tytułach... nawet w językach, których nie zna. I dziwił się, gbym powiedziała, że książek nie zbieram, a nawet rozdarowałam te, które posiadałam, wyjeżdżając na wieś. W tej chwili dopiero zauważyłam to w sobie. Nie mam instynktu kolekcjonerstwa. Nawet instynktu własności. Nie pragnę posiadać. Chcę mieć to tylko, co mi potrzebne dla mojej osoby. Reszta nuży mnie i nudzi, jak niepotrzebny balast. Mam widać duszę komunistyczną. Byłabym już zupełnym człowiekiem przeszłości?

11.

Piszę powieść.

Chcę się oszukać, w ten sposób wyładować nadmiar sił twórczych.

Pod czaszką mam nawał wizyj, ale widzę je jako symbole, nie jako typy. Mogę je pomyśleć — nie mogę wyrzeźbić. A potem sam proces pisania ostudza we mnie bezpośredniość natchnienia. A tak mi potrzeba pisać... tak potrzeba! U mnie twórczość jest tęsknotą. Za życiem, za lepszym światem, za faktami wymarzonymi...

Gdybym była szczęśliwa—nie pisałabym.

Co jest istotą twórczości? Zdaje mi się, że stosunek krytyczny do otaczających nas rzeczy. Pisać — to znaczy protestować. W formie nienawiści lub w formie miłości. Ale dążyć do czegoś i coś burzyć.

A talent?...

Skąd we mnie ten popęd pisarski? Skąd ta niewytłómaczona pewność, że byłabym pisarką, gdybym się nie zwichnęła. Dziadek mój pono wierszami grzeszył. I jedna z ciotek, zwyczajna, nieuczona dziewczyna, smarowała ody do księżycy. Brat mój stryjeczny debiutował nowelami i nawet już drukował... zanim go życie, nieco tragicznie, nie osadziło na miejscu... Kuzynka zasypywała redakcye utworami, którym w „odpowiedziach“ stale przypisywano znamiona talentu, chociaż znajdowano „ale“, które na razie druk uniemożliwiały.. Zdaje mi się, że talent musi przejść ewolucyę, od niższych do coraz wyższych organizacyj, zanim narreszcie nie zabłyśnie prawdziwą różą, wspaniałym kielichem purpurowym. Może dopiero w drugim, trzecim pokoleniu to się stanie. I ja, razem z temi strofami, skończę, jak i moi poprzednicy, w koszu redaktorskim.

12.

Pisałam list kobiecie wiejskiej do syna w Warszawie, który służy w handlu win, bierze 25 rb. na miesiąc, ma stosunki „z samą jenteligencją“ i coś nie coś zaczyna już się wstydzic matki w chustce na głowie. Kazała mi upiększyć, „jak tam paniusia potrafi“, żeby było po pańsku, ale ja przepisywałam wprost z jej dyktanda i gdyby ów syn był nie subiektem w handlu win, lecz poetą, toby skamieniał z zachwytu, czytając tę prozę.

Biblijna prostota i jedrność... Głęboka mądrość rezygnacyi, strofy jak w marmurze kute... Ani jednego wyrzutu... Niobe patrząca suchem okiem w otchłań Fatum...

Wdowa, wyrobnica, temi zmarszczonemi rękami wychowała pięcioro dzieci. Pracowała i głodziła się... Teraz syn się żeni z panną z magazynu... Ona błogosławi na niewidziane przyszłej synowej, której boi się strasznie... i tylko prosi nieśmiało: „pisz, mój synu najukochańszy, pisz często, bo gdy list dostanę, to jak bym cię widziała, a jak listu nie mam, to mi się zdaje, że się mnie wstydzisz.“ I już do śmierci pracować będzie, nie widząc nawet syna, nie śniąc marzyć o wnuczętach, których nie upiastuje.

Zdawało mi się, że wybuchnie nagle: „Po co?... Po com ja żyła? Po co głodna byłam przez dnie i noce, miesiące i lata? przez 65 lat mego życia...“ Ale nie... Obtarła usta fartuchem i pocałowała mnie w rękę. A gdym cały list odczytała, rzekła:

— Paniusia niezgorzej pisze, prawie tak dobrze, jak pan flejczek z miasteczka.

Jest to mój pierwszy wawrzyn literacki...

Czemuż ja nie jestem poetą? Czemu nie potrafię stworzyć eposu? Ta kobieta zawiędała, o zapadłych oczach, w szarej chuście... i głos cichy... i te ręce namulone... cały poemat pracy, wypisany grubemi żyłami i węzłami, i białe ściany szkoły, i świeca, rzucająca mętne światło na pokój...

13.

Mała Józówna, bita przez ojca, który z kolei jest paryasem swego gospodarza, ma kota. Józówna wogóle nie ma, bo nawet podartą chuście „użycza“ jej z łaski gospodyni. Ale ma kota.

Własność istoty, która cała jest jednym siniakiem... Jakież to dno nędzy! I posiadanie to jest zresztą tylko przywilejem tłuczenia kota, tak, jak ją ojciec tłucze — nie łoży bowiem żadnych trudów na jego utrzymanie... Kot żyje własnym przemysłem;

dusi myszy, ptaki, młode kurczęta, za co bierze cięgi. Wyrobiło się w nim przekonanie, że proces jedzenia jest zbrodnią. Gdy go spotkam nad jakim ochłapem, ucieka z najeżoną sierścią i podkurczonym ogonem.

Spytałam Józówny: czyj to kot?

Odpowiedziała:

— Mój...

Trudno opisać akcent tego: „mój.“

Prawo życia i śmierci... Bezdeń pychy.

Tak silny jest instynkt posiadania w człowieku... Gospodarz bije ojca — ojciec, ciebie, moja Józówno. Ty z nasypką oddajesz to kotowi. Gdyby kot był mocniejszy od ciebie, nie biłabyś go. Kot, jeśli myśli, wyobraża sobie zapewne taki ideał: „ludzie będą myszy łapali, a my, koty, cały dzień będziemy chłapały mleko.“

To jest logika życia, sprężyna mechanizmu społecznego...

14.

Znów wizyta we dworze. Czasem mi się zdaje, że szczęściem jest, iż słyszę głos ludzki... inaczej rozplęnąłabym się w oceanie myśli. I z radością witam ten jedyny dopływ wieści od żywych — zaproszenie... Lecz zaledwo przebędę godzinę, męczę się niesłychanie. Cięży mi otoczenie innych. I znów wydzieram się od ludzi w moją samotnię...

Tu mi jest wygodniej samej ze sobą.

...Idą dnie za dniami, noce za nocami. Wichur jęczy i świszczcze. Fale deszczu dzwonią o szyby. Ostatnie liście tłuką się beznadziejnie o pnie gołych drzew, o zmurszałą, żółtą trawę. Po brudnym, posępnym dniu idzie ciemna, burzliwa noc. Godziny, jak kruki, kraczą na zegarze szkolnym.

Rozpamiętywania.

On i ja — ja i on... błędne koło wspomnień... Może to już tylko zwierciadła mych własnych myśli... obrazy duszy, nie rzeczywistości... Alboż jest rzeczywistość? Ja ją widzę inaczej, on inaczej. I dlatego nigdy zrozumieć się nie mogliśmy.

Czy to z oddali, po odtrąceniu sztucznych uroków, nie jest historia, starą jak świat?... Uwodzenie nauczycielki... Parę komplementów, jako wstęp... Powiedział: Bądź moją kochanką... a gdy odparłam: „nie,“ obraził się i odszedł.

Na romanse czasu niema... Simple comme le jour. I tylko ja ze swym sentymentalizmem mogłabym tu upatrywać tragedję,

łamania się wewnętrzne i t. d. Nieszczęściem mojem jest ten sentymentalizm. Jestem tkliwa i czuła, jak stara Niemka.

15.

Umarł mój krewny daleki, Władek, suchotnik.

Tak się rwał do „samoistności,“ starał o posadę, zbierał pieniądze, by się ożenić. Człowiek ten cały był wysiłkiem „dojścia,“ wypłynięcia na wierzch na targowisku życia. I już. Koniec. Nic mu nie potrzeba. Śmierć jednym ruchem przekreśliła długie formuły wyliczeń matematycznych.

Czy nie lepiej było tych dni kilku użyć na wyzyskanie szczęścia, takiego, jakie tylko było możliwe? Mówię to nie do ciebie, nieboszczyku Władku. Mówię pod innym adresem... Do ślepej zaciekłości człowieka, który także stara się *zdobywać*... Mną od pewnego czasu owładnęła dumna pogarda dla wszystkich tak zwanych dóbr ziemskich... Rzeczy zewnętrzne tak nic nie wpływają na harmonię, na równowagę ducha, bez której żadne szczęście nie jest możliwe...

Jest że to mistycyzm? Nie. Raczej epikureizm wysubtelniony, skierowany na wewnątrz. Mam to przekonanie najmocniejsze, że żadna rzecz ze świata nie może nastroić mnie na *dur*. Moll — to zasadniczy ton mego ducha. W sobie niosę wyrok swój...

Biedy Władek... Tak się starał, dwoił, troił!... Nieraz go podziwiałam z zazdrością. Jak on zręcznie przewijał się po tej arenie, gdzie homo homini lupus... Jak trafnie umiał stawiać kroki... Ja nie umiem. Wykładać przez trzy godziny dzieciom arkana czytania i pisania—oto jedyny występ czynny, na jaki mogę się zdobyć. Gdy pomyślę, że żyjąc na świecie, musiałabym ruszać się, chodzić, walczyć i wywalczać—mrowie mnie przechodzi. Zaszywam się pod siedm skór, kurczę w sobie, jak borsuk na sen zimowy.

Nieśmiałość nie jest najlepszym darem w walce o byt...

16.

Poezyi nieco:

Tęsknię do ciebie... Wieczorną godziną,
Jak sznur jaskółek myśli mi się winą,
Gdzieś w dal bezkresną, gdzieś w tę pustkę siną...

Tyś był mi życiem... jak słońce dla zbóż
Dziś tęsknię tylko... dziś nie Kocham już...

Miłość z łez, szalu i płomieni cała
W własnym się żarze strawiła, wytłala.
Dzisiaj jako luna blada jeno pała.

Kolory życia speszły z zimnych lic...
Widmo tęsknoty — pastelowy szkie...

Tak serdecznego życia miazga żywa
Powoli z ciała się wysuplowywa,
Niby jesienne pajęczyn przędziwa.

Zakrzepla w piękność, na której lśni krzyż:
W piękność posągów muzealnych nis...

I tak dalej... o tak dalej...

Nie chce mi się kończyć. Nie widzę nic, nie czytam nic...
Wiecznie czerpać z tej płytkiej bezdni zwanej moją duszą... Słowo!
Kiedyż cię odnajdę? Słowo tajemnicze...

I spłynię mi wszystko, co wre, kłębi się, żyje na dnie duszy...
i męczy mnie po nocach.

„Świat mój... mój własny... W głuchą, nocną ciszę
Bicie rozgłośnie pulsów jego słyszę...”

Zegar stanął. Świeca się dopala i gaśnie. Nie mam drugiej.
Pogrążona jestem w ciemności... nie wiem, która godzina. Koło
mnie Wieczność przepływa... światy w proch kruszy i nowe wy-
wołuje z nicości...

17.

Nagły promień życia... Krzyk głośny i rzeczywisty, co prze-
rwał pajęczynę snów...

Mniejsza o to, co i jak. Jadę, wyjeżdżam!... Rzucam Zale-
sie na długo, może na zawsze. Już pisałam po zastępczynię. Pa-
kuję rzeczy gorączkowo. Śpiewam, nie wierzę sobie, to znów za
bardzo wierzę... Zdaje mi się, że zawsze wiedziałam, iż tak być
musi, tak się skończy. Krótko mówiąc, ciotka panien Rzeczy-
ckich wyjeżdża za granicę. Włochy... Paryż... marzenia, najśmiel-
sze marzenia...

Zabiera mnie, jako towarzyszkę...

Do życia! Do życia!

O moje sny, szalone sny młodości!... Świat! Świat!.. Kłę-
bią się namiętności, dzieją wywroty, kształtuje oblicze historii!
Żyłam zawsze w marzeniu, o trzy łokcie nad ziemią... Nawet
gdy on był przy mnie... Nie piłam uroku chwili... marzyłam ra-
czej, jakby to być powinno. Ale dzisiaj pęka zasłona fatalna, roz-

wiewają się mgły. Dość snów martwych, rezygnacyi, strupieszatego spokoju! Chcę żyć... Na ziemi... Zwykłym życiem... ale żyć!... Chcę, żeby koło mnie przelewały się fale wiecznie nowego, wiecznie płodnego, twórczego życia. Chcę czerpać coraz nową treść dla siebie, chcę poznawać, działać; brać udział w kształtowaniu nowych zjaw bytu.

Tam—przestworza bez granic, jeziora zakłète, bory odwieczne, puszcze szumiące, góry niebotyczne... Miasto umarłe o białych kolumnach i zamyślonych portykach... Myśl lotem ptaka nurza się w nieskończoności. Świat rozwiera ramiona i mówi mi: „bierz...”

O życie!... jak ja kocham ciebie!...

Rozglądam się po ścianach. Tyle dni tu przepłakałam, tyle myśli zakrzepło w mur i drzewo... Moja następczyni zachoruje chyba na chroniczny sentymentalizm. Pozostaną tu po mnie mikroby, w ilości zdolnej całą świat przemienić w łzawicę...

Śmieję się sama z siebie. Żyję — nie żyję, płynę na skrzydłach... Po nad drobiazgami, po nad całą ziemskością...

I myślę, że na tem polega urok podróży. Człowiek odrywa się od swego otoczenia, od szarych, drobnych nitok, od ssawek codzienności. Człowiek w podróży jest bezimiennością, bez domu, bez mebli, bez interesów, bez wszystkich balastów ustroju kapitalistycznego. Żyje chwilą.

O uroku!... O szczęście!...

Wybiegam przed dom, przebijam wzrokiem mgły, w których, jak w tkaninach srebrnych, tkwią oka światek. Przenikam wszechświat. Niemożliwe zdaje mi się możebnem. Z duszy mej, jak z obłoku wiosennego, tryskają ustawne łyzy niewymownego szczęścia. Takam silna już teraz. Co będzie dalej, gdy przekroczę jutro, gdy wejdę do ziemi obiecanej...

Nagle, jak daleki dzwon pogrzebowy, nasepia się zwątpienie.

Może ta chwila wniebowzięcia jest właśnie cudem?... Może już nigdy, we śnie ani na jawie, serce nie biło takim rozszerzonym tętnem?... Może już nigdy, we Włoszech, czy gdzieindziej, nie będę tak łkała z upojenia bezprzedmiotowego.

Uderza we mnie jasnovidzenie.

Bierz — chwytaj — ciesz się...

Ale już znika...

18.

Warszawa.

Zaraz na wstępie odebrałam list od mej „chlebodawczyni”, że sprawy majątkowe zatrzymują ją jeszcze na wsi; prosi więc,

żebym na nią zaczekała w Warszawie. Co też czynię z lekkim, uradowanem sercem.

Upaja mnie, oszałamia ruch i różnorodność obrazów. Zastygłam na wsi między kilkoma znanymi na pamięć obliczami. Oczu nie chciało się podnosić, wiedząc, że się nie zobaczy nic nowego, ani ciekawego.

A tu co krok różnorodność. Niby plamy zmienne, ruchome, różnobarwne. Kobiety, szczególnie. Takie mnóstwo fizyognomij, oczu, rysów. Żywe, rozjaśnione, zawsze prawie powabne.

Odszukałam moje koleżanki. Niektóre wyszły za mąż. Inne wyjechały. Kilka, mniej więcej bez zmian, wlecze jak ja, z dnia na dzień taczkę żywota. Najbardziej zbliżyłam się do Władzi Brzeskiej. Władzia wykierowała się na wielką pedagogiczkę, znakomitość w swoim rodzaju. Należy do najrozmaitszych kół, co wieczór bywa na jakiejś sesyi. Przez godzinę, którą spędziłam u niej, przewinęło się z ośm osób w przeróżnych sprawach. Wszyscy szepczą tajemniczo, wyrażają się półsłówkami, robią wrażenie zamaskowanych spiskowców. Władzia traktuje mnie dość łaskawie, ale obiecała wciągnąć do pracy. Mimochodem powiedziała, że styka się wciąż z ludźmi wybitnymi i wymieniała kilka nazwisk istotnie głośnych.

— Co ja bym tu mogła robić i jak?

— Zobaczmy, zobaczmy—odpowiedziała mi z tym samym skupionym, wielomówiącym uśmiechem.

Wracałam wieczorem sama... przez ulice Warszawy.

Tak, jak niegdyś... Na każdym kroku bije wspomnienie. Z każdego kamienia, z każdego zakątka... Krzyczy na mnie: „patrz!“ I serce ściska się... myśl spłoszona ucieka boleśnie... precz, precz, dalej!... Zapomnieć!...

Weszłam do kawiarni, gdzie chodziliśmy niegdyś na gazety. Bufetowa poznała mnie. Spytała:

— A gdzie pan, proszę pani?

To jedno wystarczyło. Łzy napłynęły mi do oczu. Zaplaćcałam i wyszłam bez odpowiedzi.

A wspomnienia rozwijały się coraz dalej.

Powozy turkotały w stronę teatrów. Znów widzę nas dwoje, jak spieszymy na „Halkę“, na „Cyganeryę.“ Siedzieliśmy przytuleni do siebie, w ciemnej sali, z oczami w oczach...

Jak ten człowiek wsiąknął mi w serce, w nerwy, w życie!...

Czasem, na ulicy, zdaje mi się nagle, że poznaję ociężały, kołyszący się chód jego i pochyloną głowę... Przystaję, kamienieję. I potem dopiero usta zmartwiałe szepczą:

— Nie!... Omyliłam się.

Nie wiem wtedy, czy cieszę się, czy żałuję...

Palącym żalem...

Ach, dość... Czempredziej w inną stronę oczy i myśli... bo gdy się zbyt długo nad tem zastanawiam, otwiera się otchłań bólu, który pochłania mnie, życie moje, wszelką radość tego świata... Miłość beznadziejna!... Jakie to głupie!... W dwudziestym siódmym roku życia kochać bez wzajemności... Gdyby to choć miłość była!.. Ale on mnie nie kochał nigdy. Ani ja jego. Potrzebny mi jest do życia, jak dopełnienie moje, jak uzupełnienie. Jego śmiałość, zręczność życiowa, wiara w siebie, umiejętność panowania nad ludźmi, jego niepospolity dar wymowy wreszcie — to przeciwieństwo moje, to idealne dopełnienie wszystkich braków, które w sobie odczuwam.

On jest dla życia — ja dla refleksyi.

Czy ja wiem zresztą?...

Wiem tylko, że coś nas wiąże. I dla tego, po latach niewiedzenia, po najuroczystszej zerwaniu, spotkawszy się, zaczęlibyśmy mówić do siebie, jak gdybyśmy się wczoraj rozstali.

19.

Wiec!

Władzia przyszła po mnie, cała stylowo czarna. Odczytała starannie kartkę z adresem i podarła. Weszłyśmy wysoce konspiracyjnie na trzecie piętro. Otworzył nam student w binoklach i cichutko wsunęłyśmy się do środka.

Duże, puste mieszkanie zamieniono naprędce na salę obrad. W największym pokoju stał stół z zapaloną lampą i kilka krzesel. Inne pokoje oświecały mdło świece w butelkach. Na podłodze leżały palta i kapelusze. Grupy osób chuchając w palce, rozprawiały szeptem. Władzia znalazła wnet mnóstwo znajomych i mnóstwo spraw do każdego, przebiegała więc z pokoju do pokoju, ciągnąc mnie, nieszczęśliwą ofiarę, za sobą. Wysłuchałam dwudziestu zaczętych i ucinanych rozmów, dowiedziałam się o losie tyluż osobników, występujących pod pseudonimami, i z przeżalenia zaczęło mi się mącić w głowie.

— Jak ty możesz podołać wszystkiemu i spamiętać!..

Władzia odparła z roztargnieniem, nie bez wyższości:

— Zobaczysz, zobaczysz...

I szłyśmy dalej, ja już zupełnie wytrącona z równowagi. W samotni mojej odwykłam od czynu, przyzwyczaiłam się każdą rzecz oplątywać wiekuistemi: skąd? dla czego? jak? po co? A ży-

cie nie ma czasu na refleksy. Życie nie ogląda się. Czyni fakty i idzie prosto, dalej, naprzód!..

Życie!.. Od tych gromadek szepejących, biły we mnie fale siły jakiejś, co nadchodzi, żywiołowa, i odnawia treść życia.

Upojenie biło mi do głowy, jak wino mocne.

Coraz więcej osób przybywało... Zaczęło się robić ciasno. W końcu zdawało mi się, że to huf jakiś niepowstrzymany, ławica ryb, o brzeg bijąca, ruch konieczny, jak prawo przyrody. A przecież tłum ten, to jednostki, rządzące się wolą: różnolite, sprzeczne żywioły. Jakaż siła skuwa je dziś?.. Jakaż bezinteresowność olbrzymia!..

Chyba niema na świecie ludzi, bardziej wykształconych w bezinteresowności, od nas. Uczymy się, myślimy, rozwijamy się, dzięki cudzej ofiarności. I z drugiej strony, pracujemy, narażamy swobodę i życie — nigdy dla siebie...

I wreszcie się zaczęło...

Cisza, natężona cisza, w której słychać paręset oddechów, i czasem nerwowy, tłumiony kaszel.

Stary pan mówił:

— Oto ogień, przytłumiony od lat dziesiątków, wzbija się na nowo. Oto zaschła krew bohaterów ożyła znów i dojrzała do czynów... Oto zdławiony krzyk „wolności“ przerwał tamy i wzbija się do nieba... jednolity, gromowy, z miliona piersi... Zdaje się, że to Geniusz życia obudził się, i przedziera krępujące go szmaty. Zdaje się, że woła konieczność historyczna ze wszystkich zakątków kraju... ze wszystkich sfer... Nawet dzieci. Nie słychany pęd... ruch fal morskich, jak przypływ i odpływ — posłuszny niewidzialnym sobie prawom. Przypominają się krucjaty dziecięce, kiedy legiony niemowląt, pędziły na oślep, wiedzione przez jakiś Rozkaz nieodgadniony...

I gdy mówca umilkł, gdy zerwał się oklask przelotny i uciekł ze względów ostrożności policyjnych—aż mnie zabolął ten powrót do rzeczywistości... Wyprzedziłam bieg czasu—byłam już u brzegu wysp szczęśliwości, do których dopiero zdążamy...

Potem przemawiał Jan Orecki, znany w literaturze.

Dziwna, ciekawa postać. Brzydki, o rysach ostrych, jakby zmieszanych życiem. A jednak coś jest w tej twarzy, co przykuwa. Mówi nerwowo, dławiąc się wyrazami... mowa jego, jak i rysy, jest nierówna, pełna wybuchów hamowanych. Ten człowiek wygląda, jakby w nim coś wrzało i coś tłumił ustawicznie.

Za sąsiada miałyśmy owego studenta-odźwiernego. Odprowadził nas do domu. Nazywa się Maryan Zrečki. Władzia chcia-

ła mnie zaciągnąć do siebie, ale mnie pilno było do samotności. Teraz chodzę po pokoju... Przetrawiam...

Więc tak się dzieje na świecie...

Mnie się zdawało, że „dziś“ i wszystko co w niem istnieje — to coś zakrzepłego, wiecznego... Pozwalałam sobie na westelnie-
nia ciche, ostrożne... i trwałam w rezygnacyi wygodnej a obmier-
złej... A życie nie stało ani na chwilę. Pod korą ziemi biegnie
rzeka, rozgąłęzia się. Ogarnia wszystkie dziedziny życia... pod-
lewane krwią ofiarną.

O bohaterstwo ludzkie!... O legiony, idące na śmierć bez
zmrużenia powiek... O jakże mi wstyd mej bierności!.. Że spęd-
załam dnie i miesiące w Zalesiu, jęcząc na taczkę obowiązków,
trawiąc się myślami i głupią miłością.

Otom cała, jak pochodnia płonąca... Otom gotowa do Czynu.

20.

Ni z tąd ni z owąd przyszedł do mnie pan Maryan.

Tak samo, jak Władzia, należy do stu stowarzyszeń, biega
z sesyi na sesyę, kołacze do stu bram, rozrywa się formalnie.
Słuchałam z zazdrością. To są ludzie, którzy umieją tak łatwo
wkoleić się w bieg życia, iść z nim. Ja zawsze czuję obcość.
Zawsze „ja“ — i „wy.“

On powiada, że czyni to wszystko dla zapelnienia pustki. Pu-
stki, która toczy, żre, trawi... Przypomniałam sobie zapal, z ja-
kim zbierał głosy, stawiał postulaty, gromił niepowołanych wi-
chrzycieli...

— Pan... i pustka?

— Tak, pani... Biegam, krzyczę, zabijam się pracą... aby
zagluszyć... Bo kiedy człowiek zostaje sam, dusza aż wyje...

Potem zaproponował spacer.

Poszliśmy w Alee. Pusto było, głucho. Szliśmy obok sie-
bie, a echo rozdzwaniało te kroki. Skręciliśmy nad Wisłę.

— Mam słabość do wody, mówił Maryan. Czuję nostalgię
za nią. I gdy chodzę z kimś miłym, przyjemność byłaby niezu-
pełną, gdybym nie popatrzał na Wisłę.

Czy to miał być komplement?.. Odpowiedziałam milczeniem.
W nim jest dwóch ludzi. Jeden — to zaciekły społecznik, z wie-
ców. Drugi — to ten znużony, w którym „wyje pustka.“ Ten
drugi miłszy mi jest i bliższy. Tamten odpycha mnie, jak coś ob-
cego, coś żywiołowo przeciwnego... jak człowiek, w stadium du-
szy, które ja dawno minęłam, nie przeżywszy...

21.

Odczuwam ruch, przejmuję się i gorączkuję, ale on nie jest mną, ani ja nie jestem nim. Pod wodzą Maryana przebiegam z wiecu na wiec. Gdy on w pocie czoła zajęty jest formułowaniem wniosków, ja obserwuję.

Dwa, trzy punkty nieruchome — to słońca. Znani literaci, działacze, przywódcy. Wkoło nich krąży sztab słońc wielkości drugorzędnej: literaci mniej zdolni, działacze mniej wybitni. Do koła nich szeroki krąg „inteligencji,” której granice są tak rozlewne, że aż niejasne. A więc: nauczyciele, nauczycielki, studenci, panny z aspiracyami, słuchaczki różnych lekcji zbiorowych, panowie w pelerynach, panowie, o których wiadomo że „piszą” i „drukują,” choć nie wiadomo — co i gdzie. Naokoło tych wreszcie, nieskończony klan „publiczności,” do którego należą wszyscy, niewłączeni do kręgów wyższych...

Oczywiście, jest ustawiczne ciśnienie z dołu do góry i punktem honoru okazywanie, że się należy do koła wyższego, niż w istocie. Wielkości rosną i giną z szybkością przerażającą. Co dnia dowiaduję się o jakimś nowym nazwisku, które, niby Afrodyta z piany morskiej, wykwitło z łona bezimienności. Ktoś napisał stuwierszowy artykuł lub przemawiał przez pięć minut — i już nosi wysoko głowę, tajemniczemi półsłówkami daje poznać swe misye historyczne, na resztę śmiertelników patrzy z pobłażliwą wzgardą.

Są osobistości typowe, zło konieczne każdego zebrania. Taki np. „pan, co oponuje,” albo „pan, co mówi.”

Nie było jeszcze zgromadzenia, aby z pośród publiczności nie wyrósł nagle mówca przygodny. Najczęściej nie ma nic do powiedzenia, rozwałkowywuje tylko to, co wszystkim wiadomo. Gada pięć, dziesięć minut... siada wreszcie, by po pięciu minutach zerwać się znowu. Przewodniczący się wścieka, niecierpliwi się, syka, ten i ów chichocze w kułak. A on gada...

Drugi typ, to pan z opozycji. Uniesiony manią wielkości, chcąc się wyróżnić, przeczy z zasady wszystkiemu, co słyszy. Unosi się, pieni, gardłuje, zbija jednego przeciwnika, drugiego, trzeciego, to, co mówią, to, co powiedzieli, to, czego sam bronił przed godziną...

Trzeci kwiat, wyrosły na niwie krasomówstwa naszego, to tak zwany „kolporter zdań znakomitych mężów.”

Zna osobiście najwybitniejszych ludzi, obchodzi tedy szerokie łuny publiczności i każdemu szepeze poufnie, co myśli o danej

sprawie pan A... B... C... Aby zaś zaznaczyć indywidualność swą, dodaje:

— Ale ja się z nim nie zgadzam...

Spotykam zastępy pań i panienek. Przychodzą codzień, słuchają w milezeniu, odchodzą. Nazajutrz toż samo...

Po co?

Podobno i takie osobniki potrzebne są, jako pioncy. Zresztą, każda rzecz na tym świecie ma strony dobre, złe... i śmieszne. Jest dużo piany, dużo ambicyjek i pustego krzyku... Ale umysły pracują. I nad wszystkim góruje jednak — idea.

Moja Władzia stanowi ogniwo pośrednie między „inteligencją“ a „publicznością“, dopuszczana jednak bywa i do „literatury.“ Między koleżanki z pedagogii wnosi słowa mistrzów. Urządziła nawet wiec u siebie, na którym powtórzyła dosłownie wszystko, czego się tan nasłuchiwała, ale przyparta do muru, zawikłała się w dowodzeniach i poniosłaby sromotną klęskę dyalektyczną, gdyby jej Maryan nie był wyratował.

Ale trzeba widzieć jej postać wysmukłą w czerni i ton, jakim oznajmia:

— Mówiono mi wczoraj, w gronie ludzi wybitnych...

Codzień wpada do mnie, podniecona, opowiada, jak przekonała tego i owego. Cieszy się i ja się z nią cieszę; potem idziemy gdzieś razem, spotykamy studentów, cieszymy się dalej, albo, dla różnorodności, kłócimy się z nimi. Władzia coś robi... tak mi się przynajmniej zdaje. A ja... tyle tylko, że chodzę. Słucham i nie mogę oprzeć się natrętej myśli: „Tyle słów! Tyle słów!..“

Słowami nie zdobyto Bastylii...

Chociaż... gdy mówi Orecki, czuję, że są słowa, które mogą się stać żagwią — mieczem — i historią. Przenika mnie wskrós kości dreszcz... Czuję płomień w sobie, przez sekundę czuję się Grażyną i Joanną d'Arc. W jaskrawych ogniach błyska mi droga Czynu, którą iść należy...

Milknie—i we mnie gaśnie zdolność do czynu. I znów jestem w dusznym pokoju, w tłoku ludzi, w powodzi słów, z których wyplątać się nie umiem...

Maryan przychodzi, czasem znużony, że aż mi go żal. Calo mi dniami gna, jak potępieniec, po piętrach i suterynach, a wieczorami przychodzi do mnie, rzuca się na otomanę i prosi, aby mu wolno było nie nie mówić.

— Po co? Po co? Po co to wszystko?... Praca, nauka, idea i t. d. nie gasi głodu prawdy, głodu życia. Człowiek dość długo karmił się tęczami i poezją. Brutalność krzyczy: „jestem.“

Mówił to i patrzył na mnie. Nie rozumiem dobrze tych formuł tajemniczych... Ale nie lubię takich spojrzeń. Wynałazł, że mam ładną rękę i wziął ją dla bliższego rozpatrzenia. I tego nie lubię. Żyję teraz w takim napięciu, oczekiwaniu, pogoni za nieuchwytnym „coś“ życia, że sprowadzenie dróg na jakieś określone poziomy, do mianowników wiadomych, byłoby mi rozczarowaniem, zawodem, klęską...

Trwało to zresztą chwilę tylko.

Mówiliśmy o Zalesiu. Pytał mnie się o lud, o jego umysłowość, pragnienia, dążenia. Ze wstydem musiałam powiedzieć, że nie wiem.

— Jakto? Pani? Nauczycielka wiejska? Żyjesz między ludem i nie znasz go?

— Znam Tomaszową, moją niewolnicę „do wszystkiego.“ Znam z imienia i z nazwiska rodziców płci obojej, mych uczniów... U niektórych bywałam, coprawda, najczęściej, gdy mi trzeba było jajek i masła.

— Ale co myślą? co czują?..

— Wiem, że kochają ziemię, że są chciwi, skryci, wytrwali i pobożni.

— Wszystkie te ogólniki zresztą znaleźć można w każdej powieści ludowej.

— Czemu jednak sięgać tak daleko? Czy znam uczniów moich?... Czy spójrzałam choć raz inaczej na nich, jak na wieloosobowe stado, któremu trzeba z mozołem wpajać czytanie „ruskie?...“ Czy nie wyczekiwałam, jak zbawienia, końca godzin szkolnych?..

— Jak to można!.. jak można... — perorował Maryan. Właściwie nie perorował, tylko marzył głośno. Co można zrobić... i co należy...

Zazdrości mi bielonej izby, smugów na horyzoncie, sinych dymów nad smugami.

— Ach, utopić się w ciszy lasu, w poezji legend, w źródłach żywej, prostej twórczości. My tu żyjemy w brzydocie sztucznej i niepotrzebnej, pędzimy z meetingu na meeting, męczymy się w prozie...

Oparłam głowę na rękach.

Opowiadałam mu o dniach samotnych, o dniach tęsknoty... O rozpacz, że uciekają tak marnie chwile młodości... O bólu, gdy czujesz się coraz dalej od życia, gdy na milezącą duszę opadają chusty ciężkie. — całuny śmiertelne — warstwy grobowe... O nastrojach samobójczych...

— Czy znalazła tu pani przynajmniej wypełnienie pustki?
Zamyśliłam się.

— Nie wiem.

Stoję wobec życia, ale też, jako widz tylko. Daję się nieść fali, nie czyniąc. Zawsze bierna... Zawsze czekam na akt piąty... na sens moralny.

Interesuje mnie Orecki. Pewna jestem, że w życiu tego człowieka musi być tragedia. Powiedziałam to Maryanowi. Ofiarował się nas zapoznać.

22.

Po wiecu wyszliśmy razem. Maryan przyprowadził go do mnie i rzekł:

— Orecki, literat.

Uklon. Zakłopotanie. Milczenie pięciominutowe.

— Pani nie jest mieszkanką Warszawy?

Jak na człowieka niepospolitego, wstęp dość pospolity.

— Nie, panie.

Maryan wszczął gawędę „de publicis.“ Słuchałam, obserwując. Są mężczyźni, których nie znoszę: pełni pychy jakiejś męskiej, zarozumiałości. Wnet budzi się we mnie chęć deptania... Orecki zarozumiały nie jest, przeciwnie, nadto skromny, brak mu wiary w siebie. Tylko — jest nawskroś mężczyzną. Ani zdźbła zrozumienia duszy kobiecej. Czuję to... i to mnie odpycha.

Tymczasem rozmowa zjechała powoli na szlaki osobiste.

Dowiedziałam się, że Orecki spotkał mnie kiedyś na ulicy z Maryanem i zainteresowałam go. Dowiedziałam się, że jest żonaty, ale żony nie kocha. Kocha natomiast inną — i kochając ją, ożenił się ze starszą od siebie, obojętną kobietą.

— Dla czego?

— Tak jakoś...

Piękne uzdolnienie życiowe, ani słowa! Coś niby ja... Rozumiem teraz, co znaczą te fałdy tragiczne i wybuchy pod maską lodu i nierówność całej postaci.

Wzięłam go pod rękę. Sprawilo mu to widoczną przyjemność. Przycisnął lekko dłoń moją do siebie. Chodziliśmy bardzo długo i strasznie późno już wracali do domu. Orecki mówił coraz czulej, żem miła, ogromnie miła, piramidalnie miła... Żał mu było rozstawać się z takim skarbem, więc uparł się, żeby pójść jeszcze na czarną kawę. Obeszliśmy pół miasta ceremonialnym marszem, pod rękę, nareszcie trafiliśmy na dworzec. Tu Orecki zdążył jeszcze pokłócić się z żandarmem, a że Maryan miał po-

wody unikania bliższych stosunków z władzą, wymknęliśmy się cichaczem, zostawiając Oreckiego na ofiarę filarom istniejącego systematu państwowego.

Nazajutrz, o jedenastej rano, zaledwem zdążyła się ubrać... dzwonek — Orecki.

— Chciałem zobaczyć, czy pani w dzień równie jest miła...

— Cieszę się, że pan się wyplątał szczęśliwie z objęć wczorajszych...

— Zostawiliście mnie nieszlachetnie...

— Maryan utrzymuje, że w walce o byt zwyciężają osobniki, hołdujące zasadzie: „zmykaj kto może.“

— Co pani zamierza dziś wieczorem?

— Nic.

— Może wybierzemy się gdzie razem?

— Dobrze. Uwiadomię Maryana.

— A bez Maryana nie można?

— Bez Maryana nie można.

— Pani się w nim kocha! — oznajmił, przeszywając mnie wzrokiem.

— Co za przenikliwa znajomość tajników serdecznych! Winszuję pańskim powieściom!

— Nie pisuję powieści, jak to pani powinna wiedzieć z podręczników literatury.

— Wtedy, gdy ja się uczyła literatury, gwiazda pańska jeszcze nie weszła.

— Tak, pani to niewiasta z epoki romantycznej... Dawno już to zauważyłem...

Nagle zadzwoniono.

Oddano mi list od pani Rzeczyckiej.

Trzęsącymi rękami rozerwałam kopertę. Mrowie mnie przeszło. Wobec „niepewnego stanu bezpieczeństwa,“ żąda, żeby z nią wyjechać natychmiast zagranicę.

Opuściłam ręce.

Teraz wyjeżdżać? Z gwaru narad, z zebrań wieczornych, z atmosfery gorącej?

Nigdy! Przenigdy!

Orecki patrzył we mnie.

— Czy co złego?

— Tak... Nie... Przeszło już...

— Napewno?

— Napewno.

Postanowiłam. Napiszę odmownie. Niech zabierze moją zastępczynię z Zalesia.

— Od kogo ten list?

— Od pewnej niewiasty...

— Niewiasty? Aha, zaraz uwierzę! Nie blednie się tak, odbierając listy od niewiast!...

— Nie kłamię nigdy.

— Wszystkie wy kłamiecie, o pani...

Zaproponował, byśmy pojechali za miasto na obiad.

— A żona?

— O, przywykła do tego, że po kilka dni nie bywam w domu.

— Nie chcę sięgać po cudzą własność. Powiedziano bowiem: ani wołu, ani osła...

— Omyliłem się wczoraj na pani. U wrót sentymentalizmu kończą się afekty moje.

Pomimo to siedział aż do wieczora.

Poszliśmy razem na zebranie, gdzie miał przemawiać.

Nigdy jeszcze tak nie mówił. Płomienie z ust mu płynęły. Zdawało się, że zdruzgocze wszystko, co stoi, co tamuje pochód Przyszłości... Znikła z przed oczu sala, byliśmy gdzieś, w przestrzeni, gdzie słowa są symbolami z płomienia.

Skończył — i nikt ruszyć się nie śmiał.

Patrzyłam z za łez. Czyż to ten człowiek, który mówi o kobietach, i nie przychodzi do domu na obiad? Ludzie do historycznych misyj stworzeni powinni stać na piedestale. Powinno się ich widzieć tylko przez mgłę kadzideł...

Orecki wyrwał się z koła otaczających go wielbicieli i dopędził mnie już na ulicy.

— Czemu taka smutna? Panno Stasiu... Ja się tak bardzo cieszyłem na wieczór dzisiejszy... jak dzieciak.

Pocałował mnie w obie ręce.

— Dobrze mi z panią. Stęskniłem się już do pani przez te dwie godziny... Chodźmy na spacer...

Wstrząsnęłam głową:

— Maryana niema.

— Możemy posłać po niego...

Spochmurniał.

— Ile pani ma lat? — spytał nagle.

— Dwadzieścia cztery — odrzekłam, i zaraz spoliczkowałam się myślą za to nędzne klanstwo.

— I taka już zimna... Wystygła — czy nierozbudzona? A może...

Odsunął się odemnie. Do siebie raczej mówił:

— To ja taki przekłęty... Nic i nigdy... Wszystko ucieka przedemną...

Weszliśmy do mego pokoiku. Cisza, jak zawsze. Mrok zapadał... mrok, co rozmarza...

— Gdyby pani wiedziała, jaki ja nieszczęśliwy... Każdy krok w życiu zatruty i chybiony. Każdy krok to męczarnia...

— Małżeństwo?

Małżeństwo... i wszystko...

I coraz ciszej mówić zaczął o kobiecie, którą kochał...

Mówił, jak przez sen. Wspominał każdy dzień, każde jej słowo... Utonął w tem rozpaniętywaniu. Zapomniał o mej obecności. A raczej, pamiętał tylko, że jest ktoś, kto nie będąc ani stołem, ani piecem, słucha i rozumie.

Szeptał jak do siebie, patrząc na dno zagubionych widm błękitnych.

Powiało na mnie mrozem... Obcością chmurną, lodowatą. Takie wrażenie, że gdybym umierała tu, w oczach jego, onby spojrział mimochodem i dalej marzył...

Poczułam, jacy my dalecy... Siedząc przy sobie, każde patrzy w swoją duszę... Między nami stoi zimny, twardy, wiekusty mur...

— Ach,—zawołał nagle — precz z tem wszystkim! Co tam! Pochylił się, objął mnie, przycisnął do siebie i pocałował.

Zerwałam się, i z całych sił — huknęłam go w twarz.

— Co to znaczy? — zagrzemiał z wściekłością.

— Pan szukasz we mnie zapomnienia, kochając inną...

Zakryłam twarz rękami. Zaczęłam strasznie płakać.

— Ludzie znieważają mnie, nikt się nie troszczy o mnie, obcam wśród przyjaciół.

I taki żal... Ten sam zawsze, stary, zadawniony... Że ten, kto mógł mi być podporą życia, przy którym byłam silna i śmiała...
...Czemu mnie zostawiłeś samą!...

Zawsze on... Zawsze on...

— Ach, te komedye babskie! Nie znoszę kobiet płaczących! — krzyknął Orecki w pasyi.

— Trzeba było wziąć cyrkówkę.

Porwał się, popatrzył na mnie z nienawiścią i gniewem, i uciekł trzasnąwszy drzwiami...

23.

O rety! rety! umrę ze śmiechu!

Byłam z Władzią na koncercie, spotkałyśmy Bolka i odnowiły znajomość.

Od pięciu dni asystuję, jako widz, najbardziej górnemu z flirtów.

Władzia, zaciągnięta w pancerz niewidzialnej godności, rzuciła słowa na wzór Pytyi delfickiej. Od ciągłego ocierania się o twórców, i ją zaczyna piec żądza sławy. „Postanowiła“ napisać dramat.

Bolek, poczciwy zawsze i bajecznie głupi, mimo glori autorskiej, dostraja się jak może, do tego tonu szczytnego. Pływają w obłoku, i tylko czasem słyszę zwrotkę w rodzaju:

— Ach... — wzdycha Władzia — chciałabym od siebie, poprawić, odnowić życie...

— Nigdy pani nie znajdzie zadowolenia, bo pani nie umie kochać... — wyrokuje ponuro Bolek.

Maryan ma teraz okres żarliwości społecznej. Lata, jak kot z pęcherzem, z zebrania na zebranie, włokąc mnie za sobą.

Zauważyłam już kilka nawiązujących się małżeństw na tle sympatyj społecznych. Życie tych kótek, krążąc, niby ziemia dookoła osi, posuwa się jednak i naprzód.

Ale to jeszcze nie życie prawdziwe. To tylko krzątanina gorączkowa, wyteżona pogoń za niczem, dobrowolne usztuczanie życia, byle się osołomić.

W sumie, każdy patrzy na te zebrania, jak na coś, co już jest czynem. Potem opowiada mniej wtajemniczonym bajki z tysiąca i jednej nocy i zyskuje tanie wawrzyny bohatera.

Poznałam niektórych ludzi „wybitnych.“ Ani nie umieją więcej odemnie, ani nie są zdolniejsi. Tylko, są to ludzie ze znyśmem życia. Umieją suggestyonować tłum. Nie na długo... czasem na przeciąg dnia... Niejeden zagaśnie potem nazawsze w mrokach zapomnienia. Ale swój dzień miał.

Świat to targowisko, na którym trzeba się przebijać łokciami.

A ja?

Nie umiem wykazywać siebie. Siedzę na boku, wtulona w bierność istot upośledzonych.

Trudno. Rezygnuję z roli przodowniczej. Stworzona jestem na uczonego, który patrzy na sprawy świata poprzez szyby swej pracowni...

24.

Ogarnęło mnie zniechęcenie...

Bez granic... Bez granic...

Dzisiaj rozumiem Maryana, gdy mówi: „dusza mi wyje w pustce.“

Pustka, pustka, pustka...

Żre mnie, wycieńczy, zabija... Wszystko, co robię, co robić mogę, wydaje mi się taką kropką—takim atomem—takim nic... Jest obok mnie, nie we mnie. Czynię tak, jakbym uczyła dzieci—chłodno. To nie ofiarność płomienna, Czyn samorzutny, Krzak gorejący Objawień boskich, o którym mówił Orecki.

Potrzeba mi całopaleń, ofiary. Człowiek każdy czuje potrzebę oparcia na fundamencie ideowym gmachu żywota. Czuję potrzebę metafizyki. Moją metafizyką jest ofiarność społeczna. Chcę wtopić się cała w Czyn, utonąć w nim... Chcę wstrząsnąć posadami świata. Patrzeć na stawanie się Wiekopomnego. Trawią mnie głody twórcze. Pod czaszką kłębią się myśli nowe, doktryny moje własne, całe systematy filozoficzne, ale nie umiem dać im wyrazu. Między mną a czynem, choćby czynem w słowie, leży przepaść.

Ta twórczość niewyładowana gna mnie, męczy, prowadzi nad brzeg otchłani, wściekłości i obłędu. Godzinami leżę bezwładna na sofie, przezieram nawskroś, nicuję wszystkie wartości świata. Wszystko wydaje mi się, jak mary posępne, jak cienie z latarni magicznej.

Nic... nie...

Nawet tęsknoty... za *nim*... już nie czuję...

Miłość.

Czemże są pocałunki, padające na zimne, wzdrygające się usta? Całował mnie Orecki, a ja płakałam z upokorzenia, z tęsknoty, z żalu za tem, że nie wiem nawet, co bym na miejsce to postawić chciała.

Marzenia młodzieńcze... przecucia pensyonarki... Czy istniała wogóle miłość, ów kwiat błękitnych poetów?... Czy nie znikła z powierzchni ziemi, wraz ze złotym wiekiem ludzkości?

Widzę dokoła różne uczucia: pociąg zmysłowy, zaufanie wzajemne, zadowolenie próżności, chęć ustania razem gniazda...

Miłości nie widzę...

I tak mi smutno...

„Sentymentalizm!“ drwi Orecki.

Dobrze. Wiem.

Jeden sentymentalista...

Mężczyźni są inni. Oni mają pracę, cele określone, fach, do którego przygotowują się przez pół życia. Kobieta i miłość, co u mężczyzny na jedno wychodzi, to godzina odpoczynku i zabawy. Kobieta pragnie nie mężczyzny, lecz miłości. Życia miłości, życia całego... Miłość przerasta tkanki jej, jest jej potrzebą przyrodzoną... Dlatego ta przepaść między mężczyzną i kobietą, gdzie on pragnie godziny rozkoszy, a ona wyrывa się do misteryów cudownych, do uniesień nadludzkich...

Powiedzcie Orekiemu czy Maryanowi, żeby wykreślił miłość z reszty dni swoich — a nie wiem, czy się nawet wzruszy. Mnie gdyby ktoś przepowiedział: „nie pokochasz już nigdy, nie będziesz kochaną“ — odebrałabym sobie życie...

MARION.

SOKOLNICKI i KRUKOWIECKI.

Epizod historyczny z lat 1813 — 1816.

(ZE ŹRÓDEŁ ARCHIWALNYCH).

Przypominam sobie, że gdy w roku 1868 historyk Ludwik Kubala wydał był piękną monografię o „*Jerzym Ossolińskim*,” ja, pisząc o tej pracy w jednym z dzienników warszawskich i oddając hołd należnego jej uznania, uczyniłem równocześnie uwagę, że rozpoczęcie życiorysu Ossolińskiego od opisu jego zgonu, przeciwstawienie splendoru życiowego owego męża stanu, złorzeczeniom współczesnych, które towarzyszyły jego zwłokom do grobu i poza grobem, nie daje się usprawiedliwić ani istotą biograficznego zadania, ani też chronologią wydarzeń w życiu danej jednostki, które z natury rzeczy poczynają się od jej urodzenia, a kończą na grobowej trumnie...

Tak oceniwszy swego czasu nieprawidłowy rzekomo, zdaniem mojem, układ monografii sympatycznego dziejopisa, nie przewidziałem, że sam kiedyś znajdę się w położeniu analogicznem i że rozpocznę opis jednego z epizodów życiowych nowoczesnego niefortunego bohatera, Jana hr. Krukowieckiego, od obrazu zniknięcia jego sławy w chwili zgonu, od przeciwstawienia rozgłosu jego działalności na polu walk europejskich, owej ciszy i zapomnieniu, którą potomność otoczyła martwe zwłoki dzielnego ongi żołnierza, uczestnika bojów napoleońskich od ich początku aż do nieszczęsnego ich epilogu z roku 1814, człowieka, który w czasie powstania listopadowego, jako gubernator wojenny Warszawy, dawszy dowody wielkiej energii i stanowczości w działaniu, powołanym był następnie przez połączone Izby do najwyższej godności pre-

zesa rządu narodowego, człowieka, o którym Mochnacki nawet, broniąc go przed zarzutami spiskowania przeciw władzy, wyraził się, „że on jeden, pomimo podeszłego wieku, zdolnym był do czynów godnych rozpaczliwego konającego Narodu.“

A jednak, gdy Jan hr. Krukowiecki w roku 1850 zamknął w Warszawie powieki, o zgonie owego blisko osmdziesięcioletniego starca przemilczały dzienniki miejscowe... Nie znalazł się nikt, kto by nad grobem jego wygłosił pożegnalne słowo, kto by potomnym podał choćby krótką historyczną ocenę działalności walecznego i odważnego żołnierza... Fakt kapitulacji stolicy, związany z jego nazwiskiem, zaciężył brzemieniem klątwy na pamięci wojownika i zawarł usta tym nawet, którzy w faktie jego zesłania w głąb Rosyi, po upadku rewolucyi, mogli byli znaleźć choćby słowo usprawiedliwienia dla owej ofiary losu.

Znalazł się wprawdzie, w lat dziesięć po upadku powstania, jedyny obrońca czei żołnierskiej Krukowieckiego w osobie nieposzlakowanego patrioty i zasłużonego pisarza, Karola Forstera, który w dziele swem „*Pologne*,“ wydanem w Paryżu w r. 1840, pierwszy rozgrzeszył go z win rokowań kapitulacyjnych z roku 1831. Nie poprzestał na tem apologeta i po latach trzydziestu kilku od chwili wygłoszenia pierwszej swej obrony, szerzej rozwinął pogląd na lojalność działań Krukowieckiego w chwilach upadku listopadowego powstania, w dziele: *Teka narodowa* № 3, Berlin, 1873.

Nie ocaliło to jednak Krukowieckiego przed surowym wyrokiem historii... Do dziś jeszcze postać jego nie wyłoniła się z poza chmur podejrzeń i inwektyw, rzuconych na nią przez współczesnych; do dziś dnia na tle obrazu krwawych zapasów resztki walecznych z pod bastyonów Woli z przemagającą siłą oblegającej ich armii, rysuje się chmurna postać człowieka, który pierwszą odezwę do Paskiewicza z oświadczeniem kapitulacji Warszawy własnym opatrzył podpisem. Bezowocni okazały się wszelkie usprawiedliwiające taki krok powody, bezowocną ofiara krwi jego potomka, którą w roku 1863 pragnął zatrzeć wobec narodu stygmat potępienia, ciężący na głowie rodzica.

Nie mam na celu w epizodzie niniejszym stanąć po stronie obrońców działań Krukowieckiego z roku 1831. Zamierzam jedynie na podstawie nieznanego dotychczas ogółowi materiału, dobytego z niedostępnych przez czas długi kryjówek archiwalnych, odtworzyć jedną wcześniejszą chwilę z życia tej historycznej postaci i oświetlić ją wysoce charakterystycznym rysem stosunków, wytworzonych w zaraniu dziejów Królestwa Kongresowego, gdy

złożony w roku 1815, z rozkazu cesarza Aleksandra I, sąd wojenny miał sądzić — i, jak się zdaje, osądził surowo — tryb działań generała brygady Krukowieckiego podczas walki narodów pod Lipskiem z roku 1813 i orzec zarzuconą mu przez generała dywizji Sokolnickiego winę, której następstwem było jakoby rozluźnienie węzłów karności między niedobitkami korpusu polskiego po batalii lipskiej, odstępstwo wielu z pomiędzy nich z pod narodowego sztandaru i przyłączenie się zdrady do szeregów zwycięzców.

Dziejowy splot wypadków ma niekiedy dziwaczne kaprysy... Jeśli na tle tak niezwykłego faktu, jakim był wyrok ferowany pod egidą zwycięzców pod Lipskiem przeciw generałowi armii zwyciężonych, iż niewykonał należycie obowiązków żołnierza, dodać jeszcze charakterystyczniejszy szczegół, mianowicie, iż nad wydaniem potępiającego Krukowieckiego wyroku pracował z rozkazu cesarza Aleksandra... senator Nowosilcow; jeżeli zważymy, że w owym sądzie wyjątkowym, zebranych początkowo pod zwierzchnim nadzorem Wielkiego Księcia Konstantego, wodzowie polscy z pod Lipska: Dąbrowski, Zajączek, Sierawski, Kamieniecki, Izidor Krasiński i inni, roztrząsali szczegółowo wszystkie fazy walki narodów odbyte w pamiętnych dniach 17, 18 i 19 października 1813 r. zakończone pogromem Napoleona; jeśli zważymy, że wymownym obrońcą generała Krukowieckiego był podczas owego sądu poeta i retor Ludwik Osiński, prokuratorem zaś i obrońcą z ramienia oskarżyciela generała dywizji Michała Sokolnickiego, Krysiński, b. audytor wojenny; jeśli zważymy, że zapoczątkowanie owego sądu odbyło się w trakcie rokowań kongresu wiedeńskiego z roku 1815, w pierwszych chwilach wskrzeszonego Królestwa Kongresowego, obwieszzonego narodowi listem cesarza Aleksandra, przywiezionym do Warszawy przez generała Krukowieckiego; jeśli wreszcie zważymy, że nienawiści między generałami Krukowieckim i Sokolnickim, doprowadzonej do czynnej obrazy ostatniego, podczas festynu odrodzenia Królestwa, święconego 11 kwietnia 1813 r. w pałacyku Łazienkowskim, położył kres ostateczny dzień 23 września 1816 r., gdy generał Sokolnicki, uderzony na placu Saskim przez rozhukanego konia, legł trupem wśród rewii wojska polskiego; jeśli te wszystkie, niezwykły interes historyczny budzące, fakty skojarzymy z osobą główną niniejszego opowiadania, znajdziemy być może klucz do zrozumienia psychologii Krukowieckiego, którego życie całe było splotem czynów niezwykłych, ujawniających temperament nieokiełznany, atawistyczny rys charakteru zawadyaków i rębajłów z wieku XVII, rys żołnierza, o którym Niemcewicz, wzmiankując o dodatnich jego

stronach, pisze jednocześnie, że „był ognistej krwi, płomień ognisty nosił w swoich żyłach, niecierpiał zwierzchnich, przykry z różnymi, kłócały się z każdym zwierzchnikiem i już do roku 1815 miał za sobą 27 pojedynków“ (Pamiętn. II, 208); i o którym Andrzej hr. Zamoyski w *Pamiętniku* swoim (T. I, str. 208) pisze krótko, że był „intrygantem,“ że podczas powstania listopadowego, dążąc do regencyi, sprowadził jakoby rzeź 15 sierpnia (ibid str. 241).

Cisza grobowa, otaczająca żywot historyczny tak niezwyklego człowieka, nie może stanowić zasłużonej kary za spełnioną przezeń—rzeczywistą lub urojoną—wobec narodu winę. Jakimkolwiek w życiu swoim, jako człowiek, obywatel i żołnierz, był Krukowiecki, zespolił on nazwisko swoje z epizodami, które w dziejach nowoczesnej Polski do przełomowych należą, wyjaśnienia i historycznego oświecenia wymagają. Mniej od Krukowieckiego głośni działacze znaleźli biografów i monografistów. Krukowieckiemu wydzielono w słownikach encyklopedycznych kilkanaście zaledwie wierszy i to wyłącznie z uwagi na rolę, jaką w powstaniu i w chwili agonii tegoż, był rozegrał. O jego żołnierskiej, podczas epopei napoleońskiej, karierze, stanowisku służbowem w armii Królestwa Kongresowego, trybie życia po upadku powstania listopadowego, o czasach wygnania do Rosyi, powrotu do kraju i usunięciu się zupełnem od życia nie tylko publicznego, lecz nawet i towarzyskiego w epoce rządów Mikołaja I w Warszawie, aż do dnia cichego w jej murach zgonu, o tych wszystkich faktach, jak dotąd, nie posiadamy żadnych wskazówek.

W zamiarze odtworzenia jedyne go epizodu z żywota Krukowieckiego, będącego przedmiotem niniejszego zarysu, zwróciłem się do Wład. Mickiewicza z prośbą o wskazanie mi źródeł do żywota tego żołnierza, możliwie w zbiorach poemigracyjnych Biblioteki polskiej w Paryżu znajdować się mogących. Poszukiwania w tym kierunku okazały się bezowocnymi. Oprócz niewielkich wzmianek biograficznych o Krukowieckim, zarejestrowanych w *Zbiorze Ducketta*, t. XII, *Dictionnaire de la conversation et de la lecture* etc. z r. 1861 i krótkiego życiorysu, zamieszczonego w *Słowniku Larousse'a* w t. IX, nadto w *Lexiconach* niemieckich, powtarzających jeden za drugim znane fakty, nie znalazło się źródło obfitsze do biografii Krukowieckiego.

Pomyślniejszy rezultat uwieńczył poszukiwania moje, gdy zwróciłem się do akt stanu służby oficerów b. wojska polskiego, przechowywanych w archiwum akt dawnych b. Namiestnika w Królestwie Polskiem. W księdze „*Rodowód generalów, oficerów bez*

wojskowego urzędu i oficerów wojskowych sztabu dywizyi II, piechoty Nr. 25“ odnalazły się obfitsze dane do poznania karyery żołnierskiej Krukowieckiego z przed roku 1817, lecz w nich nie wyjaśniono bliżej jednego, ważnego szczegółu o służbie Krukowieckiego w armii austryackiej, podczas kampanii przeciw Francyi w roku 1796 prowadzonej, gdzie pełnił czynności adjutanta przy generale Wurmsersze.

Czytamy w rodowodzie, że Jan hr. Krukowiecki urodził się w Galicyi i że wszedł w służbę do wojska polskiego w grudniu 1806 r. Wiadomo skądinąd, że przed zaciągnięciem się do armii polskiej, służył w wojsku austryackiem i tam odbył pięć kampanij. Opuścił austryackie sztandary na własne żądanie, a z przyzwolenia dworu wiedeńskiego. Poprzednio zaś nauki wyższe odbył w akademii lwowskiej i w Terezyanum w Wiedniu, gdzie przyswoił sobie znajomość języków: łacińskiego, francuskiego, niemieckiego i angielskiego. Do wojska polskiego wstąpił, jak rzekliśmy, w grudniu 1806 r. 10 marca 1807 r. mianowany był szefem batalionu I-go pułku piechoty. W tymże roku odbył całą kampanię zimową i letnią, dowodził 12 maja bitwą pod Rudą, gdzie odniósł ranę w głowę. W r. 1809, jako adjutant komendant przy księciu Józefie i szef sztabu przy generale Dąbrowskim, był w bitwie pod Raszynem. Podczas potyczki pod Grochowem, wysłany był z Modlina na lewy brzeg Wisły z jednym batalionem, w celu uczynienia Austryakom dywersyi pod Bielanami i tym sposobem odciągnięcia ich uwagi od Grochowa, czego skutecznie dopełnił. Odparł pod Żeraniem 26 maja 1809 r. przeprawę arcyksięcia Ferdynanda przez Wisłę, a zabrawszy wtedy w niewolę pięć berlinek, jedną z nich wraz z załogą zatopił.

W dniu 11 czerwca 1809 r., pod Jedlińskiem, mając oddział 800 żołnierza i dwa działa, wstrzymał atak 6,000 Austryaków z dziewięcioma działami pod wodzą generała Mohra i tym czynem ocalił korpus ks. Zajęzka.

14 lipca wszedł pierwszy na czele przedniej straży do Krakowa.

W r. 1812 był w bitwie pod Smoleńskiem i podczas odwrotu armii z pod Moskwy, gdzie miał przestrzeloną rękę. W r. 1813, mianowany generałem brygady przez króla Saskiego, księcia warszawskiego, walczył pod Interlacken, Dennewitz, Torgau i Apollonsberg. Wziął szturmem Koswig.

Za dotychczasowe odznaczenia się w bitwach: w dniu 8 listopada 1807 r., ozdobiony był krzyżem legii honorowej za potyczkę pod Rudą. W r. 1808 otrzymał krzyż wojskowy polski.

Dnia 22 sierpnia 1812 r. otrzymał krzyż oficerski legii honorowej. 28 października 1813 r. dostał mu się krzyż komandorski i w tymże roku przedstawiony został królowi przez generała Dąbrowskiego do krzyża komandorskiego polskiego.

Po wyliczeniu wszystkich owych oznak nagrody za waleczność w służbie sztandarów polskich, stan służby zamieszcza lakoniczną notatkę, iż generał Krukowiecki „był w trzechdniowej batalii pod Lipskiem“ i że „w roku 1814 był przy ataku Paryża.“ Dwie owe daty stanowią znamienne zwroty w karierze rycerskiej owego żołnierza. Udział w batalii lipskiej dowodziłby jego wierności sztandarom napoleońskim. Z tą wszakże wiernością nie licował bynajmniej pochód z wojskiem sprzymierzonych na Paryż...

W rzeczy samej, zwrot ów nadspodziewany w karierze żołnierskiej dowódcy, który, walcząc zrazu w szeregach narodowych, jako podkomendny księcia Józefa, zwrócił następnie swój oręż przeciw Napoleonowi, mało co w następstwach swoich różnił się od postępku pruskiego generała Yorka, który podczas odwrotu z Moskwy zdradził swego naczelnego wodza i do jego przeciwników się zaciągnął, mało się również różnił od zdradzieckiej taktyki wojsk saskich, które podczas lipskiej batalii, nadspodziewanie armaty swoje przeciw towarzyszom broni skierowały.

W tej to właśnie niezaszczytnej zmianie frontu spoczywa zarodek zarzutów, które na nazwisku Krukowieckiego na długo jeszcze przed ostatecznym ich z racyi kapitulacji Warszawy z roku 1831 przypieczerowaniem zaciężyły.

Wiedziano zawsze, że na tem nazwisku leży plama zdrady sztandaru, lecz nie miano dostatecznych pod tym względem dowodów.

Zaczęły się one powoli wynurzać z toni historycznych wspomnień a dziś, zbrojne w szereg dat i dokumentów, stają z potwierdzeniem stanowczem owych dotychczasowych ogólnikowych potępień, by stwierdzić smutną i dla pamięci Krukowieckiego niezaszczytną prawdę, że instynkt narodowy, odwracający się od pewnych osobników, rzadko kiedy się myli i że w narodach nieszczęśliwych nadezułość w sprawach honoru rycerskiego częstokroć aż nazbyt jest usprawiedliwioną.

Już podczas bitwy pod Lipskiem, podczas przełomowych dni 17 i 18 października 1813 r. konduita Krukowieckiego w charakterze dowódcy 18 brygady 4-go korpusu generała Dąbrowskiego była zagadkową, lecz o nieprawidłowości jego działań nie wspomina Tadeusz Wyleżyński w źródłowym opisie lipskiej batalii drukowanej w roku 1841 w *Bibliotece Warszawskiej* (T. II,

249 — 315), owszem Wyleżyński poświadcza, że wszyscy „Polacy w owych krwawych dniach walczyli mężnie i zaszczytnie, *jedno tylko wojsko saskie* odznaczyło się niecnym postępkim.“

Inny w tej mierze pogląd wynurzył gen. Kołaczkowski we *Wspomnieniach*, wydanych w Krakowie w roku 1899 (Tom II, str. 100—105).

Po katastrofie pod Elsterą jazda brygady ułanów, dowodzonej przez Krukowieckiego, wynosiła jeszcze 3,000 koni w zupełnym porządku. Dowództwo naczelne objął nad nią generał Sokolnicki, jako rangą najstarszy. Pod jego rozkazami pozostawali: książę Sułkowski, Krukowiecki, Weissenhof, Kwaśniewski i Taliński. Generał Dąbrowski, któremu właściwie należała się komenda, dowodził piechotą.

W dniu 19 października 1813 r. Sokolnicki poprowadził jazdę polską w bok traktu do Lützen i stanął o godzinę drogi od Altranstaedt, frontem do Pegau. Pragnąc zająć umysły żołnierzy, przyciężone stratą naczelnego wodza, rozkazał Sokolnicki jeździe wykonać nocny atak na korpus austriacki gen. Giulay. Oparli się temu rozkazowi dowódcy polscy, a na ich czele Krukowiecki, który — jak pisze Kołaczkowski — „znany od dawna w wojsku z niesfornego umysłu, dla podkomendnych przykry, starszym zawsze nieposłuszny, zabrawszy głos i wsparty przez generała Kwaśniewskiego, krzykacza z czasów Madalińskiego, oświadczył wręcz Sokolnickiemu, iż wojsko za nim nie pójdzie.

— Dosyć tych bojow—rzekł—wszystko od dawna stracone, trzeba nam myśleć o zachowaniu tych szczątków walecznego wojska dla ojczyzny!

Wobec takiej niekarności, Sokolnicki zawahał się i od rozkazu danego odstąpił...

„Ta słabość ze strony Sokolnickiego—pisze dalej Kołaczkowski — któremu należało aresztować dwóch nieposłusznych generałów i pod sąd oddać, najgorsze skutki wywarła na karność naszego wojska. *Odtąd początek sejmików między oficerami i dezercyi pomiędzy żołnierzami.*

„Nad ranem, generał Krukowiecki, nie zameldowawszy się swemu dowódcy, od żadnego z kolegów nie upoważniony, pojechał do głównej kwatery cesarskiej do Altranstaedt i zastał cesarza w karecie, wśród gwardyi. Zbliżywszy się do niego, *ów Tersytes naszego wojska*, najbezczelniej w imieniu wszystkich polskich dowódców oświadczył, iż do generała Sokolnickiego żadnego nie mając zaufania, proszą cesarza, ażeby nad nimi dowództwo powierzył ks. Sułkowskiemu.

„Cesarz, dobrze obeznany z podobnemi scenami pomiędzy oficerami legionów polskich w czasie kampanii włoskiej, lekko te oznaki niesubordynacyi pominął. Ważniejszymi sprawami, jak godzeniem generałów polskich między sobą, zajęty, odpowiedział dośryc obojętnie:

— Dobrze, niech książę Sułkowski obejmie dowództwo nad Polakami, skoro im tak do gustu przypada.

„Pochwyciwszy tę odpowiedź, generał Krukowiecki przylatuje do naszej jazdy i słowa cesarskie generałowi Sokolnickiemu przekazuje. Zacny wódz, żalem przejęty na tę wiadomość, nie wyrzekłszy i słowa, odstąpił komendy księciu Sułkowskiemu i do swojej dywizyi powrócił.“

Od tej chwili, jak świadczy gen. Kołaczkowski, intryganci, na których czele stanął Krukowiecki, starali się opanować wodzem naczelnym, następcą ks. Józefa, człowiekiem, mimo zalet rycerskich, „słabego charakteru.“ Nic innego nie mając na myśli, tylko opuszczenie szeregów Napoleona, nie doszedłszy do Renu, zaczęli szerzyć niekarność w wojsku polskiem. Dezercya z pod sztandarów stała się tak powszechną, iż pewnej nocy batalion grenadierów gwardyi polskiej, wraz z pułkownikiem Kurcyuszem, przeszedł do nieprzyjaciela.

„Nie doszliśmy do Fuldy—pisze Kołaczkowski—a już 500 ludzi brakowało w szeregach. Jednej nocy prawie cała kompania saperów z nanowy sierżanta starszego znikła z biwaku.“

Wreszcie i książę Sułkowski, dowiedziawszy się o zmianie usposobienia w wojsku, podał się do dymisyi i ze sztabem swoim przeszedł do sprzymierzonych.

Pozornie Krukowiecki pozostał w szeregach.

„Intryganci, na czele ich Krukowiecki, pozostali przy armii, nie przestając burzyć oficerów niższych przeciw starszym. Krukowiecki użył do tego generała Kwaśniewskiego, który przed frontem poważył się zelżyć generała dywizyi Sokolnickiego i za to jednak pod sąd nie poszedł!“

Komendę naczelną nad niedobitkami wojska polskiego powierzył cesarz Napoleon gen. Dąbrowskiemu.

*

*

*

O trybie działań następnych generała brygady Krukowieckiego dowiadujemy się z lakonicznych słów jego akt stanu służby: „W r. 1814 był przy ataku Paryża...”

W tych słowach tkwi geneza nienawiści gen. Sokolnickiego do Krukowieckiego i źródło sprawy, której wyjaśnienie podają nam nieznanne dotąd historykom dokumenta archiwalne, w archiwum Nowosilcowa, w kancelaryi generał-gubernatora warszawskiego odnalezione, stanowiące źródło niniejszego zarysu.

I.

Abdykacja Napoleona.—Cesarz Aleksander w Paryżu.—Misja Krukowieckiego do Loudynu.—Brozura bezimienna.—Akt oskarżenia przeciw Krukowieckiemu.—Osnowa zarzutów.

Abdykacja Napoleona w Fontainebleau stała się dla wielu dowódców polskich hasłem odstąpienia od sztandaru pokonanego bohatera i przyłączenia się do koalicji sprzymierzonych. Podczas bytności cesarza Aleksandra I w Paryżu, zaczęli oni głośno oświadczać się z wiernością dla zwycięzców, a złudzeni łaskawemi słowy Imperatora, rozpoczęli akcyę w kierunku zwerbowania niedobitków armii polskiej dla sprawy powrotu do ojczyzny. Wincenty hr. Krasieński miał poprowadzić ośmiotysięczną kolumnę różnej broni żołnierza przez nieprzychylne i wrzące poimstą Niemcy; generał Krukowiecki zaś otrzymał od Aleksandra I upoważnienie do wyjazdu do Anglii w celu wyjednania od rządu tamecznego wolności dla jeńców polskich i przyłączenia ich do współbraci, powracających do kraju.

W czasie, gdy Krukowiecki przebywał w Anglii, ukazała się w końcu r. 1814 w Paryżu broszura, drukowana w zakładzie Antoniego Bailleul, pod tytułem: *„Journal historique des opérations militaires de la 7-e division de cavalerie légère polonaise, faisant partie du 4-me corps de la cavalerie de réserve, sous les ordres de M. le Général division Sokolnicki, depuis la reprise des hostilités au mois d'aout 1813, jusqu'au passage du Rhin, au mois de Novembre, de la même année; rédigé sur les minutes autographes, par un témoin oculaire.”*

Broszura pomieniona składała się z 84 stronic w 16-ce, bez nazwiska autora na czele, jedynie w końcu kursywą zaznaczono: *Signé, Al... A... Chef de batallion du Génie.*

Pierwsze karty owe *Dziennika historycznego* stanowią niejako źródłowy obraz działań bojowych dywizji 7-ej lekkiej jazdy polskiej, złożonej z brygad 17-ej i 18-ej, jako części IV korpusu rezerwowego jazdy pod rozkazami generała dywizji Michała Sokolnickiego. Lecz, poczynając od str. 66, broszura przeistacza się w formalny akt oskarżenia skierowany przeciw generałowi Janowi hr. Krukowieckiemu, dowódcy brygady 18-ej, obciążający go winą zdezorganizowania nie tylko owej brygady, lecz i całej kolumny polskiej, ocalałej z pogromu lipskiego, winą niekarność żołnierskiej względem naczelnego wodza korpusu IV-go, wreszcie winą podstępnego usunięcia od dowództwa naczelnego nie tylko Sokolnickiego, lecz i generała Dąbrowskiego i zastąpienia go przez nieudolnego księcia Sułkowskiego z mocy nieprawnie wyjednanego rozkazu Napoleona.

Oto osnowa główna owych ciężkich zarzutów w porządku podanym w *Dzienniku historycznym*:

Siedmnastego października roku 1813 ośmnasta brygada wysłana została przez gen. Dąbrowskiego na rekonesans na drugi brzeg Elstery (str. 66).

Ośmnasta brygada, przybywszy nad wieczorem do korpusu księcia Poniatowskiego, zawiadomiła, że jest odcięta od swego korpusu przez przeważną jazdę nieprzyjacielską (str. 66).

Przybycie 18-ej brygady do korpusu księcia Poniatowskiego, pod owym pozornym motywem, było ze strony generała Krukowieckiego, jej dowódcy, czynem nieprawidłowym (str. 66).

Książę Poniatowski rozkazał generałowi Sokolnickiemu ustawić ośmnastą brygadę w szeregach jazdy 4-go korpusu rezerwowego i użyć jej jako części integralnej owego korpusu (str. 66).

Generał Krukowiecki, nie czekając rozkazu, przekroczył tany Loessnigu w chwili, gdy generał Sokolnicki zamierzał natrzeć na nieprzyjaciela siłami 18-ej brygady, która jeszcze żadnej służby w VIII korpusie nie spełniła i była jak najmniej strudzoną (str. 68).

Generał Krukowiecki, przekraczając tany Lessnigu, pociągnął za sobą takim czynem i namową część brygady XIX-ej (str. 68).

Takim postępkami naraził gen. Krukowiecki bezpieczeństwo gen. Sokolnickiego, pozostawiwszy go odosobnionym na rozległej płaszczyźnie z jedną pikietą eskorty rezerwowej i z Krakusami na czele (str. 68).

Generał Taliński przebył tany Kunewitz w celu uszykowania swej brygady w szyku bojowym u spodu płaszczyzny (*au bas du plateau*), podczas gdy generał Krukowiecki dotarł do tam Ku-

newitz i rozmieścił się obok jazdy gwardyi cesarskiej poza Probstheidą (str. 69).

Rozkazy gen. Sokolnickiego przesłane były generałowi Krukowieckiemu do Probstheidu przez pierwszego adjutanta, Różyckiego (str. 69).

20 października 1813 roku generał Sokolnicki, dawszy rozkaz oddziałowi, by stanął do boju w największej cichości, nie znalazł już ani 18-ej brygady, ani Krakusów na polu Schkeitbar (str. 77).

Generał Krukowiecki, opuściwszy z brygadą 18-tą stanowisko swoje w Schkeitbar, w celu udania się do Lützen, pociągnął za sobą Krakusów (str. 77).

Taki krok ze strony gen. Krukowieckiego pozbawił generała Sokolnickiego możności nagłego zaskoczenia, bez użycia broni, trzech batalionów grenadyerów i strzelców austriackich, co mogło być być spełnionem w ciągu jednego kwadransa (str. 77).

Dał on już w dniach poprzednich dowód swego ducha niekarność, opuszczeniem zaszczytnej placówki, nie zważając na bezpieczeństwo obozu (str. 77).

Gen. Krukowiecki wygłosił buntownicze wymysły (str. 77).

Usiłował przekonać walecznych Polaków, którzy nigdy nie paktowali ze swym obowiązkiem, iż nie wypada im już więcej bić się z nieprzyjacielem, którego tylokrotnie turbowali (str. 77).

Wygłaszał owe buntownicze poglądy przez motywa osobiste, które mu nakazywały unikać spotkania z Austryakami, jako zbiegowi z pod ich sztandarów (str. 78).

Okrzykami buntowniczymi i bezładem przez nie wywołanym, obudził czujność nieprzyjaciela, który ze swej strony uszedł pospiesznie (str. 78).

Trzy bataliony grenadyerów i strzelców austriackich biwakowały rzeczywiście w pobliżu korpusu polskiego (str. 78).

Po takim wystąpieniu generała Krukowieckiego można było się spodziewać kroków bardziej gwałtownych po człowieku, którego zły duch niekarność zawsze wyprowadzał ze szranek obowiązku (str. 78).

Generał Sokolnicki pragnął zapobiedz czynem stanowczym skandalowi, wywołanemu przez gen. Krukowieckiego (str. 78).

Przewidując grom, który mu miał spaść na głowę, usiłował zatrzeć zbrodnią niesłychany czyn swój i z rozmysłem uciekł się do kroku, który zuchwalstwem swoim udał mu się wbrew wszelkiemu spodziewaniu (str. 79).

Nie mając żadnego upoważnienia, poważył się dotrzeć do drzwiczek karety cesarza i przedstawił się tam, jako delegat

wszystkich oficerów korpusu z żądaniem zamianowania księcia Sułkowskiego ich wodzem (str. 79).

Generał Sokolnicki stawiał się bezzwłocznie po gen. Krukowieckim przed cesarzem, w celu potępienia samozwańca i prosił o zamianowanie wodzem generała Dąbrowskiego, jako najstarszego, lecz nie został wysłuchanym, z powodu, że zuchwalstwo gen. Krukowieckiego zbyt wielkie uczyniło wrażenie (str. 79).

Gen. Krukowiecki podszedł zaufanie cesarza i przypieczętował hańbę swego postępu zbrodnią, wprowadziwszy w błąd Napoleona (str. 79).

Wybór księcia Sułkowskiego na naczelnego wodza był zarodkiem prawie, że doszczętnego rozluźnienia korpusu, którego duch karności dotąd utrzymywał w spójni (str. 79).

Od tej chwili, będącej doskonałym odtworzeniem sławetnego *veto*, nie stało już ni ducha, ni duszy w armii polskiej (str. 79).

Korpus polski stał się od tej chwili błędną gromadą, którego rozluźnione członki błądziły samopas, a który spieszył się jedynie dla dotarcia do schroniska (str. 79, 80).

Wielu wojskowych polskich przeniosło ponad to cel powrotu, gdyż krok wodza, ks. Sułkowskiego, aż nazbyt usprawiedliwiał w oczach słabych, środek, który jedynie rozpaczą mógł być podyktowany (str. 80).

150 orderów legii honorowej było danych przez Napoleona, w celu uśmierzenia zamętu w armii polskiej (str. 81).

Stronniczość samowolna naczelnego wodza, ks. Sułkowskiego, pozbawiła owych oznak większość walecznych i obdarzyła niemi tych, którzy na nie nie zasługiwali, w tej liczbie 18-tą brygadę (str. 81).

Generał Krukowiecki wyłudził w taki sposób krzyż komandorski, otrzymawszy niedawno przedtem krzyż oficerski (str. 81).

Generał Sokolnicki, nie chcąc figurować w liczbie tych, których nie praca, lecz fawor odznaczyły owemi zaszczytnymi oznakami, sam wykreślił nazwisko swoje z ich listy w obecności całego korpusu (str. 81).

II.

W sądzie poprawczym paryskim. — Wykrycie nazwiska autora broszury. — Generał Sokolnicki. — Kongres wiedeński. — Krukowiecki u cesarza Aleksandra. — Ustanowienie komisji śledczej. — Festyn i awantura w Łazienkach. — Aresztowanie Krukowieckiego.

Dowiedziawszy się o treści broszury bezimiennej po powrocie z Anglii do Paryża, udał się bezzwłocznie generał Krukowiecki

do jej wydawcy, Bailleul'a, z ofiarowaniem znacznej kwoty za dobrowolne wyjawienie nazwiska autora pamfletu.

Wydawca dał odpowiedź wymijającą, wskutek czego Krukowiecki wniósł do Sądu poprawczego skargę, z żądaniem ukarania Bailleul'a za potwarcze oskarżenie.

Wystraszony księgarz, pragnąc zwolnić się od odpowiedzialności osobistej, zeznał przed sądem, jako podznaczonym w końcu inicjałami: *Al... A. Szef batalionu inżynierów*, jest generał dywizyi—Michał Sokolnicki.

Osiągnąwszy w taki sposób cel główny procesu, pośpieszył Krukowiecki w styczniu 1815 r. do Wiednia, gdzie od 1 października 1814 r. gromadziły się zastępy monarchów europejskich i towarzyszących im dostojników, by w wykonaniu traktatu paryskiego otworzyć kongres w sprawie uregulowania na nowych podstawach stosunków narodów Europy. Świetniejszego zebrania potentatów nigdy przedtem świat nie oglądał.

Wśród zabaw, które na pozór zdawały się być jedynym celem zjazdu wiedeńskiego monarchów, dyplomatów i śmietanki towarzysztwa europejskiego, wśród balów, obiadów, przedstawień teatralnych, turniejów, igrzysk wojskowych, wśród marnotrawnego używania grosza publicznego na przyjęcia dworskie, które pochłaniały kilkadziesiąt tysięcy guldenów dziennie, zaledwie mało zbywało czasu monarchom na załatwianie prośb natury prywatnej, któremi ich zarzucano.

A jednak intencja cesarza Aleksandra w wyróżnieniu generałów polskich, tych zwłaszcza, co jeszcze przed wkroczeniem wojsk sprzymierzonych do Paryża, opuścili sztandar Napoleona, była tak widoczną, że nie trudno było generałowi Krukowieckiemu dotrzeć osobiście do Cesarza z zażaleniem na generała Sokolnickiego i domagać się zadośćuczynienia za rzekomo doznaną odeń krzywdę.

W dniu 9 lutego 1815 r., otrzymawszy w Burgu audyencyę, przedstawił Krukowiecki cesarzowi Aleksandrowi prośbę w języku francuskim, następującego w przekładzie brzmienia:

Najjaśniejszy Panie! W epoce, gdy Wasza Cesarska Mość, kierowana uczuciami szlachetnemi i wspaniałomyślnemi względem Polaków, wysłała mnie do Anglii w celu zgromadzenia znajdujących się tam jeńców wojennych, generał dywizyi Sokolnicki, korzystając z mej nieobecności i wyjazdu z armii polskiej, polecił pod imieniem szefa batalionu Alfonsa wydrukować pamflet, przepętniony fałszywemi faktami,

ubliżającemi honorowi naczelnego wodza ks. Sułkowskiego, dotkliwiej jeszcze mojemu, najhaniebniej zaś sławie korpusu polskiego. Ponieważ w kampanii 1813 r. znajdowałem się w ciągu dni dwóch bezpośrednio pod rozkazami generała Sokolnickiego, który nie żaląc się na mnie, ani też nie obwiniając mnie, przedstawia mnie w owym pamflecie, jako człowieka, który obowiązkom swoim i honorowi swemu ubliżył; z tego powodu błagam Waszą Ces. Mość, byś raczył ustanowić nademną sąd wojenny w celu rozpatrzenia mego postępowania. Jeślim zawinił, winienem podlegać karze i dla tego błagam o łaskę, bym został ukarany według całej surowości praw wojennych w przekonaniu, że takąż surowość kary spotka i potwarcę i że proces wydrukowany i ogłoszony publicznie, przywróci wszędzie, gdzie pamflet był rozpowszechniony, honor armii i mój własny. Gdy zaś każdy podwładny winien dążyć przedewszystkiem do tego, by tryb jego działania i jego charakter były dobrze znane jego zwierzchnikom, byłbym szczęśliwy, gdyby sąd wojenny, mający mnie sądzić, odbył się pod prezydencją Jego Cesarzewiczowskiej Mości W. Księcia Konstantego, naszego Naczelnego Wodza.

Pozostaję z najgłębszem uszanowaniem

Waszej Cesarskiej Mości

najposłuszniejszym i najwierniejszym sługą

Jan hr. Krukowiecki,

generał brygady.

Wiedeń, 9 lutego 1815 r.

Dwa miesiące upłynęły od dnia wręczenia cesarzowi Aleksandrowi powyższej prośby, gdy w d. 5 kwietnia 1815 roku Wielki Książę Konstanty zakomunikował gen. Krukowieckiemu odezwę w języku francuskim, zawiadamiającą go, że z rozkazu cesarza ustanowił Komisję śledczą (*Conseil d'enquête*) w przedmiocie zbudania zarzutów, uczynionych skarżącemu ze strony gen. Sokolnickiego, który się do ich autorstwa przyznał (*dont le gen. Sokolnicki s'est déclaré l'auteur*). Komisya ustanowioną została w osobach: generałów dywizyjnych: Zajęczka, jako prezesa, Izidora Krasin'skiego i Haukego, oraz generałów brygady: Sierawskiego i Kuratowskiego. Audytorem naczelnym zamianowany został Krysiński.

Jednocześnie w tychże słowach zawiadomił W. Książę generała dywizji Zajączka o celu i składzie Komisji śledczej; nazajutrz zaś d. 6 kwietnia 1815 r. nadesłał mu oryginał skargi gen. Krukowieckiego, podanej cesarzowi we Wiedniu.

W trakcie przygotowań do czynności Komisji powierzonej zaszedł wypadek nieoczekiwany, świadczący o rozjątrzeniu Krukowieckiego przeciw gen. Sokolnickiemu i o nieokiełznanej bucie pierwszego, nie liczącej się ani z warunkami karnośći względem władzy zwierzchniej, ani z elementarnymi wymaganiami przyzwoitości, która niedopuszcza publicznej burdy w sprawie pod orzeczenie Sądu podanej.

W dniu 11 kwietnia 1815 r. po nadejściu do Warszawy wiadomości o wskrzeszeniu Królestwa, cały jeneralitet polski postanowił uczcić ów fakt dziejowy uroczystym festynem w Łazienkach. Teatr na wyspie oświetlony był rżęsiście lampionami, na scenie zaś wystawiono operę Kurpińskiego *Jadwiga*, na której w otoczeniu wojskowych obu narodów znajdował się Wielki Książę.

Przedstawienie poprzedził wielki obiad składkowy w pałacyku. Przy stole biesiadnym zasiedli obok W. Księcia: feldmarszałek hr. Barclay de Tolly, hetman hr. Platow, generał piechoty Sakin, generał gubernator Łanskoj, a przy nich wszyscy generałowie polscy. Toast pierwszy wznioł generał Zajączek na cześć cesarza, generał Dąbrowski na cześć W. Księcia, generał Sierakowski wypił zdrowie Barclaya de Tolly, ks. Sułkowski toastował na cześć wojska rosyjskiego, w końcu Wielki Książę pił zdrowie wojska polskiego (*Gaz. Warsz.* № 30 z r. 1815).

Podczas owego podnieconego nastroju umysłów, generał Krukowiecki zbliżył się do gen. Sokolnickiego i nastąpiwszy mu na nogę, „głośno rzucił mu w twarz dotkliwą wobec całego grona biesiadników obelgę“ (Niemcewicz: *Pamiętn.* II, 217).

Niesłychany ów afront, w obecności księcia krwi przez wojskowego spełniony, ogólnie wywołał oburzenie. W. Książę polecił bezzwłocznie aresztować Krukowieckiego i rozwinąć w tej sprawie dochodzenie. Aresztowanie przeszkodziło gen. Sokolnickiemu w rozprawieniu się z napastnikiem, w drodze pojedynku. Nazajutrz, d. 12 kwietnia 1815 r. wniósł on do W. Księcia skargę następującą w przekładzie brzmienia:

„Z rozkazu Jego Ces. Mości i na prośbę generała brygady Krukowieckiego, Jego Cesarzewiczowska Mość W. Ks. Konstanty ustanowił Komisję śledczą, w celu rozpatrzenia zarzutów temuż generałowi uczynionych w broszurze, do której autorstwa się przyznaje, pomimo, że była wydrukowaną bez mego upoważnienia

i wbrew moim intencjom. Wybór członków tejże Rady był dostateczny dla wzbudzenia ufności w człowieku honoru, wspartym na poczuciu prawdy i stałości zasad w postępowaniu. Ofiarowałem się ze złożeniem dowodów. Są one niewzruszone i dlatego postanowiłem oczekiwać ich rozbioru z bierną rezygnacją.

„Z tem wszystkiem, bez względu na tak poważny areopag, na wyższość rangi i godność osób zgromadzonych w dniu wczorajszym w Łazienkach, między którymi znajdowały się damy z najwyższych sfer towarzyskich, nie zważając nawet na miejsce i pobudki zebrania, zaszczyconego obecnością W-go Księcia, generał brygady Krukowiecki uczynił mi afront i znieważył publicznie, pomimo, że starałem się uniknąć z nim spotkania.

„Odwołuję się zatem do sprawiedliwości Komitetu z prośbą o ocenienie jego postępków z całą surowością zasad honoru i karności wojskowej, będącej dźwignią służby i podstawą armij i państw.

„Domagam się, by Rada rozpoznawcza zmienioną została na Sąd wojenny w celu równoczesnego osądzenia i przestępstwa ostatniego i wykroczeń uprzednich, lub też, by nie czekając rezultatu jego narad, ustanowić bezzwłocznie sąd oddzielny dla zawyrokowania w sprawie oskarżenia ostatniego.

Warszawa, d. 12 kwietnia 1815 r.

Sokolnicki,
generał dywizyjny.

Skardze gen. Sokolnickiego nie dano na razie zadośćuczynienia. Natomiast w dniu 18 kwietnia 1815 r. Komisya śledcza zwróciła się do gen. Krukowieckiego z odezwą następującą:

„Gdy JW. gen. dywizyi Sokolnicki powołany przez Komisję, ażeby zarzuty w broszurze swojej przeciw W. generałowi czynione, a na str. 66 do 81 inclusive znajdujące się, dowodami poparł, odwołuje się do świadectwa następujących osób, jako to:

„W. gen. dywizyi Dąbrowskiego, gen. dywizyi ks. Sułkowskiego, gen. brygady Rautenstraucha, pułkowników: Redla, Morawskiego, Siemiątkowskiego, Kosseckiego, Dwernickiego, Oborskiego i Madalińskiego, majora Żuchowskiego, dawnego szefa sztabu dywizyi Jabłkowskiego, szefów szwadronów: Szymańskiego, Różyckiego, Starzyńskiego, Jagmina, kapitanów: Wężyka, Lewińskiego, Valentina, Rządковского, Starzyńskiego, Jezierskiego, Sosnkowskiego, Cylińskiego.

„Komisya, uwiadamiając o tem W. generała, ma honor wezwać go, aby oświadczył, czyli ma do uczynienia jakąwą excecpcję prawną przeciw któremu z wymienionych świadków, a w tym

wypadku oczekuje od niego wyrażenia powodów, jakieby mu służyć mogły do żądania excepcyi.“

Nazajutrz po otrzymaniu powyższej odezwy generał Krukowiecki w deklaracji, zredagowanej stylem oschłym i stanowczym, odmówił Komisji prawa do wysłuchania świadków przez gen. Sokolnickiego proponowanych, natomiast zażądał, by czynność Komisji śledczej zredukowaną była do ocenienia dwóch jedynie inkryminowanych okoliczności: natury zarzutów i ich autorstwa.

Oto brzinienie deklaracji Krukowieckiego:

„Do Komisji śledczej: Przy przejeździe moim przez Paryż, zawiadomiony o ukazaniu się pamfletu (*libelle*) (tak nazywa prawo każdą bezimienną broszurę, atakującą honor i dobre imię człowieka), w którym, niezależnie od wielu kłamliwych zarzutów, honor mój i cześć armii polskiej, do której należałem, zbezczeszczone zostały, udałem się do Wiednia w celu uproszenia Jego Ces. Mości, by nakazał złożenie przeciw mnie Sądu wojennego, wobec którego gen. Sokolnicki, rzeczywisty autor broszury, byłby obowiązany dowieść prawdziwości zarzutów, podniesionych przeciw mojej czci i czci korpusu mego.

„Jego Ces. Mość, po odczytaniu mojej skargi i artykułów inkryminowanych, przychylił się do mojej prośby, jako słusznej i dając mi na wyjeźdźnym mojem do Warszawy instrukcyę, nadmieniał:

— Przesyłam, generale, prośbę twoją bratu mojemu, W. Ks. Konstantemu, z rozkazem ustanowienia żadanego przez ciebie Sądu wojennego.

„Komisya śledcza, o której ustanowieniu Jego Cesarzewiczowska Mość raczyła mnie zawiadomić, nie mogła, jak tylko z przytoczonych w prośbie mojej, przesłanej Sądowi wojennemu, ocenić:

1. Czy mój honor i sława korpusu polskiego, były zaatakowane w owej broszurze.

2. Czy generał Sokolnicki jest autorem broszury, noszącej na tytule inne, aniżeli jego nazwisko.

„I dlatego to, na prośbę Komisji śledczej, bym oświadczył, czy nie mam przeciw osobistościom ją składającym? odpowiedziałem, że przeciw wyborowi osób do Rady nic do nadmienienia nie mam, gdyż nie obawiam się wyroku nawet nieprzyjaciół moich.

„Co zaś do prawa analizowania w owej broszurze artykułów, godzących na mój honor i cześć korpusu polskiego, nie akceptuję

nie tylko wyroku, lecz nawet śledztwa Komisji, gdyż to należeć może jedynie do Sądu wojennego, mającego się odbyć publicznie, według zasad praw wojennych polskich.

„Nie uważam się przeto za obowiązane do odpowiedzi na pytania Komisji rozpoznawczej, zakomunikowane mi 18 kwietnia odnośnie do świadków, ani też na żadne inne, mogące mi być przedłożone, z wyjątkiem tych, jakieby miały związek z powyższymi dwoma artykułami.

„Pozostaje mi więc jedynie prosić Komisję śledczą o zawiadomienie mnie, kiedy Sąd wojenny, nakazany przez Jego Cesarzką Mość będzie mógł się odbyć.

Warszawa, 19 kwietnia 1815 r.

Hr Krukowiecki,
Gen. brygady.

Tegoż dnia zwrócił się gen. Krukowiecki do Wielkiego Księcia Konstantego z przedstawieniem następnego brzmienia:

„Wasza Cesarzewiczowska Mość! Najjaśniejszy Cesarz po przeczytaniu mej prośby i artykułów pamfletu, ubliżających memu honorowi, uznał nie tylko za słuszne, lecz i za konieczne, by sprawa moja poddaną była orzeczeniu Sądu wojennego. Z takim przeświadczeniem i uspokojeniem przybyłem tutaj.

„Gdy Waszej Cesarzewiczowskiej Mości podobało się zarządzić uprzednio ustanowienie Komisji śledczej drogą przesłania jej mojej złożonej Najjaśniejszemu Panu prośby, ja, nie znając zupełnie procedury sądowej, mniemałem, że jest to nowa do załatwienia konieczna formalność. Lecz z biegu nadanego przez Komisję sprawie, spostrzegłem, że ta przyswaja sobie atrybucye Sądu wojennego, na co zgodzić się nie mogę. Zamiast orzec: 1) czyli honor mój przez ową broszurę zbezczeszczoney został; 2) pozostawić mi możność udowodnienia, że generał Sokolnicki jest jej autorem, pod pozorem skrócenia procedury i z naruszeniem form ustanowionych, Komisya owa zwraca się do generała Sokolnickiego z zapytaniem, czyli się uznaje być autorem tejże broszury? i w tejże samej odezwie imputuje mu prawo, w razie gdyby do autorstwa broszury przyznał, zakomunikowanie Komisji gotowości swej do udowodnienia zarzutów w broszurze ogłoszonych.

„Krok tak nieprawidłowy i wysoce sprawie mojej ubliżający, jakkolwiek ukryty pod pozorem chęci skrócenia procedury, następcza Komisji możność stanowienia nietylko o naturze, lecz o rzeczywistości dowodów w sprawie podniesionych zarzutów, co już wyłącznie do atrybucyj Sądu wojennego należeć może. Wasza

Cesarzewiczowska Mość uzna zresztą łatwo różnicę wynikającą dla mnie z tego: czyli świadkowie są słuchani i konfrontowani przez Sąd wojenny publiczny, jak tego się domaga regulamin, czy też gdy zjawiają się prywatnie.

„Pozwalam sobie załączyć tu przekład odpowiedzi, przesłanej przezemnie Komisji śledczej, na odezwę w przedmiocie świadków, przez generała dywizji Sokolnickiego powołanych, a z treści owej odezwy w kopii przy niniejszem załączającej się. Wasza Cesarzewiczowska Mość raczy się przekonać, że po smutnem doświadczeniu, przezorność nakazuje mi być na baczności z Komisją, przyswajając sobie prawa rozległe, których nie posiada, a która nawet, wymagając odemnie odpowiedzi czyli mam coś do nadmienia przeciw świadkom, przysłała mi ich listę bez objaśnienia mnie, którzy z nich są wskazani przez owego generała dla udowodnienia tego lub owego ustępu jego broszury, co znowu nie jest bez znaczenia.

„Błagam przeto najusilniej Waszą Cesarzewiczowską Mość, o przyłożenie swej dłoni do wszelkich węzłów proceduralnych sprawy tej najważniejszej w mem życiu, w której domagam się najsurowszej sprawiedliwości i środka zapobieżenia, by stronniczość, w jakiejkolwiek bądź formie się ujawniała, nie mogła mi szkodzić usiłowaniem złagodzenia surowości prawa i łagodnego wyrokowania w sprawie, która nie może i nie powinna zakończyć się inaczej, jak tylko aktem surowości bezwzględnej.

„Racz Wasza Cesarz. Mość przyjąć zapewnienie najgłębszego mego uszanowania

Warszawa, 19 kwietnia 1815 r.

Jan hr. Krukowiecki,
gen. brygady.

Zażalenie powyższe nie odniosło spodziewanego skutku. Przeciwnie, postawiona przez generała kwestya kompetencji Komitetu rozpoznawczego, rozstrzygniętą została przez W. Księcia w sposób wręcz oczekiwaniom gen. Krukowieckiego przeciwny. Nastąpiło to na skutek raportu Prezydującego, generała Zajączka, złożonego W. Księciu d. 20 kwietnia 1815 r., w którym to raporcie Komitet rozpoznawczy wyraził zdziwienie, iż gen. Krukowiecki czyni trudności w zbadaniu sprawy, której wyjaśnienia sam się domagał, nie mniej, że nie życzy sobie wyświeatlenia swoich postępów wojskowych, za które w broszurze obwiniony został.

Dnia 21 kwietnia 1815 r. otrzymał gen. Krukowiecki rozkaz w słowach stanowczych, a nawet szorstkich, poddania się woli Komitetu.

„Zawiadamia mnie raportem generał dywizyi Zajączek — pisał W. Książę Konstanty — że Pan odnawiasz odpowiedzi na pytania stawione Mu przez Komitet, który ustanowiłem *w celu zbadania* zarzutów podniesionych przeciw Panu w broszurze generała dywizyi Sokolnickiego.

„Rozkazuję Ci, generale, byś odpowiedział w sposób najkategoryczniejszy na pytania, mające Ci być zadane przez Komitet i oświadczam Ci, że najjnniejszy opór w uczynieniu temu zadanie uważać będę za akt niesubordynacyi i niepoddania się woli Jego Cesarskiej Mości, a gdybyś się okazał winnym, Sąd wojenny będzie natychmiast ustanowiony dla osądzenia Ciebie za przestępstwo wojskowe, według całej surowości prawa.“

O takim rozkazie, danym gen. Krukowieckiemu tegoż dnia 21 kwietnia, Wielki Książę zawiadomił gen. Zajączka z nadmienieniem, że uzyskane w śledztwie wyjaśnienia służyć mają za podstawę dla zawyrokowania w Sądzie wojennym (*à l'effet d'obtenir des éclaircissemens relatifs aux griefs, qui doivent être portés à la connaissance du Conseil de guerre*).

Czasowa niedyspozycya generała Sierawskiego, członka Komitetu, spowodowała opóźnienie biegu śledztwa, o czem gen. Zajączek zawiadomił W. Księcia w raporcie z d. 27 kwietnia, lecz W. Księciu widocznie zależało na przyspieszeniu procedury, gdyż nakazał bezzwłoczną kontynuacyę śledztwa, z zaleceniem, by jego rezultaty przedstawione były w mieszkaniu obłożnie choremu gen. Sierawskiemu.

W d. 18 maja 1815 r. gen. Krukowiecki ponownie odwołał się do W. Księcia z zażaleniem i prośbą, aby świadkowie powołani do zeznań w jego sprawie, wysłuchani byli na posiedzeniu publicznem, wobec całej Komisyi, w Warszawie, nie zaś przez audytorów delegowanych, co mogłoby wywołać nieporozumienie i wpłynąć na przewłokę w biegu sprawy.

Zapytanie w tym przedmiocie uczynił i Prezydujący, gen. dywizyi Zajączek, w d. 19 maja t. r.

Zanim nastąpiła w tej sprawie decyzya, W. Ks. Konstanty w odezwie do gen. Zajączka z d. 21 maja zauważył, że powoływanie świadków do Warszawy mogłoby spowodować niepożądane dla służby wojskowej następstwa, lecz jeśli takie żądanie oparte jest na prawie, którego W. Książę nie zna, prawo takie powinno mu być uprzednio przedstawione.

Równocześnie d. 24 maja W. Książę zawiadomił gen. Zajączka, że zajęcia drugiej dywizyi infanteryi wymagają nieodzownie obecności generała dywizyi Izydora Krasińskiego i dlatego na

jego miejsce zamianowany został członkiem Komisji generał dywizji Kamieniecki, by w ten sposób nie nie tamowało przyspieszenia wykonania woli cesarskiej.

Zaszła tymczasem okoliczność, niezgodna widocznie z intencjami podsądnego, gdyż w dniu 29 lipca 1815 r., Komisya otrzymała odezwę gen. Krukowieckiego tej osnowy:

„Z uwagi, że generał Izidor Krasiński zastąpiony został przez generała Kamienieckiego, sądziłem, że tenże gen. Krasiński nie będzie już wezwany do wyrokowania ostatecznego w sprawie, rozpoczętej przez Komitet rozpoznawczy. Przekonanie to, tem bardziej było uzasadnione, że gdy generał Krasiński widział się ze mną, oświadczył mi w obecności wielu osób, że bardzo jest zadowolony z tego, że nie ma obowiązku mieszać się do tak niemiłej sprawy (*de ne plus se meler d'une affaire si désagréable*). Mówił następnie dużo o moim procesie i między innymi rzekł: „Śmiałem się w sobie ze śledztwa przeciw Panu uformowanego, odnoszącego się do sprawy 18 października, gdyż sam byłem świadkiem naocznym, żeś Pan przez cały ów dzień był czynnym.“ Ponieważ słyszę, że ów generał ma wstąpić ponownie do składu Komitetu, uważam się w prawie żądać jego wyłączenia i ośmielam się prosić Komitet o przedstawienie tego żądania komu z prawa należy.

„Sądzę, że ów Szanowny Członek Komitetu sam będzie przeświadczony o słuszności mojej reklamacji z uwagi, że rozmawiając dużo ze mną o sprawie mojej w miejscu mego aresztowania, w charakterze byłego Członka Komisji i niemającego zamiaru powrócenia do niej, nie powinien nadal w niej zasiadać.

„W przeciwnym razie, mógłbym nadmienić, że albo generał Krasiński nie powinien był rozmawiać ze mną po swoim pierwszym wystąpieniu z Komisji, albo że nie powinien obecnie do niej wracać. Taktowność owego generała byłaby w zgodzie z moją uwagą, by nikt nie miał prawa sądzić, że słowa przezeń wyrzeczone do mnie w obecności wielu osób, zmierzały do wybadania mnie w celu zaszkodzenia mej sprawie. Nie wyłączałem zrazu generała Krasińskiego, ze względu, iż fakt tu przytoczony miał miejsce w trakcie procesu.

„Proszę Komisję o przedstawienie tej uwagi komu z prawa należy.

„Nadmieniam nadto, że nie spytano mnie dotąd, czyli pragnę mieć za sędziego Kamienieckiego, jak to uczyniono przy otwarciu czynności Komisji.

„Dla ratowania mego honoru, ustawicznie atakowanego, proszę Komisję o załączenie moich uwag, niezbędnych niewątpliwie do postanowienia wyroku.

„Podałem o to prośbę do Najjaśniejszego Pana i wyrok ten pozyskam, abym wiedział, czy jestem winien, czy też nie.

„Mam zaszczyt etc.

Krukowiecki.

O liście tym doniósł w d. 29 lipca 1815 roku gen. Zajączek W. Księciu w chwili, gdy Komisya była już na ukończeniu swej czynności (*au moment on le conseil d'enquête alloit terminer ses travaux*) z nadmienieniem, że gen. Krukowiecki wyłącza ze składu Komisji gen. Krasińskiego, którego raz już akceptował. Gdy zaś prawo podobnego wypadku nie przewidziało, Komisya prosi w tej mierze o decyzję W. Księcia.

W odpowiedzi na to zapytanie W. Książę w dniu 31 lipca 1815 r. wyraził zdanie, że ponieważ sam gen. Krukowiecki przyznaje, iż gen. Krasiński korzystnie się o nim odezwał, przeto nie powinienby jego postanowień mieć w podejrzeniu (*ses decisions ne doivent pas lui paraître suspectes*).

III.

Prace Komisji śledczej.— Cztery główne punkty oskarżenia.— Bitwa pod Lipskiem.— Po zgonie księcia Józefa.— Działania brygady Krukowieckiego.

Tak stała sprawa do początku sierpnia 1815 r., gdy po raz pierwszy Komisya śledcza zredagowała treść zarzutów, podniesionych przeciw gen. Krukowieckiemu w broszurze gen. Sokolnickiego.

„Zarzuty pomienione—zdaniami Komisji—dają się sprowadzić do czterech głównych punktów oskarżenia:

Punkt pierwszy: „Generał Krukowiecki opuścił w dniu 17 października 1813 r. dywizję generała Dąbrowskiego bez rozkazu “

Oskarżenie to stwierdzone jest zeznaniem generała Dąbrowskiego i przyznaniem się generała Krukowieckiego.

Dla złagodzenia swej winy generał ów twierdzi, że otrzymał od księcia Poniatowskiego rozkaz przyłączenia się doń ze swą brygadą. Gdyby tak było, czy książę nie uprzedziłby o tem generała Dąbrowskiego? Zresztą książę Poniatowski nie mógł wydać takiego rozkazu bez upoważnienia cesarza, albowiem ge-

nerał Dąbrowski, dowodząc korpusem oddzielnym, nie zależał bynajmniej od księcia. Ów mniemany rozkaz był zatem jedynie zezwoleniem na przyłączenie się do korpusu księcia, zezwoleniem wyludzonem drogą fałszywego zapewnienia ze strony generała Krukowieckiego, że jazda nie mogła nadal działać na stanowisku, zajętem przez generała Dąbrowskiego, czemu ten ostatni przeczy stanowczo w swem zeznaniu.

Co więcej, generał Rautenstrauch stwierdza, że słyszał księcia Poniatowskiego mówiącego: „*Krukowiecki przyłączył się do nas bez upoważnienia.*“

Generał Toliński zeznaje wprawdzie, że był obecny przy tem, gdy książę Poniatowski mówił do Krukowieckiego, by przyprowadził swą brygadę, lecz generał Toliński mógł być przyjąć przyzwolenie za rozkaz.

Zresztą, jakże powiązać ów rozkaz z raportem generała Krukowieckiego, złożonym wieczorem tegoż dnia generałowi Dąbrowskiemu a datowanym z obozu 8-go korpusu, w którym prosi tegoż generała o dalsze rozkazy. Jeżeli je otrzymał już od księcia Poniatowskiego, to pocóż było żądać ich z kądinąd?

Wszystkie przytoczenia i twierdzenia gen. Krukowieckiego są niejasne, lecz co jest niezbiecnie jasnem, to to, że generał Krukowiecki opuścił dywizję Dąbrowskiego bez rozkazu.

Punkt drugi: Zarzucają generałowi Krukowieckiemu, że opuścił 18 października stanowisko pod Wachau bez rozkazu; zarzucają mu również niewykonanie rozkazu zakomunikowanego mu tegoż dnia przez generała Sokolnickiego za pośrednictwem majora Różyckiego.

Punkt pierwszy tegoż oskarżenia nie jest stwierdzony przez większość świadków, zeznających, że widzieli tegoż dnia w marszu eszelony brygady gen. Krukowieckiego z resztą korpusu. Lecz inna jest sprawa z punktem drugim. Major Różycki zeznaje, że poniósł rozkaz generałowi Krukowieckiemu, by osłonił swą brygadą prawe skrzydło korpusu, i że ten rozkaz wykonany nie został. Przyznaje to sam gen. Krukowiecki w wyjaśnieniu danem na piśmie. Przytacza na swe usprawiedliwienie, że nie mógł się utrzymać w miejscowości, w której go znalazł adjutant, gdyż tracił wiele żołnierza. Gdyby się tak rzeczy miały istotnie, generał Krukowiecki nie mniej byłby winnym nieposłuszeństwa.

Punkt trzeci: Zarzucają generałowi, że opuścił 20 października korpus generała Sokolnickiego bez rozkazu, gdy ten ostatni bivakował pod Skeytbar.

To nieposłuszeństwo stwierdzone jest przez samego generała Krukowieckiego. Przyznaje on w swem objaśnieniu, że opuścił

generała Sokolnickiego, w celu odnalezienia generała Dąbrowskiego.

Punkt czwarty zarzuca gen. Krukowieckiemu głosy buntownicze podczas nocy z 19 na 20 października.

Zeznania większości świadków są w tej mierze wymijające.

Z tem wszystkim pułkownik Oborski zeznaje stanowczo, że wzburzenie gen. Krukowieckiego, jak również jego mowy, źle oddziaływały na unyśły żołnierzy.

Pułkownik Morawski również zeznaje, że głosy generałów, a głównie generała Krukowieckiego, wzburzyły i spaczyły ducha armii.

Major Starzyński oświadcza, że słyszał gen. Krukowieckiego, mówiącego głośno: „Nigdy nie byłem legionistą i nie przeprowię się przez Ren.“

Kapitan Starzyński również donosi o takim odezwaniu się gen. Krukowieckiego. Widzi w niem źródło odstępstwa, które omal, że nie zbezczeszcilo armię.

W nocy z 19 na 20 października generał Krukowiecki (co sam przyznaje w swem wyjaśnieniu), dał zlecenie księciu Sułkowskiemu, by zapytał generała Sokolnickiego, ich wspólnego wodza, dlaczego ociąga się z pochodem? i że armia nie jest już w stanie wydania pomyślniej walki.

Jakże to mógł podwładny generał ośmielić się takim językiem przemawiać do swego wodza? I w jakim czasie? W chwili niepowodzenia, gdy obowiązkiem każdego z nich było podtrzymać ducha armii.

Gdy się przedstawia sobie dowódcę, obnoszącego się przez dni kilka ze swym niepokojem, wzburzeniem, przechodzącego ze swą brygadą z jednego obozu do drugiego bez rozkazu, nie znajdującego ani miejsca, ani wodza odpowiednich dla siebie, mającego minę zupełnie niezależnego i samowolnego, krytykującego działania swoich zwierzchników i sięjącego nieufność, wygłaszającego takie buntownicze zdania, jak: „nie byłem nigdy legionistą i nie przeprowię się przez Ren,“ intrygującego w sprawie złożenia swego Naczelnika, nie podobna wstrzymać się od myśli: Biada armii, mającej takich żołnierzy! Tem więcej są oni niebezpieczni, ile że młodzież nierozważna żywi w duszy podziw dla buntujących się przeciw władzy wyższej i uważa za heroizm to, co jest jedynie skutkiem złośliwości lub szaleństwa.

Im bardziej się zastanawiamy nad ową nieszczęsną sprawą, tem bardziej jest się przekonany o tem, że generał Krukowiecki *jest winowajcą* i że zasługuje na oddanie go pod sąd wojenny.

Generał Sokolnicki jest winnym nie przyaresztowania go i niedoniesienia o nieposłuszeństwie generała Krukowieckiego.

Jest on winnym złośliwego użycia określenia: *dezertter* przeciw Krukowieckiemu w swej broszurze, co jest kalunnią.

Co się tycze wydrukowania i ogłoszenia broszury, generał Sokolnicki, przyznając się do jej autorstwa, oświadcza uroczyście, że się to stało bez jego wiedzy i udziału.

Nie ma dowodu, któryby temu przeczył.

Dan w Warszawie 5 sierpnia 1815 r.

Zajączek,
generał dywizyi.

IV.

Raport Komisji śledczej złożony W. Księciu. — Treść zeznań świadków. — Obrona generała Krukowieckiego. — Opinia Komisji śledczej.

Dnia 7 sierpnia 1815 r. Komisya śledcza złożyła W. Ks. Konstantemu szczegółowy raport o swojej działalności w tej sprawie.

Jest on następującego w przekładzie polskim z oryginału francuskiego brzmienia:

„Rada rozpoznawcza zwołana rozkazem W. Ks. Mości z dn. 24 marca (5 kwietnia) za № 229, złożona z generałów dywizyi: Zajączka (Józefa) Prezydującego, Krasieńskiego (Izydora), Haukego (Maurycego), z generałów brygady: Sierawskiego (Juliana), Kurnatowskiego (Zygmunta), audytora generalnego: Krysińskiego (Ksawerego), w przedmiocie zbadania zarzutów, podniesionych przeciw generałowi brygady Krukowieckiemu, w broszurze zatytułowanej: *Journal historique* etc.; po otrzymaniu od generała Sokolnickiego oświadczenia, iż się do autorstwa pomienionej broszury przyznaje, ma zaszczyt przedstawić Waszej Ks. Mości rezultat swoich dochodzeń, przy załączeniu dla większego wyświeślenia faktów, wyciągów następujących z materiału dowodowego:

1. Szczegółów, odnoszących się do stosunków służbowych, jakie zachodziły między gen. brygady Krukowieckim a generałem dywizyjnym Sokolnickim, z poglądem na działania wojsk polskich od 17 do 20 października 1813 r.

2. Zarzutów, uczynionych przez generała dyw. Sokolnickiego, gen. brygady Krukowieckiemu i wyłuszczonych w pomienionej broszurze.

3. Obelg, uczynionych generałowi Krukowieckiemu we wzmiarkowanej broszurze.

Wyliczenie zarzutów opartych na powadze oświadczeń zobowiązanych generałów Sokolnickiego i Krukowieckiego, jak również na zeznaniach świadków, według których Rada rozpoznawcza uważa zarzuty:

1. Jako dostatecznie stwierdzone.
2. Jako nie dostateczne, nie stwierdzone.

1.

Szczegóły, odnoszące się do stosunków służbowych między generałami Sokolnickim a Krukowieckim, jak również pogląd na działania wojenne wojsk polskich od 17 do 20 października 1813 roku.

a) Szczegóły odnoszące się do stosunków służbowych.

Korpus 4-ty jazdy rezerwowej pod rozkazami hrabiego de Valmy składał się:

Z 7-ej dywizji, dowodzonej przez gen. dywizji Sokolnickiego i z 8-ej, dowodzonej przez generała dywizji księcia Sułkowskiego. Dwie owe dywizje tworzyły brygady: 17, 18, 19 i 20, z których dwie pierwsze należały do 7-ej, dwie ostatnie do dywizji 8-ej.

18 brygada pod rozkazami gen. bryg. Krukowieckiego przyłączoną była do dywizji generała Dąbrowskiego, 20-ta zaś, dowodzona przez generała Weysenhoffa do 1-go korpusu armii francuskiej.

Po opuszczeniu korpusu przez hr. Valmy, dla poratowania zdrowia, zastąpił go w dowództwie generał Sokolnicki.

18-ta brygada przybywa 17 wieczorem do 4-go korpusu rezerwy i po uzyskaniu od księcia Poniatowskiego zezwoleniu staje pod rozkazami generała Sokolnickiego, który ustawia ją w szeregach z kawaleryą korpusu rezerwowego.

19 października w dniu zgonu księcia Poniatowskiego, generał Sokolnicki obejmuje dowództwo nad korpusem polskim, jako najstarszy z obecnych podówczas wodzów.

Z rozkazu Napoleona dowództwo korpusu polskiego oddaniem zostaje 20 października księciu Sułkowskiemu.

b) Działania wojsk polskich.

4-ty korpus kawaleryi rezerwy zajmuje 17 października stanowisko między Doesen i Wachau.

Przybywa podówczas brygada 18-ta i staje, jak wyżej nadmieniono, w szeregach z kawaleryą rezerwy.

Podczas, gdy korpus 8-my przybiera stanowisko bardziej ześrodkowane pod Lipskiem, 18 tegoż miesiąca 4-ty korpus rozwija swoje szwadrony od doliny Wachau aż do wałów Loessnigu, pozostawiając placówki wielkie i vedety złożone z regimentu Krakusów na froncie doliny, dla osłonięcia 8-go korpusu. Rankiem tegoż dnia nieprzyjaciel zaatakował Krakusów, ci się cofają, walka zatem zawiązuje się z 4-ym korpusem kawaleryi rezerwy i trwa do popołudnia, wtenczas, gdy 4-ty korpus, zmuszony uleść przed liczbą, cofa się poza wały Loessnigu

Z brzaskiem dnia 19 października 4-ty korpus zajmuje stanowisko na starej drodze z Lützen, ze strony Ploegnitz, które opuszcza, następnie kierując się z Ribbach na Schkeitbar w celu osłonięcia wielkiej kwatery głównej. 18-ta brygada otrzymuje rozkaz udania się wielką drogą do Knautnauendorf, pozostawienia tam małego oddziału obserwacyjnego i kontynuowania pochodu popołu z Krakusami aż do Schkeitbar, dla zajęcia stanowiska przy zbiegu dwóch dróg z Zwenckau i Pegau.

Dwaj żołnierze austriacy, wzięci w niewolę, sprowadzeni są w nocy z 19 na 20 do naczelnego wodza i według słów broszury, zapewnili, że stanowią część trzech batalionów austriackich, które, po przebyciu Elstery w pobliżu Zwenckau, mieli rozkaz ruszenia forsownym marszem w celu przybycia nadedniem do Weissenfels, lecz, będąc zmęczeni, zatrzymali się dla odpoczynku na godzin kilka. Zresztą trzy bataliony austriackie były bez artyleryi i kawaleryi.

20 października 4-ty korpus przybył do Lützen.

2.

Zarzuty czynione przez gen. Sokolnickiego generałowi brygady Krukowieckiemu w broszurze pomienionej brzmiały:

A) na str. 66, dzień 17 października.

17 października, generał brygady Krukowiecki posłany na zwiady za Elsterę przez generała dywizyi Sokolnickiego, pod którym służył, opuścił dywizyę tegoż generała pod pozorem, że jest odcięty od swego korpusu przez przeważnie siły nieprzyjacielskie i przyłączył się do korpusu księcia Poniatowskiego.

B) na str. 68 i 69, dzień 18 października.

Podczas, gdy 4-ty korpus rezerwy kawaleryi rozwijał swe szwadrony od doliny Wachau, aż do wałów Loessnigu, osłaniając 8-my korpus, zajmujący z wielką armią stanowisko skoncentrowane pod Lipskiem, 18 października generał Sokolnicki pragnął wzmocnić się brygadą Krukowieckiego dla rozproszenia nieprzyjaciela, atakującego Krakusów. Lecz ów generał, nie czekając rozkazów, przeszedł wały Loessnigu i pociągnął za sobą bądź przykładem danym, lub też namową, część brygady 19-ej, pozostawiając naczelnego wodza na płaszczyźnie rozległej z jedną tylko pikietą w eskorcie i z Krakusami na froncie. Przebywszy wały Kunnewitz, generał brygady Krukowiecki ulokował się ze swą brygadą za Probstheyda, pod bokiem gwardyi cesarskiej.

C) Strona 77 i nast., dzień 19 października.

19 października generał Krukowiecki, otrzymawszy rozkaz zajęcia stanowiska przed Schkeytbar, opuścił je własnowolnie, pociągając za sobą Krakusów, z którymi przybył do Lützen, w chwili właśnie, gdy brygada przezeń dowodzona, miała być użyta do zaskoczenia trzech batalionów austryackich i gdy generał Sokolnicki dawał już rozkaz swym żołnierzom wyruszenia na owe trzy bataliony.

D) Generał Krukowiecki usiłował podówczas namówić żołnierzy, by się nie bili, budząc w ich umysłach wątpliwość, co do celu, dla którego dotychczas krew swą przelewali. Czynił to dowódca z pobudek osobistych, nie chcąc się narażać na spotkanie z Austryakami, *jako ich dezertter (comme leur deserteur)*.

E) Strona 78—79, dzień 20 października.

20 października generał Krukowiecki, nie czekając przybycia kolumny pod Lützen, poważył się, bez żadnego upoważnienia, przedstawić się u drzwiczek karety Napoleona, jako niby delegowany wszystkich Polaków, by uprosić cesarza o przelanie naczelnego dowództwa na księcia Sułkowskiego.

3.

Obelgi zamieszczone w broszurze:

A) Na str. 78.

Generał Sokolnicki oskarża generała Krukowieckiego o dezercję z pod sztandarów austryackich.

B) Na tejże stronie.

Generał Sokolnicki, mówiąc o generale Krukowieckim, tak się o nim wyraża: „należało spodziewać się kroków bardziej bun-

towniczycy ze strony człowieka, którego zła wola wysuwała za-
zwyczaj poza przepisane granice.

C) Na str. 81.

Mówiąc o krzyżu komandorskim, udzielonym gen. Krukowiec-
kiemu, pisze:

„Intrygował dla pozyskania krzyża komandorskiego, który
też pozyskał, jakkolwiek został oficerem legii na krótko przedtem.
Postępek jego, wyżej wyłuszczony, świadczy, jaką drogą nań za-
służył.“

Komisya rozpoznawcza, mając honor przedłożenia, w taki
sposób Waszej Księżęcej Mości wszystko, cokolwiek uważała za
potrzebne dla wyjaśnienia faktów i zawartości broszury, nie doty-
kając wszakże opowieści historycznej działań wojskowych dywizyi
7-ej, przystępuje do klasyfikacyi oskarżeń na podstawie zeznań
donosiela, oskarżonego, świadków i dowodów, które posłużyły
do jej orzeczenia i dzieli takowe:

- 1) na udowodnione należycie i
- 2) na nienależycie udowodnione.

OSKARŻENIA NALEŻYCIE STWIERDZONE:

1. *Że generał brygady Krukowiecki opuścił własnowolnie dy-
wizyę, będącą pod rozkazami gen. Dąbrowskiego.*

Dowody:

a) Własna odpowiedź generała Krukowieckiego na pytanie
2 Komisji, w której przytacza: „Po powrocie mej brygady z re-
konesansu, podjętego w d. 17 października 1813 r., otrzymałem
od generała dywizyi Dąbrowskiego rozkaz następujący: „Generale!
Nie mogąc być użytym tutaj z kawaleryą, staraj się przebyć
z drugiej strony rzeczki, kierując się przez Schönfeld, gdzie bę-
dziesz operował po stronie prawej.“

„Przedstawiwszy wszystkie trudności przebycia w tym punkcie
rzeczki, z uwagi na zły stan mostu przez generała dywizyi same-
go uznany nocy poprzedniej, otrzymałem w odpowiedzi:

„Że należy użyć wszelkich środków dla naprawy mostu w celu
uskutecznienia przeprawy, że bramy miasta były już zawarte, że
kawalerya nie mogła być użytą i że według wszelkiego prawdo-
podobieństwa pozycya ta będzie wkrótce opuszczoną.“

„Stosownie do tego rozkazu, udałem się w pochód z bryga-
dą, kierując się drogą prostą ku wiosce wskazanej etc.“

Tu generał Krukowiecki opowiada, że w czasie pochodu napotkał nieprzyjaciela, którego rozproszył, lecz spostrzegłszy, że inna kolumna, przybywająca z Euteritz, zagroziła uderzeniem na tyły, powrócił ze swą brygadą do generała Dąbrowskiego dla zasiągnięcia dalszych rozkazów, wyrażonych jakoby w takich słowach:

„Staraj się, generale, przebyć rzeczkę wszędzie, gdzie tylko to będzie możliwem. Dasz mi znać o tem, gdzie się zatrzymasz, bym ci mógł wręczyć rozkazy, jakie otrzymamy.“

Generał Krukowiecki mówi dalej, że był zmuszony w ogrodzie pewnym transportować po deskach (*sur des planches*) każdego konia osobno. Oto są jego własne słowa:

„Tak skuteczniejszy swą przeprawę przez rzeczkę, brygada zajęła stanowisko za miastem, na drodze do Weissenfels. Ulokowana następnie poza przedmieściem Grimma i dowiedziawszy się od oficerów, przybyłych z korpusu księcia Poniatowskiego, że tenże był w oddaleniu jednej mili od stanowiska przezemnie zajmowanego, że wiele ucierpiał dni poprzednich i że się spodziewał napadu, zdecydowałem się, wskutek przedstawień wodzów i oficerów dwóch regimentów, niemniej widząc nadto, że nie będzie mógł nic pomódz dywizji generała Dąbrowskiego, pospieszyć z pomocą ze swą brygadą księciu Poniatowskiemu, aż do otrzymania rozkazów dalszych od generała Dąbrowskiego, dowodzącego dywizją. Z tych pobudek udałem się z pułkownikami: Siemiątkowskim, Kosseckim, Dwernickim i Stryjeńskim do księcia Poniatowskiego, któremu złożyłem raport z wypadków, zaszłych 16 i 17 października, jak również z położenia, w jakim się znajdowała podówczas dywizya generała Dąbrowskiego, prosząc równocześnie księcia o dozwolenie brygadzie przyłączenia się do jego korpusu i wyjednania od Napoleona, by upoważnił ją do ostatecznego wcielenia się do korpusu 8-go.

„Książę się na to zgodził etc.“

b) Zeznanie generała brygady Rautenstraucha w odpowiedzi na 3 pytanie z d. 13 maja i na pytanie 2 z 29 t. m.:

„Książę oświadczył w mojej obecności, że Krukowiecki przybył bez upoważnienia.“

c) Zeznanie pułkownika Siemiątkowskiego w odpowiedzi na pytanie 5 z dnia 18 maja:

„Wiem, że nie było zupełnie wojsk nieprzyjacielskich między 18 brygadą a dywizją generała Dąbrowskiego, gdyż przedzielalo je miasto Lipsk jedynie. Przekonani, że nie będziemy mogli nic pomódz dywizji generała Dąbrowskiego z drugiej strony tegoż

miasta i dowiedziawszy się, że książę Poniatowski tylko o kwadrans drogi był od nas oddalony, udałem się pospołu z generałem Krukowieckim, Kosseckim i Dwernickim etc.“

Odpowiedź na pytanie 7 z dnia 30 maja:

„Po przebyciu Lipska dowiedzieliśmy się od pewnego oficera polskiego, że książę Poniatowski, znajdował się w pobliżu. W tem położeniu będąc nieczynni w miejscu, w którym się znajdowaliśmy, oddzieleni od generała Dąbrowskiego miastem Lipskiem, byłem obecny, jako będący podówczas pułkownikiem czwartego regimentu, że podczas deliberacyi między generałem Krukowieckim a innymi oficerami wyższymi, była mowa o wysłaniu delegacyi do księcia Poniatowskiego dla zasiągnięcia jego rozkazów lub dla połączenia się z nim.“

d) Zeznanie generała Dąbrowskiego na pytania: 5, 6, 7, 8, 9, 11, 12 i 13:

Odpowiedź na pytanie 5.

„Maszerując z Schönfeld dla zajęcia stanowiska przy Euteritz, posłałem generała Krukowieckiego z kawaleryą na prawe skrzydło moje.“

Odpowiedź na pytanie 6:

Mówiąc o pierwszym rozkazie, na który się powołuje generał Dąbrowski objaśnia: „Nic o tem nie wiem i nie przypominam sobie.“

Odpowiedź na pytanie 7.

„Nie przypominam sobie rozkazu drugiego, na który się generał Krukowiecki powołuje. Przeciwnie, otrzymałem od marszałka Ney'a rozkaz bronienia się do ostateczności i mogłem użyć kawaleryi podczas nocy dla wykonania rekonesansu na Gölitz.“

Odpowiedź na pytanie 8.

„Nie widziałem brygady generała Krukowieckiego w utarczce z nieprzyjacielem, lecz jedynie w chwili, gdy się w bezładzie cofała.“

Odpowiedź na pytanie 9.

Mówiąc o trzecim rozkazie, na który się generał Krukowiecki powołuje: „Nie przypominam sobie owego trzeciego rozkazu, jednakowoż, ponieważ gen. Krukowiecki cofał się przed frontem moim, możliwym jest, że mu dałem rozkaz przebycia mostu, będącego za szpitalem na lewem skrzydle i którego broniełem przeciw Francuzom, usiłującym go podpalić.“

Odpowiedź na pytanie 11.

„Generał Krukowiecki nie doniósł mi zupełnie o stanowisku, jakie zajmował.“

Odpowiedź na pytanie 12.

„Ulokowany ostatecznie poza przedmieściem Grimma nie prosił mnie zupełnie o pozwolenie udania się do księcia Poniatowskiego i bynajmniej mnie o tem nie uprzedził.“

Odpowiedź na pytanie 13.

„Nic mi nie doniósł o zamiarach swoich co do przyłączenia swej brygady do 8-go korpusu armii.“

ALEKSANDER KRAUSHAR.

IMPROWIZACYA

Adama Mickiewicza.

I.

Poezyę polską dziewiętnastego wieku rozpoczyna pieśń nowa, na świeżo nawiązanej strunie potrącona, prosta, jak odezwanie się dziecka, a mocna i wierna, jak przysięga.

Stworzona gdzieś pod obcem niebem i na obcej ziemi, może w marszu, może w nocy przed bitwą, i przyniesiona na ustach aż nad Wartę i Wisłę, przenikła ona cały horyzont swej ziemi, wrosła w bruki miast i w serca pokoleń i jak błyskawica oblatuje odtąd granice swego imperyum, czujna, zaniepokojona, szukająca choćby jednej piersi w każdym pokoleniu, piersi, w której mogłaby się zwinąć, spotężnić i wypaść z niej piorunem natchnienia.

Była to pieśń legionów.

Kiedy stare pokolenie szło już do grobów z rozpaczą, kiedy Naruszewicz wpadł w melancholię, Zabłocki wesołek przywdziewał habit, Książnin w obłędzie śledził godzinami cień wskazówki kompasu, a Trembecki wersalczyk biegał bosonóż w sukmanę odziany po trawnikach tulczyńskich ogrodów, kiedy miasta polskie szły, podobnie jak ludzie, w ruinę, pełne domów bez mieszkańców, bez okien, z trawą zarastającą chodniki, kiedy ptaki sybirskie poraz pierwszy siadać poczęły na polskich mogiłach — ta radosna, krzepka pieśń żołnierska zaczynała sobą nową przyszłość, szła w nią krokiem pośpiesznym i nieulekłym, z bronią w rękę, w szarym płaszczu wojackim na ramionach — i młodzież wiodła za sobą.

Zaczynała ona nowy wiek, nową historycę i nową literaturę.

*

*

*

Oczy po za siebie obracając, widziała ona jedynych swoich spadkodawców w konfederackich „rycerzach Maryi.“

Byli to ludzie wiary, natchnienia i heroizmu, najpierwsi poeci nowej ery, co pieśni swoje pisali w takt kopyt końskich i wykonywali je żywotem. Szli oni, jak lwy samotne, niewielką a wspaniałą gromadą, wbrew losom, wbrew nadziei, wbrew obłąkanemu narodowi, w same oczy ponurej śmierci, modląc się po drodze do Boga, „który jest mocny i możny w boju i na trzech palcach cały świat utrzymuje.“

„Abyś od nas nieporządną miłość życia doczesnego oddalił raczył —

„Abyś śmierć słodką i miłą za wiarę, wolność i ojczyste prawa uczynić raczył“ —

tak dopraszali się, w piersi bijąc, i chórem śpiewali pieśń, niezłomną i wysoką na wysokość ich królewskich umysłów:

Morze się burzy, ziemia się wali,
 Mięsza się niebo, powietrze,
 Niech się świat cały na nas obali,
 Wzruszy nas, ale nie zetrze.

Na gwałtownym przełomie wieków stanęli ci ludzie odchodzący, aby ogień tradycji oddać legionom, a samym pójść pod ziemię kończyć rasę dawną, orlą, patryarchalną, rasę Horsztyńskich, Sołtyków, na pół obłądnych teraz królów Lirów, jednemu Bogu tylko zdolnych unizyć głowy i kolana. I rasa ta w istocie skończyła się razem z nimi. Już tylko pozostałe jej resztki wchodziły w wiek 19-ty, błakają się w tłumie ludzi odmiennych, odcinają się od tła urokiem swej postaci, noszą w sobie czar tradycji, widoczny w każdym ich odezwaniu się, w każdym ruchu stylowym i skończonym, w całym ich porządku myślenia i postępowania, podległym tylko cenzusowi własnej, zawsze czujnej, nobilitas. Mieli oni w sobie powagę patrycyuszów, a wdzięk i pogodę ludzi wschodnich. Ruch myśli naukowej i filozoficznej był im prawie obcy; jeśli czytali co (na starość zwłaszcza), to chyba Volumina legum, stare kroniki, żywoty świętych, pamiętniki Janczara, Żółkiewskiego i t. p., ale nigdy to, co w kulturze europejskiej było wysokie i szlachetne, nie było im obojętne. Jak ongi z ludzi tego pokroju wyszło pokolenie humanistów i renesansistów i stworzyło w Słowiańszczyźnie typ człowieka wolnego, tak i obecnie rasa ta, gdyby przyszła była do dominującego w narodzie znaczenia, mogła stać się podłożem nowej, twórczej pracy na wschodzie Europy.

Czuł to dobrze Mickiewicz, kiedy patrząc na czasy Stanisława Augusta, szukał wpośród tych ludzi powinowactwa ze sobą i z całym ruchem romantycznym. Ponad literaturę arystokratów ducha, utalentowanych satyryków, kpiarzy, programowiczów, broszurowych postępowców, konnesserów i kolekcyonistów, przekładał on tych ludzi, co zamiast menueta nucili ranne wigilie i antyfony, nie bardzo znali się na rusztowaniu myśli Roussa czy encyklopedystów, ale mieli w sobie zato wiedzę powinności i nieomylny instykt lotu w rozpołożeniach swej duchowej ojczyzny.

Ludzie ci odeszli w ciemność nie przemówiwszy głośno przez nikogo. Pozostały po nich zaledwie nieme tradycye. Te wziął w siebie Kościuszko, przez nie wyrósł Woronicz, pieśniarz wiary rycerskiej a nie reakcyjnej, one to pały w legiony.

Literatura stanisławowska nie przejęła od nich nic i nic z nimi nie miała wspólnego.¹⁾ W rękopisach, podawana z ręki do ręki, krążyła garść pieśni konfederackich, w rękopisach obiegały kraj hymny i widzenia Woronicza, rękopiśmienną przeważnie, przez profesorów słowa nieuznaną, była też literatura legionów.

Mickiewicz ludzi pokolenia tego, coprawda, nie odtworzył, jego Pan Tadeusz opowiadał o Polsce „od szarego końca.“ Nie ma ich także u Krasińskiego. Malczewski pierwszy dał ich szkie pośpieszny w Mieczniku; aż dopiero Słowacki, spotkawszy się z nimi, stanął jak pod urokiem. Głosić ich odtąd rozpoczął i Boga samego prosił, by mu dozwolił „te Barszczany śpiewać—i wielkie bardzo a rozpaczne boje;“ tak powstał Horsztyński z wysmalonemi gdzieś w kaplicy cmentarnej oczyma, Beniowski z Pamfitem i Wernyhorą, ksiądz Marek w drewnianym Barze niby w polskim Betleem nad dzieciątkiem pochylony, tak Srebrny Sen, na stepach, Salomei, w dymach jałowcowych i krwawych włosach pożarów.

Nie mówił o nich autor Dziadów, ale oni przemówili przez niego; zagrali w jego piersi głosami gromów i aniołów, dali natchnieniom jego żywiołową moc ludzi z czasów reformacyi. Stało się to na drodze bezwiednej tylko tradycyi, tkwiącej w samej masie narodowej, ale stało się w sposób tak stanowczy, że każde głębsze, przeżyte wstrząśnienie strącało z organizacyi litewskiego śpiewaka wpływy z nią niezgodne, czasowe, a powracało go coraz bardziej przymusowo i elementarnie tym naczelnym, tradycyjnym instyngtom. W nim znalazła usta dla siebie etyczna wo-

1) Z wyjątkiem jednego Staszica.

la rasy. Gdyby wstali z grobu dawni rycerze Baru czy Cecory, gdyby ludzie tacy, jak Skarga, Długosz, Kochowski, Łaski, Starowolski, mogli czytać psalmy Krasińskiego czy Słowackiego o sobie oktawy, to przecież braćmi poczuliby się tylko Mickiewiczowi.

Wiara rycerska, Lohengrinowska, wiara obrońców świętego Graala pociąga go stopniowo w swe przepaście, pochłania w sobie jego indywidualność, czyni zeń nawet człowieka niewspółczesnego. Jak u Ryszarda Wagnera, rośnie w nim pogarda do świata nowoczesnego, i powiedzmy, do człowieka nowoczesnego. Kiedy poezya europejska uświadamia i objawia to, co się tworzy na nikłej, rozmięgotanej granicy ludzkiej osobowości, co jest nowe, odmienne, skomplikowane, to Mickiewicz przekreśla całą prawie sztukę współczesną, wierzy w nową, która wyjdzie z przemienionego człowieka, wierzy w cud i władzę cudu większą niż władza artysty, cofa się w głąbie cedrowych borów pełnić straż przy krwi Chrystusowej, a gdy się zjawia wpośród ludzi, to tak, jak rycerz z bretońskiej legendy, w błękitnej zbroi, z mieczem w ręku, aby „rycerstwu nie dać w barbarzyństwie brnąć.“

*

*

*

Ten dominujący ton jego natury zlewa się i łączy z uczuciem narodowości, z jej namiętnością duchową i tęsknotą fizyczną.

Powiedzieliśmy, że literaturę naszą wieku 19-go rozpoczyna pieśń legionów i odtąd cała prawie twórczość słowa polskiego jest rozprawdzeniem na olbrzymiej orkiestrze duchów tego małego zrazu a mocnego dźwięku. Wiek 18-ty w najtragiczniejszych nawet momentach nie zdobył się na żadną żywszą ekspresję polskiego uczucia w poezyi. Wpośród ludzi słowa, co mieli w sobie świadomość patriotyzmu, wiedzą o swoich stąd płynących obowiązkach, u takiego zatem Naruszewicza, Krasińskiego, Karpińskiego i innych, świadomość ta nie była w zgodzie z całą treścią i poziomem ich codziennego życia, duchowego ich samorządu. Tem się też tłómaczy mała wydajność ich reformatorstwa, omdlałe tony ich luteń.

Szukając przyczyn tego zdumiewającego zjawiska, dochodzimy do przekonania, że leżą one w samej istocie polskiego patriotyzmu. Uczucie to miało w sobie zawsze silny element metafizyczny.

zyczny. Nie należy przez to rozumieć przywiązania do katolicyzmu; był czas, że Polska miała charakter różnowierczy, że senat był prawie cały antykatolicki, a jednak wszyscy ci ludzie schodzili się z sobą w uczuciu narodowym; ani kalwini, ani luteranie nie dawali się w przywiązaniu do Rzpltej prześcignąć „papistom.“ Religijność tego uczucia polegała raczej na nieujętej, niewypowiedzianej i niezrealizowanej tęsknocie do bytowania w absolutnej czyli złotej wolności, tak, że przymus li moralny i godna człowieka dobrowolność stawała się jedyną zasadniczą podstawą zbiorowej egzystencji narodowej. Narodowość tak pojęta uważana jest za ustanowienie boże, godne tego samego szacunku, jaki oddajemy prawom moralnym, służy bowiem temu samemu celowi, ma swe posłannictwo utrwalenia wolnego ducha porządku na ziemi. Tem samem i wyobrażenie ojczyzny, wcześniej rozwinięte u Polaków, obejmuje nie samą ziemię i naród wraz z jego językiem, ale i ogół tych wszystkich środków i ustanowień, które służą do wytworzenia i zachowania typu człowieka wolnego.

Tak urobione pojęcie patriotyzmu łączyło się też przedewszystkiem z przywiązaniem do kultury chrześcijańskiej i stawało w jej obronie zawsze, impulsywnie, nawet wbrew chwilowym widokom interesu państwowego. Konstytucya polska oparta była o sumienie obywateli, a nie o tron lub rację stanu—wymagała też wskutek tego od narodu ciągłej podniosłości ducha, przyznawała mu dojrzałość uczucia, która się nazywa ofiarą. Kiedy sumienie to uległo zachwaszczeniu przesądem, kiedy z przyćmieniem oświaty wiara straciła duchowy element ruchu i natchnienia, równo z tem upada i patriotyzm.

Przychodzą wreszcie reformatorzy i rozpoczynają pracę odrodzenia: roznoszą płonące wici, koszą chwasty, zrębiają przesady, tną drogę ku światłu, wywołują odrodzenie polityki, oświaty, języka, wykonują pracę olbrzymią. Posiadają wielkie talenty, nie zbywa im na siłach i umiejętności; jednej im tylko rzeczy brak: odczucia i zrozumienia historycznej istoty polskiej psychiki. Oparci o francuski intelektualizm wieku oświecenia, tracą związek z masą narodową, nie umieją czerpać z niej sił, ani sił tych w gminie szlacheckim rozbudzać. Targają ręką ćwiczoną za struny ironii, szyku, dowcipu, rezonują, tłómaczą, gromią czasem;—porwać za sobą narodu nie mają sił.

Pierwszy człowiek natchniony od czasów Sobieskiego zjawia się dopiero w Kościuszcze. Przeszedł pomiędzy wypadkami, jak żywe nieprawdopodobieństwo i pokazał drogę legionom. Po nim przychodzi drugi człowiek tej rasy — Mickiewicz.

II.

Z tych dwóch elementów zasadniczych, wiary i wolności, wyrosła Improwizacya.

Zajmuje ona w twórczości Mickiewicza punkt środkowy i dominujący, z którego jawi się przed nami cały horyzont czasu, który minął i czasu, który nadejść miał dopiero dla poety.

Zawiera ona w sobie prawie wszystkie elementy natury Mickiewiczowskiej w stanie przejścia z jednej równowagi do drugiej. Jestto twórczy moment przewrotu i nowej zjawy; jako taki nadaje się on szczególnie do zdania sobie sprawy, jakie są twórczości tej cechy główne i jaki ona świat otwiera przed nami.

*

*

*

Są dwa rodzaje tworzenia. Jeden Sofoklesowy, sen na jawie, naśladowujący wielkie dzieło stworzenia. Rodzaj ten zna dystans i miarę; w radości czy bólu nie zapomina o gościu i nie przekroczy granicy, gdzie stoi Apollo Wyzwalający.

Tak powstał ponad człowiekiem fikcyjny świat bogów i ludzi, całe ziemie, wyspy i królestwa potężniejsze od tych, które są. Tak powstało imperyum Illuzji.

Achilles, Antyгона, Helena, Beatrycze, Don-Kichot, Książę Niezłomny, Hamlet, Falstaff, Don-Juan, Faust, Mefisto i t. d., wszyscy ci ludzie żyją między nami z oczywistością większą niż postacie historyczne, wywierają wpływ niemal codzienny, rozmnażają się w żywych oleodrukach, stanowią linie każdego spektrum współczesnej inteligencji, zadają pytania, które niepokoją albo rzucają odpowiedź na ukryte w głębi sumień pytania, wywołują wewnętrzne przewroty ducha, tracą władzę zepelnięci przez swoich następców, stanowią wspólną międzynarodową rodzinę krwi mięszanej, zaopatrzoną w obywatelstwo całego świata.

Jak ogromną może być moc czynu artystycznego, tego żywe przykłady dały nam Ateny. Homer tam wychowywał, posągi uczyły wiary, teatr był szkołą bohaterstwa i miejscem osądu pokoleń. Zeus Fidiasza miał „powiększyć ogólną pobożność w kra-

ju.“ W czasie oblężenia jednego z miast greckich postawiono za warunek pokoju wydanie wszystkich rzeźb. Miasto odrzuciło to żądanie i biło się do upadłego. Po wystawieniu dramatu Frynikosa p. t. „Zburzenie Miletu,“ wzruszenie słuchaczy było tak wstrząsające, że nazajutrz skazano poetę na grzywny i dramat zakazano. Kiedy w Orestei wbiegały na scenę gromady Eumenid, powstawał popłoch, dzieci marły ze strachu, kobiety roniły, zbrodniarze przyznawali się do win. Przykłady tego rodzaju można cytować bez końca.

Romantyzm polski rozszerzył znacznie granice królestwa iluzji i stworzył cały szereg postaci, z których każda ma swój legion pośród żywych. Jest tam Gustaw i Konrad, Kordyan, Anhelli, Książę Niezłomny, hr. Henryk, Irydion i tylu innych. Władza ich była zawsze wielką, ile że czyn artystyczny, jako wolny i całkowity, odpowiadał najlepiej temperamentowi narodu. Czy zarazem władza ta była zawsze prawowitą, o tem należałoby się obecnie przekonać na nowo.

*

*

*

Improwizacya należy do innego rodzaju tworzenia. Jest ona rozmową z Bogiem, stanowi okrucielstwo wielkiego dyalogu ciągnącego się przez wieki, w którym człowiek traci dystans w stosunku do tego, co tworzy, wypowiada całą swoją duszę.

Tak powstawały psalmy, hymny wed, tak tworzone najstarsze w świecie pieśni akkadyjskie, podobnie wyrwał z siebie potężny Eschylos wielkie sceny „Prometeusza,“ na tej wysokości zapalały się wizje Apokalipsy, podnosił głos Hiob utrapiony, tym ogniem owionięty Powerello z Assyżu grał na drewniakach i śpiewał canzony do siostry śmierci.

Podobnie powstała Improwizacya. Stworzył ją patos, kosmiczna siła duszy, która ją stawia na granicy między bezmiarem a chwilą, u progu rzeczy bezimiennych; stworzył ją patos, a skrzydła do lotu dały radość i męka ponad siły. Stąd ten obłądny, piorunowy blask myśli, nierówny, nagły, poszarpany, w lwich podrzutach, w rozpędzie głazów miotanych przez wybuch—i ten zarazem mocny, pozasłowny, organowy rytm improwizacji, bijący jak morze o brzegi.

Lot jej idzie przez całe imperyum duszy, przebłyska przez wszystkie stulecia, zbiera w sobie treść życia „człowieka wiecznego“ na ziemi. Choć stworzył ją moment szlachetnego bólu narodowego, jest ona jednak przede wszystkim obrachunkiem pomiędzy światem a zaświatem, między stworzeniem a twórcą, kiedy na ostatnim tego stworzenia stopniu staje człowiek i wzywa milczącą Otchłań do odpowiedzi.

Przez wszystkie uprzednie warstwy wieków przebija się też ognista strzała poematu, nim padnie u podnóża Bóstwa; warstwy te leżą jedne na drugich tak, jak były złożone w organizacyi samego poety, i sięgają od czasów pierwotnych do dziś. Dolatuje z niej głos Hioba, bunt serca Sakya-Muni, bunt myśli Prometeusza, rozdarcie piersi Jeremiasza, dunny śpiew duchowej Salamiiny, mistyczne władze świętych 13-go wieku, renesansowe poczucie potęgi człowieka, nagle zwątpienie o etycznym ładzie świata, zwątpienie posunięte aż do wzgardy i przesytu, harda niepodległość moralna wbrew wszystkiemu; a obok tego całe chóry dziejów własnej ziemi, jej tęsknota do absolutnej wolności, jej indywidualizm nieugięty, jej szlachetne cierpienie patriotyczne, a wkońcu już tylko własny przebłysk jasnowidzeń poety, własny głos jego samotny, dominujący.

W tym obszarze duchowym Improwizacyi leży też jej waga w życiu poety. Pierwszy to moment harmonizowania rozległych, różnorodnych, sprzecznych nawet z sobą elementów. W naturze Mickiewicza zlewały się oba prądy rozdzielające społeczeństwo od pół wieku i dążyły do stworzenia nowego typu w narodzie; istniała w nim tradycya i wiara staropolska w rodzaju Skargi i Sołtyka, obok intelektualizmu pokolenia, które reprezentował Trembecki, Śniadeccy; a ponad niemi, powyżej, krążyła „myśl jego wewnętrzna, samotna, wielka, melancholijna,“ dojrzana przez Mochnackiego i nazwana „gwiazdą na firmamencie jego poezyi.“

Usiłowanie to nie małych wymagało sił i zasobów duchowych, jeśli się zważy na całokształt i powagę myśli europejskiej, pchniętej od czasów odrodzenia i reformacyi na drogę badania eksperymentalnego i opartej na planie czysto intelektualnym. Potęgę tej pracy, tak oczywistej i tak dobroczynnej, miał zawsze Mickiewicz na oku, i zrozumieniu prawa postępu nie sprzeniewierzył się nigdy; zawsze patrzył przed siebie, reakcyi czy kościelnej, czy romantycznej, czy politycznej dał w prelekeyach odprawę należyta. Ale zarazem pod ciężarem tej cywilizacyi odczuwał on ucisk na duszy nie do zniesienia, cierpiał w niej i łamał się

już to z nią, już to z samym sobą. Uciskiem tym był strach przed *koniecznością*.

Przymusu przyczynowego, który ma jakoby obejmować tak samo człowieka, jak przyrodę, takiego ujęcia świata nie znosiła jego twórcza i wolna indywidualność. Czuł w sobie inną logikę uczucia działającą, a świat i jego prawa zamknięte w sile własnej woli. Gdy jednak filozofia niemiecka w osobie znanych Mickiewiczowi Szuberta i Schellinga zatrzymywała się na tym stopniu refleksyjnego ujęcia, autor *Dziadów* szedł dalej i dla tych zasad szukał w życiu oparcia. Odróżniał intelekt od ducha, uczonego od mędrca, który być winien w jego oczach poetą i świętym, opierał się o hierarchię wartości, w której powyżej siły myślowej leżą uczucia moralne, zakładał protest przeciw wszystkiemu, co tę hierarchię obala i cierpiał głęboko, patrząc, jak splątane węzły dziejowych omyłek i zbrodni wytworzyły chaos potworny, okradający człowieka z najlepszych jego przeznaczeń.

Romantyka niemiecka, wychodząc z tych samych założeń, zdobyła się wprawdzie na Nowalisa i Heinego, nie wydała jednak indywidualności przełomowej. Ostatni jej rycerz, Ryszard Wagner, ogarnięty pogardą do świata nowoczesnego i uczuciem absolutnej samotności, uznał, że najwyższem objawieniem się człowieka w życiu może być tylko sztuka i to sztuka istniejąca w umysłach nielicznych jednostek, przeto rewolucyjna. W sztuce jedynie człowiek czuć się może wolnym. Das Ideale—*und* das Leben oczywiście.

Protest Mickiewicza, zwrócony przeciw współczesnej cywilizacji, musiał z natury rzeczy pójść dalej i podobnie, jak Byron uderzyć o etyczne podstawy samego bytu. Czy złemu człowiek tylko jest winien? Czy nie tkwi ono w samej istocie wszelkiego życia? Czy życie to nie wymknęło się z rąk bóstwa i nie poszło torem fatalnym? Czy bóstwo to jest za słabe, aby pomódz szlachetnym wysiłkom człowieka i samo szuka pomocy, aby się z olbrzymiej sieci bytu wyplątać—czy może istotą jego jest właśnie rozum bezlitośny?

Myśli te jak błyskawice zapalały się i gasły we wszystkich dziełach poety, gromadziły i potęgowały coraz groźniej, a źródłem ognistem ich buntu było pytanie tak dawne, jak myśl człowieka—dlaczego istnieje niezawinione cierpienie? I jak usunąć je?

*

*

*

Z całego szeregu utworów, powstałych na gruncie tego samego uczucia, dwa szczególnie należy nam rozpatrzyć na tem miejscu, jako zagadnienia kulturalne, i ustalić stosunek Improwizacyi do nich.

Są to utwory, oparte o kultury zamknięte w sobie, pierwotne i odrębne: Księga Hioba i Eschylosa dramat „Prometeusz.“ Dochodzą one nędzy człowieka, ważą w rękę wartość życia samego i szukają dróg oswobodzenia.

W utworze pierwszym, wschodnim, nieznanego autora semickiego pochodzenia, cały dramat rozgrywa się w naszych oczach, w sferze przyczyn i skutków zarówno ziemskich, jak nadziemskich. Widzimy, jak nagle człowiek bez skazy, patriarchy, rolnik, wódz, dobry ojciec i senator w narodzie, strącony zostaje na dno nędzy. Traci dzieci, rodzinę, dom własny i zdrowie. Odstępują go wszyscy. „Przeklnij Boga i umrzyj!“—mówi mu żona zrozpaczona. Ciemność go ogarnia, a w sumieniu jego czystym powstaje palące pytanie: za co? dlaczego? Myśl ta jest mu „cięższą nad piasek morski,“ pod jej ciężarem dusza jego gniew się i jęczy. Przyjaciele dorzucają w serce tego człowieka rozżarzonego łuczywa: musiałeś być winny, tylko się taił przed światem.

I Hiob przeklina własny swój los, błogosławi grobowi, rozpacza. Ale gdy się myślą wzniesie do Boga, pada głową w proch i poddaje się jego woli. Próbuje wprawdzie dochodzić rozumem natury swego nieszczęścia, czyni kilka kroków w ciemności—i cofa się. „Przecz dana jest *światłość* mężowi, którego droga skrytą jest, a którego Bóg ciężkościami ogarnął?“ (III, 23). Pocóż jesteśmy obdarzeni rozumem, jeżeli losu własnego ani przewidzieć, ani zrozumieć nie możemy?

Cofa się przeto Hiob, człowiek wschodu, i wolę swą wraz ze światłem myśli składa u stóp Pana. „Przyznaję, że nie rozumiał; dziwniejsze są te sprawy, niżbym je mógł pojąć i ogarnąć“ (XLII, 3). Cierpienie ma swój cel, dość na tem. Jaki—to już Bogu wiadomo.

Umysł do objęcia życia i spraw jego nie wystarcza. Wyższą ponad umysł jest wiara. Przez wiarę, w głosie wichru ciągnącego stepem, przychodzi na Hioba jasnowidzenie.

Poeta potęguje ten pogląd w sposób podobny, jak w Improwizacyi. O serce Hioba toczy się walka za chmurami pomiędzy Bogiem a szatanem, bo na tem sercu oparł Jehowa całą ufność swoją w wartość dzieła stworzenia. Ufność ta bezwzględna nie jest, wszakże już dwukrotnie uległa załamaniu. Wie o tem ten, który straciwszy wiarę w siebie, dąży do nicości i świat ku niej wie-

dzie. Przeto lotem ciemnej błyskawicy przebłyska nad domem Hioba, mięsza się między chóry „synów bożych“ i staje przed Panem; a gdy go Bóg zapytuje o Hioba, rzucając imię tego człowieka, jak ciężki wyrzut w duszę szatana, ten odpowiada na to z ironią przenikliwego egoizmu: „Aż się Hiob darmo Boga boi?...“

I wówczas rozpoczyna się próba—pokuszenia.

Konrad Hiobem nie jest, ma jednak w sobie jego elementy. Filozoficznych nie dotykamy na razie. Artystycznie tu i tam akcja rozpada się na dwa horyzonty widzenia: jeden objęty wzrokiem Hioba i Konrada — i drugi sferyczny, w obu poematach zaunknięty w prologu. W Improwizacji ponadto sfera druga wkracza w akcję pierwszego planu, a to w postaci chórów krążących dokoła duszy Konrada.

*

*

*

Inaczej życie i człowieka pojmuje geniusz grecki, inną też daje odpowiedź na pytanie o naturze niezawinionego cierpienia.

Mit o Prometeuszu symbolizował w Grecyi cześć dla ognia wyniesioną ze wspólnej siedziby Aryów. Cześć ta trwała w Atenach do późna, jakkolwiek połączona była z pewną lękliwością. Prometej bowiem, uwolniony przez Heraklesa, miał nosić przymusowo na palcu pierścień żelazny, wykuty z ogniwa dawnego łańcucha niewoli, z wprawionym okruchem granitu. W ten sposób Zeus przypominał mu swe pioruny.

W dniu święta Lampadoforyi grono młodzieńców konnych wyruszało galopem z Ceramiki do Kolonos, gdzie był wzniesiony ołtarz dla Prometeusza. Jeden z jeźdźców trzymał w ręku płonącą pochodnię i naglił konia do biegu, by ją żywą dowieść do ołtarza. Miało to imitować ucieczkę Prometeja z ogniem wykradzonym.

Kult ognia był też, jak wiadomo, najstarszym obrzędem religijnym świata. Według podań starożytnej Righ-Wedy sam bóg Agni zstąpiwszy na ziemię, jako błyskawica, skrył się przed oczyma ludzi; jeden z półbogów dopiero wydał go napowrót człowiekowi, nauczył go wydobywać ogień z iskiei, wywoływanych przez szybki obrót kija w drewnianym krążku. Kij ten nazywano Pramathys, od słowa pramantka, wydierać, zabierać (w sanskrycie

medyjskim).¹⁾ I tu również bóg Indra, Zeus indyjski, karze ludzi piorunem za dumę i zuchwalstwo, jakiem napełniło ich posiadanie ognia. Podobnyż antagonizm pomiędzy bóstwem a człowiekiem budzi w Grecyi dar Prometeusza.

Bogowie Olimpu obawiali się początkowo pokolenia ludzi. Z lękiem uzurpatorów, niepewnych władzy, zdobytej przez podstęp i zbrodnię, patrzyli nieufnie na tych nowych mieszkańców świata. Niedawne czasy szturmów Gigantów na Olimp stały im żywo w pamięci. Być także może, iż Zeus, który wyszedł z chaosu, lecz sam był bogiem harmonii i miary, chciał mieć spokojnym i nieświadomym cały okrąg natury, którą uciszył i do równowagi doprowadził. Niech więc i człowiek będzie nieświadomy. (Pessimizm bogów).

Jakkolwiekbaż i Zeus nie odrazu dosięga swej doskonałości i ojcostwa. Ten sam władca uczczony przez Eschyła w Orestei, występuje w „Prometeuszu“ jako tyran. Walka uczyniła go okrutnym; panowanie jego co dopiero ustalone; dawne, nieujęte, ślepe potęgi kosmiczne, praojce i macierze bytu, jak Chaos, Uranos, Gea, Noc, Moiry, Okeanos, Kabiry, Kurety, Telchiny, Hekatoncheiry, zapadły się w głębie bezimienne; na ich miejscu zabył sął areopag bogów nowych. Z obawy przed nowym buntem i przewrotem gasi Zeus jednym podmuchem wszystkie ogniska na ziemi, a kiedy litosny Tytan wraca ludziom wykradzioną iskrę, olimpijczyk krzyżuje go na skałach Kaukazu i puszcza nań żarłocznego sępa.

Po temat prometejski sięgnął Eschylos, starszy brat Mickiewicza. Stosunek jego do Sofoklesa i późniejszej tragedyi greckiej jest taki, jak stosunek Mickiewicza do Słowackiego. Było coś tytanicznego w naturze tego człowieka, żołnierza z pod Maratonu i Salaminy, wodza, kapłana i śpiewaka w jednej osobie. Gwałtowny rytm jego krwi zamieniał w patos każdy wybuch jego uczucia, między olbrzymów przenosił jego imaginacyę, a co najważniejsza, sercu jego kazał wiecznie łamać się z zagadkami losu, dziedzicznych zbrodni i przekleństw, dochodzić starć między bogami i ludźmi, ścierać się praw dawnych z nowymi.

„Prometeusz w okowach“ to jeden z tych wysiłków torowania sobie drogi do prawdy niezmiennej a nieukrzywdzającej. W każdym słowie tego śmiałego dramatu pali się i przebłyska płomień sprawiedliwości, oświeca ponuro całą scenę ukrzyżowania. Poeta siada u stóp Prometeja, z uwielbieniem słucha jego

¹⁾ Pawel de Saint-Victor: Bogowie i ludzie. Łódź, 1886. I, 122.

słów i cały obraz kaźni Tytana przedstawia w sposób potępiający wyrok i trybunał. Szalona to odwaga młodego serca, odwaga prawości, którą Eschyl kierował się zawsze.

Należał on do wtajemniczonych, przejął wskazówki kapłanów egipskich, nauczył się myśli swoje okrywać w symbole, pod których szatą słowną kryło się znaczenie teozoficzne; również w Atenach brał udział w obrzędach eleuryskich, nosił w rękę mistyczny cystus.

Myt o Prometeuszu traktuje Eschyl tak, że poza pierwszym planem obrazowym otwiera się przed nami nagle i na chwilę rozległa głębia bytu; myśl tragika spada w nią jak ołowianka, dosięga samego dna greckiego ducha.

Ogień, który znosi Prometeusz, jest dlań ogniem ludzkiej piersi, owym soma indyjskich kapłanów, jest wielką, twórczą potęgą samowiedzy. Jako taki skupia on w sobie ducha rasy helleńskiej, stanowi uosobienie duchowej mocy człowieka. Przez prometejską iskrę swej istoty człowiek opanowuje naturę, pozbywa się lęku, coraz bardziej staje wolnym, zbliża do samoistności.

Kiedy nagie Oceanidy otaczają dokoła skutego Tytana i śpiewem starają się ból jego złagodzić, Prometej przerywa posępne owe milczenie, wraca myślą do swoich chwalebnych przewin.

„Nie sądzcie, abym z dumy może czy z uporu
Zaciskał czoła. Ach! to serce me samotne
Kąsa myśl, w jak bezradnem jęczę poniżeniu.“¹⁾

On bogom panującym do zwycięstwa dopomógł, to wszystkim wiadomo. Ale o tem może nie jest im wiadomo, jak ciężko on, Prometej, ukrzywdził ludzi: dał nierozumnym rozsądek, ciemnym światło.

„Bo wprzód mając oczy nie widzieli;—słyszac
Tak, jakby nie słyszeli; podobniejsi raczej
Do sennych mar, idących poprzez długie wieki,
Ślepo mieszczeni wszystkie rzeczy. Nieświadomi
Ani sztuki ciesielstwa, ni gładów budowy,
Wkopani w ziemię, jako mrówek rojowiska
Mieszkali w norach
. bez myśli czynili wszystko
Na ślepy traf.“¹⁾

On ich nauczył śledzić bieg gwiazd, wynalazł naukę liczb, on darzył sztuką pisania, rozwinął w nich matkę wszelkiej wie-

1) Z. Węclewski: Tragedy greccy. T. I. Poznań, 1883. Str. 219.

dzy—pamięć. Ujarzmił siłę dzikich zwierząt, spoił belki pierwszego okrętu. Wspomniawszy na to, tem boleśniej spogląda na stan swój obecny. On, twórca sztuk i nauk tyłu, jakże teraz czuje się bezradnym. .

— Chwiejesz się niepewny, jak lichy lekarz, tknięty ciężką niemocą — czyni uwagę przodownica chóru Oceanid.

To oprzytomnia Tytana. Nie lubi, by się nad nim litowano. Raczej niech podziwiają jego wynalazki i sztuki.

— Gdy kto na zdrowiu zapadł — on nauczył przyrządzać zbawienne leki.

— Wieszczenie od niego pochodzi, czy to ze snów, czy z lotu ptaków o krzywych szponach—i ogień ofiarny on rozpałił.

— Z łona ziemi wydobył żelazo, złoto, srebro, miedź. Od niego to mają wszelki kunszt śmiertelni. Oto jego wina.

„Litowałem się nad ludźmi — przeto nie ulitowano się nademną.“

A w toku tych scen i tych wynurzeń, mały rzut myśli, przełatujący nagle jak błysk niepowrotny. W nim leży punkt środkowy mytu.

Przodownica chóru Oceanid zapytuje go:

— Czy nie posunąłeś się dalej poza to?

Tytan rzuca odpowiedź krótką, niejasną, zamkniętą w sobie, choć zazwyczaj chętnie rozwija swe opowiadania.

PROMETEUSZ:

Za moją sprawą ludziom życia los zakryty.

PRZODOWNICA CHÓRÓW:

Jakiż na tę niedolę wynalazłeś środek?

PROMETEUSZ:

Nadzieje ślepe w piersiach ludzi zaszczipilem.¹⁾

Nadzieje ślepe.

Takim jest cenny dar prometeizmu.

Wspaniała uluda myśli—według Eschylosa. Entuzyazm, naukowy czy socyalny, w obu razach zaprawiony szlachetnym kłamstwem szczęśliwości. Nauka da w ręce człowieka potęgę równą bogom, nowe reformy ludzkich stosunków otworzą przed nim szczęście maksymalne. W tejsze za szczęściem ludzkim pogoni jawią się bohaterzy myśli i czynu, niesieni wichrem oślepiającego entuzyazmu. Po nich i przez nich przychodzi dopiero entuzyazm mas. Bez prometejskiej ślepoty ogarnęłaby człowieka posępnosc i bezdążenie. Tą ślepotą jest jednak nadzieja. „Bolesna, ale świę-

) J. w.: str. 212.

ta mistyfikacya“ — pisze na podobny temat (w liście do Reeva) Krasiński.

Zda się, że te słowa mają skrzydła huczące w locie, jak ocean; przelatują ponad amfiteatrem całego Akropolu, ponad Grecyą, poprzez całe wieki.

— „Za moją sprawą ludziom życia los zakryty.“

Oblicze losu tego musi mieć w oczach Eschyła coś złowrogiego, kiedy pomiędzy losem a wrokiem człowieka potrzeba było rzucić cudowną zasłonę. Wie o tem Prometej i ludzie z jego piętnem na czole. Los to posepny, jak sama konieczność.

Bo ponad ludźmi i bogami włada nieubłagana Ananke, panuje Fatum uosobione w trójcy wszechpotężnych Mojr. W ich pierśsi niema serca. Działają one jedynie przez nieodpartą przyczynowość siły.

Duch zbudzony, duch wolny w poczuciu własnem i świadomem, kiedy okrąży cały horyzont bytu, zapadnie na dno rzeczy, przeniknie związek ich sił i niezmiennie następstwo fenomenów, duch ten właśnie na drodze myślenia, które prowadzić winno do wolności, staje nagle wobec faktu konieczności wszystkiego, co jest, konieczności wszystkiego, co będzie.

„Jasno wszystko przewiduję,
Co nastąpi w przyszłości; żadna klęska na mnie
Nie spadnie niespodzianie—a los przeznaczony
Winienem znieść, jak można zgodnie—ja, com świadom
Niepokonanej niczem konieczności siły.“¹⁾

Po za moc przewidywania prometeizm nie wychodzi, zmienić porządku ustanowionego przez fatum, złamać go—nie czuje w sobie sił. Ponad fatum nie istnieje dla niego nic.

W samej przeto istocie jego siły już leży bezsilność. Zaczyna się ona tam, gdzie się zaczyna pełna świadomość wiecznej niewoli, gdzie wzrok obejmuje „życia los.“

Jedynie radosną jest półświadomość. Działa, entuzjazmuje, uwalnia, przyrzeka więcej niż zdolna dotrzymać. Taką jest np. Sofoklesowa rozkosz bytowania.

Pod tą jednakowoż grecką radością bytu, o której tyle słyszeliśmy, tai się daleki, przemocny lęk, zawsze czujny u Eschylosa, zawsze obsiadający gzymsy amfiteatru w postaci bezlitośnych Eryni.

Cały jego obraz życia zamknięty w cyklu tragedyj, to jeden vallis laccimarum, przez który przeciągają żałobne wichry jego

1) J. w.: str. 207.

chórów. Gorączka jego tworzenia takie robi wrażenie, jak gdyby człowiek ten szukał oswobodzenia swej piersi, osłabienia i zniewolenia losu—przez piękno.

Tak postępuje młodość. Patrzy ona w same oczy bytu, dotyka czuciem samej istoty życia.

Każdy tedy prometeizm ma swoje skały Kaukazu. Drogi wolności, na które geniusz ludzki miał odwagę wstąpić i złamać na nich swą pierwotną wegetatywną równowagę, drogi te doprowadzają go w rezultacie do stanu najboleśniejszego: do beztwórczości.

„... Nie sądziłem, że w takiej niedoli
Przyjdzie mi marnieć beczynnie na skałe
Do pustki i odległej góry przykutemu.¹⁾

.... „takie dla śmiertelnych wymyśliłem sztuki,
A sam teraz, gdy o mnie chodzi, nie postrzegam
Sposobu, by się z nędzy wydobyć....²⁾

Czy to los jego ostateczny, skończony?

Nie. To tylko przełom. Bolesny, dłużący się, uciążliwy— a po nim nowa losu odmiana. Nie wolność, nie niewola, nie wyzwolenie własną mocą dokonane. Przyjdzie Herakles oswobodzić. Przyjdzie siła, co rozerwie okowy. Ale Prometej zejdzie z gór z głową pochyloną w rezygnacyi. Na jego rękę pozostaną ślady niewoli, palec ujęty w żelazny pierścień z granitem przypominać mu będzie jego wieczyste poddaństwo.

„... Bólem i bezlikiem cierpień
Złamany, z tych nareszcie więzów będę zwolon.³⁾

Siła i inteligencya — a ponad niemi fatum i odwet, „Mojr trójca i Erynie niezabyte,“ podtrzymywały w greckiej myśli zręby budowy świata. Po jej gzymsach zawrotnych błędził człowiek, oparty w sobie na tych samych podstawach, poddany prawom tym samym. Tęsknocie do innych uzasadnień niedowierzał, i czynił ją twórczynią świata złudzeń, doskonałego imperyum Apolla. Do stylu przyrody Grek dodawał styl własny.

Jakoż w istocie Apollo coraz bardziej przesłania Prometeusza, mimo że tytan w stosunku swoim do człowieka przerastał Olimp cały, był jedynym ogólnoludzkim bohaterem. Ale ręce je-

1) J. w.: str. 213.

2) J. w.: str. 220.

3) J. w.: str. 221.

go ze śladem oków niewiele już miały do dania; on sam stracił wiarę w siebie, jakże miał ją budzić u innych. Szczodrzej obdarowywał Apollo. Prometej błąkał się pomiędzy ludźmi, podszeptując niekiedy swe myśli duchom bratnim. On to może był owym dajmonios Sokratesa, bratem stoików, doradcą Temistoklesa, jego to smutna duma przemówiła w dewizie, jaką Arystoteles położył na swych dziełach: „one są ogłoszone i nie są ogłoszone.“

Spadek jego pracy ducha nie stwarzał wolności, ale dawał niezależność. Niezależność, to wolność bierna, to niezłomność ducha wobec siły losu. Prometeizm opierał człowieka o siebie samego, o własną indywidualność. *On ją stwarzał.* Była to wolność smutna i wiedza takąż sama; jednakowoż szlachetna nieskończenie.

Tak rozstrzyga człowiek zachodni, aryjczyk, zagadnienie losu.

III.

W Improwizacji podejmuje poeta polski to samo pytanie z chwilą, gdy nadludzkie cierpienie uczyniło duszę jego do tych zagadnień dojrzałą. Są to zagadnienia podstawowe, elementarne; takie lub inne ich postawienie tworzy styl człowieka zasadniczy. Cierpienie niezawinione jest bowiem tylko formą rudymentarną pytania o wartości życia i ofiary, a od rozstrzygnięcia tych dwóch pytań zależy główny kształt i kierunek kultury.

Podobny moment zapytań przychodzi na Mickiewicza w zwykłym, ludzkim rzeczy porządku. Po raz pierwszy sfinks ten zajął mu w oczy w Wilnie, w czasach, w których akcja Dziadów rozgrywa się; nie bez powodu do tych nocy bazylikańskich doczepiono Improwizację. Burza rozpałała się, odeszła—ale pęknięcie w duszy pozostało. Z głębi jego wynurzył się wkrótce potem ciemny bohater Wallenrod.

Ze jednak przejścia powyższe nie wywołały zupełnego rozdarcia, tłumaczy się to mocą intuitywnych przeświadczeń, w krwi płynących instynktów poety. Elementy jego natury broniły go. Był człowiekiem wiary. Sama istota jego czucia miała w sobie skrzydła bezmiaru i z nieomylnym instynktem podszeptowała mu widzenia natchnione.

Uczucie to nie jest u niego wyrozumowane ani wypotrzebowane.

Jest raczej chłopskie. W kilkadziesiąt lat później będzie on zapewniał Towiańczyków, że do takiej wiary, jaką ma chłop

polski, daleko im, bo też „taką wiarę może mieć tylko syn, co na piersiach Ojca spoczywa.“

Dla autora Ody duch świata mieszka w ludziach, nikt mu się nie odejmie. Wierzy on w prawo ofiary bez zdawania sobie sprawy, inaczej mówiąc kocha je. Nie dochodzi dlaczego, nie prawuje się. Takim jest naturalne ciężenie jego myśli, do tego zmierza jego instynkt pierworodny.

Stąd jego poezya bohaterstwa.

Słowacki w tym samym wieku opiewa awanturników, siłaczy uczuć indywidualnych. U Mickiewicza związek jego duszy z Ogółem—co stanowi *religii* jego istotę—nigdy nie bywa zupełnie przecięty. W jednym Farysie wybuchła w nim żywioł siły radośnej a bezcelowej, zjawia się boskie wystarczanie sobie bez wieczystego misereor turbae. Jest to moment, próba siły, jakby pieśń przed bitwą.

Inaczej jednak przedstawi się ten stan młodzieńczej równowagi, gdy nadejdzie ciężka próba życia, gdy się zjawi twarde w duszy pytanie, jak przeprowadzić prawo ofiary po przez horyzont pełnoletności ducha, o co oprzeć etykę ofiary, jak rozwiązać antagonizm między indywidualizmem a uniwersalizmem w człowieku, czem uzasadnić zawierzenie szlachetniejszym w życiu instyngtom.

Przypatrzymy się temu procesowi.

Pierwszy ślad doznanego wstrząśnienia odciska się w wierszu p. t. „Żeglarz,“ pisanym ze śmiertelną, samotną powagą, jaką się w utworach poety spotyka tu po raz pierwszy. Przez formę chropawą, na pół szkolną, przebija się ciężki trud człowieka, który przeżył rozpaczliwy zawód po raz pierwszy i teraz, po rozbięciu, czyni swój nowy bilans życiowy, hamletowskie być albo niebyć.

O morze zjawisk! Skąd ta noc i słońca!
 Była jutrznia i cisza, gdym był bliżki brzegu,
 Dziś jakie fale, jaki wicher miota,
 Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu,
 A więc—porzucić korab żywota...?

.....

Bo komu Piękność raz w życiu odsłoniła swe oblicze — i odeszła,

Ach, jakaż później czezość w obszarach świata
 Już niedość krzepią i enoty słodycze.

.....

Zawód tak trudny! Zakończyć tak snadnie!
 Nie będziem dłużej émieni, więcj kołatani,
 Lecz wszystko z nami w tych falach przepadnie—?

.....
 Co żyje, niknie, tak na mnie świat woła,
 Za cóż głos teń wewnętrznej wiary nie wyziębi,
 Że gwiazda ducha zagasnąc nie zdoła
 I raz rzucona krąży po niezmiernej głębi,
 Póki czas wieczne toczyć będzie koła?

Odtąd ta sprawa zasadnicza zagarnia i pochłania stopniowo jego duszę. Cały trud jego życia dąży do stworzenia afirmatywu. Ma on w sobie żywiołową niechęć do niebytu i wszystkiego tego, co wiedzie doń. Żywi obawę o człowieka, właściwą naturom odkupującym; ma zarazem obawę o naród.

Dwa te stany stają się w nim tak dominujące, że całe chóry duszy żywej, którą żyje człowiek jemu współczesny, nie przychodzą w nim wcale do głosu. Byron tworzy Don Juana, Shelley wprowadza żywioły kosmiczne, Puszkina pisze Onegina, Krasiński Nieboską, Słowacki rzuca całe gamy uczuć i postaci; Mickiewicz zapatrzony w swój cel, zawsze szukać będzie typowego wyrazu dla uczuć typowych, zawsze ramionami tyrana podtrzymywać budowę żywota.

Wkrótce potem spada nań proces polityczny za należenie do stowarzyszenia filaretów, a z nim nowy życia horyzont, „nowy widok świata i ludzi.“ Przechodzi przez niezawinione cierpienia, jest wygnany z ziemi rodzinnej na zawsze, otoczony na każdym kroku ciemnym podejrzeniem, ma zwichnięty zwykły bieg życia, patrzy na ruinę najlepszych sił polskiej młodzieży, najczystszych jej usiłowań. Ulega prześladowaniu dlatego tylko, że jest Polakiem. W liście do generała żandarmeryi A. Benkendorfa, ogłoszonym po raz pierwszy w miesięczniku rosyjskim *Bytoje* z kwietnia b. r., stwierdza Mickiewicz dobitnie, że sama komisya śledcza znalazła w ich stowarzyszeniu studenckiem „jedną tylko winę—miłość narodu, nie mówiąc zgoła, jak i dlaczego jest ona zakazaną.“

Nie cierpi tu młody poeta za naród ani z narodem; cierpi tylko dlatego, że należy do danego narodu. Jest to najzjadliwsza forma bólu. Tu, w nocach więziennych, pod wpływem doznanych obrzydzeń, które pozostają odtąd we wzgardliwych cieniach jego ust, budzi się w nim po raz pierwszy gniew serca, świta myśl szlachetnego buntu przeciw takiemu porządkowi rzeczy. Improwizacya nie tylko w technice *Dziadów* wywodzi stąd swój rodo-

wód. Nie miała tu ona jeszcze tej siły indywidualnej i tych do rządu dusz uroszczeń, one zjawily się później, w miarę rosnącej świadomości o własnej potędze; ale już w niej był ów „gniew nadprzyrodzony,“ o którym mówi gdzieś Norwid, że:

Gołębia kształt ma, żądło ma mistyczne,
Gdy serce dłużej cierpiąc, już byłoby
Nie sercem, ale podłości organem.

To, co przeżył tu, poszło z nim w dalszą wędrówkę. Nie był on z rasy ludzi rezygnujących, gdzie chodziło o jego święte ukochania. Walczył z losem, nie był skłonny do passywnego bohaterstwa Anhellich.

„Zemsta!...
Z Bogiem... a choćby mimo Boga!“

Tak powstaje Konrad Wallenrod, o którym tyle rozpraw napisano, dochodząc prawdziwej myśli Mickiewicza, a który jest tylko jego najgłębszym smutkiem i niewolą, jego sybirskim etapem w drodze do królewskiej, niepokalanej ofiary. Zawsze czujna myśl jego pali się jednak zangloną gwiazdą i nad tym ciemnym rycerzem, tworząc kontrast światłocienia o niezmierzonej melancholii.

Jest to jego pierwsza próba rozwiązania zagadnień narodu—bez narodu. Mickiewicz stawiał je tu jako zagadnienie osobiste i tak też je rozwiązywał. Znał siebie i wierzył w siebie; narodu nie znał i wiarą objąć nie umiał. Wiara ta była już w narodzie żywą, tworzącą i działającą, ale nieujęta dotąd w jedną myśl przewodnią, a przeto pozbawioną kierownictwa. Wymagała pracy, zjednoczenia. Mickiewicz czuł to — wiednie czy bezwiednie, odpowiedzieć trudno—i myśl tę organizującą zastąpić chciał w Wallenrodzie przez indywidualność naczelną.

W Improwizacyi czyni on krok naprzód, ale w tym samym kierunku, domaga się rządu dusz, moralnego autorytetu, któryby również zamiast idei narodowej stworzył naczelną dyktaturę uczucia. W ten sposób, dążąc ciągle do uproszczenia sfinkсового zadania, którego rozwiązanie ciąży jego duszy, przekonywuje się z czasem, że trud ten wzrasta, obejść się nie da, dokonany być musi.

*

*

*

Każdy prawie utwór Mickiewicza jest drogą do czynu, do zasadniczego czynu życia, którego ten człowiek poszukuje; każdy z nich stanowi czyn jego wewnętrzny, który za pomocą słowa sam się w sobie zbiera, sposobi i przychodzi do poznania siebie. Są to czyny jego artystyczne. Przez nie rozwija Mickiewicz coraz czystziej i doskonalej pojęcie czynu wolnego. Następują też one po sobie z konsekwencyą stałą, a wszystkie zmierzają do wyjścia po za słowo, po za granice czynu widzianego, lecz niespełnionego, wszystkie stanowią jedno introibo do głównego czynu odkupienia.

Jako natura etyczna dąży autor *Dziadów* do działania żywym słowem i czynem wpośród ludzi żywych, czuje zawsze pewną nieufność do swoich utworów, do książek wogóle. Zarazem jednak smutek ludzi etycznych towarzyszy mu długo, schodzi na dno jego duszy. Jestto nieubłagany smutek ludzi postawionych między Apollinem a czarą świętego Graala.

Mickiewicz, w miarę jak odchodził od Apolla, czuł, że czyn moralny, że działanie żywiące nie zdoła ugasić w nim ognia twórczego, ani go wyczerpać na swoim planie utylitarnym. Sztuka dawała mu przynajmniej fikcyę wolności, w niej i przez nią mógł być szczerzy, mógł realizować najwyższe swoje uczucia. Autor *Ody* dążył jednak do opanowania rzeczywistości, do czynu. Czyn ten atoli, jeśli zostać miał w zgodzie ze światem, z którego biegiem i budową tak trudno było pogodzić się poecie, czyn taki spokojnie pożyteczny krępował tysiącem względów tego, co go tworzył, nie oddawał najlepszych jego intencji, nie obejmował całkowitej prawdy jego duszy; bo gdyby objął ją, gdyby z całą jej siłą przemówił, stałby się czynem rewolucyjnym zarazem. Zawsze w przeciętnej etyce dobrego uczynku jest część rezygnacyi z naszego istotnego sumienia, a tem samem część niewoli. Stąd smutek ludzi etycznych jest bezradością rezygnacyi.

Z tych to powodów sztuka jest tak radosną ulgą człowiekowi. Przez nią duch zażywa we śnie wolności, jakiej w życiu zdobyć nie miał sił.

Grecya uznała ten to czyn artystyczny za jedynie wolny, za metafizyczny. Mickiewicz należy do ludzi, którzy wierzą jednak w najwyższą potęgę woli, we wszechmoc czynu wolnego, z którego wysnuwa się postępowanie, wywołanie królestwa bożego.

Należy tu nam zwrócić bacniejszą uwagę na naturę tego czynu wolnego, nazwanego przez nas metafizycznym, to znaczy wychodzącego po za normy zwykłego działania.

W każdym czynie naszym odnaleźć możemy przeważny procent elementów przymusowych, tudzież pewną domieszkę woli twórczej. Przymusowość ta wynika z praw natury, którym jesteśmy poddani, z instynktów, nałogów i obciążeń dziedzicznych, z obyczajów i norm kulturalnych w czuciu i myśleniu wprowadzonych. Jak z tego widzimy, to, co nazywamy bezwolnością naszego działania, jest tem samem mieszaniną rzeczy niewolnych z elementami, które ongi wynikły z indywidualnej woli twórczej, później jednak stały się czucia i myślenia naszego przymusowością. Do ostatnich policzymy np. pewne pojęcia kulturalne i konwenansowe.

Im większą jest przewaga tych to żywiołów i pobudek przymusowych, tem mniejszym będzie udział woli twórczej w działaniu, tem bardziej niewolnym będzie czyn.

Mickiewicz czuł to wyraźnie, że wola jest największem misteryum świata, a czyn wolny, z ducha dobyty, niezmacony przymusem, największą świata potęgą.

Dopóki też autor *Dziadów* zatrzymuje się przy czynie niezupełnym, póty jest zrezygnowanym. Twórczość jednak jego artystyczna jest dowodem, jak zawsze poszukuje on tego działania, któreby stało na wysokości jego siły twórczej.

Improwizacya jest właśnie tym jego czynem artystycznym, w którym wyraża się moment najwyższego poszukiwania czynu wolnego, metafizycznego.

Tym czynem jest dla Mickiewicza „rząd dusz“—inaczej mówiąc mesyanizm. Nie w samej wprawdzie Improwizacyi, ale przez nią, przez jej konsekwencye dochodzi on do natury czynu odkupującego, mesyanicznego. „Rząd dusz“ jest ostatnim stopniem doń.

Utarło się, upowszechniło mniemanie, że mesyanizm jest w życiu Mickiewicza rzeczą przypadkową, zapożyczoną z zewnątrz, a będącą czemś w rodzaju deski ratunkowej wynalezionej w momencie rozpaczy. Tymczasem sama mesyanizmu Mickiewiczowskiego istota wybuchła już w Improwizacyi, jako natury jego element naczelny.

Natura jego etyczna, dążąca do absolutu, do życia w bezmiarze wolności, dojść musiała w poszukiwaniu czynu metafizycznego do mesyanizmu.

Pierwszy jego akt, akt wewnętrzny, polega bowiem na oswobodzeniu siebie, na wyjściu po za przypadkowość i czasowość swej natury, na dojściu do sił absolutnie wolnych i twórczych. Wiedzie ku temu droga pożegnań, samotności, wysiłku, ciągła praca przemiany, tęsknota poszukiwania, niezatrzymana pielgrzym-

ka, gorzki napój łez, jadowite momenty znużenia, zapadanie się całego świata pod stopami; a wpośród nich godziny wielkich jaśnowidzeń.

Na tej zaś wysokości, jaką daje wyzwolenie własne, przechodzi zarazem umiłowanie w sobie zbiorowego człowieczeństwa i nieodparta świadomość zbiorowej odpowiedzialności.

Tak to poczucie wolności twórczej prowadzi do czynu ofiary, oswobodzenie własne przechodzi w dzieło oswobodzenia człowieka. Jest to czynu tego prawo rozwoju.

Akt ten drugi, czyn odkupienia, nazywamy mesyanizmem. Dążyć on musi do „rządu dusz“ według praw swej natury przewodniej.

W kursach literatur słowiańskich daje Mickiewicz określenie mesyanizmu następujące:

Różnica—mówi on—jaka zachodzi między ludźmi, zależy od różnego stopnia rozwinięcia ich ducha. Duch więcej rozwinięty ma naturalne posłannictwo prowadzić ludzi w tej mierze niższych. Jest to główny dogmat mesyanizmu. Duch, który pracuje, który się podnosi, który bezustanku szuka bóstwa, otrzymuje przez to samo światło wyższe, zwane słowem, i staje się objawicielem (T. III, l. 2).

Tak przeto rozpęd Improwizacyi nie zjawia się, jako rzecz przypadkowa, pobudzona lekturą tego lub innego poematu, ale jest przejściem koniecznem, przełomowem, stanowi organiczny moment życia poety.

Nigdy nie czułem, jak w tej chwili,
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili —
.....
Dziś jest chwila przeznaczona.

Moment ten, położony między aktem dojścia do potęgi a działaniem, bywa jednak zarazem godziną tak zwanych *pokuszeń*.

IV.

Na czem polega natura pokuszenia?

Geniusz ludzki może być albo wyzwolony albo wyzwalający. Pierwszy przechodzi świat w twórczym spokoju i pewnej, biernej jakby przymusowości. Czystość i pogoda towarzyszą mu zawsze,

okolony snem swego bytu ulata tam, dokąd go niosą nieznancone lotki jego skrzydeł.

Takim bywa kobiecey geniusz uczucia. Nie staje się on takim, nie rozwija; on nim jest. AVE MARIA, GRATIÆ PLENA. Jest to stan Łaski. Siła obniżająca niema tu przystępu. Z podobnym spokojem tworzy Giotto, Rafael, Mozart.

Inaczej geniusz wyzwalający. Ten zda się piastować w sobie pełnię ludzkiej natury z jej bezmiarem możliwości, wszystkie jej upragnienia, wszystkie jej poszepty, zapamiętania, natchnienia i skruchy, poczynawszy od zbrodni do świętości; a ponad tą duszą żywiołową unosi się duch czysty, sędzia i ochroniciel, który ją przenika i w ogniu swym przetapia jak piorun. *Igne me examinasti*—głosi jeden z napisów we florentyńskim San Marco.

Stąd istoty tego pochodzenia mają w sobie poczucie win całego świata, choćby same zostały bez winy. Bez podobnego poczucia nie dążyłyby do odkupienia. W tem leży misteryum ich natury.

Najgłówniejsza i najkrwawsza ich praca toczy się w samotnem z sobą obcowaniu, przez błyskanie wewnętrzne sił uwikłanych w ciemności, przez tęsknoty i omdlenia niewypowiedziane, przez mocowania z wielmożnym olbrzymem niewoli. Późniejsze lata działań i nauki, to tylko jedna opowieść o znalezieniu swej drogi królewskiej.

Na tej drodze wracają oni do swej treści absolutnej i zupełnej, nieprzemijającej, w której tkwią wszystkie indywidualności. Tem samem droga do ich wolności prowadzi przez pokonanie empiryi, która dzieli jaźń jedną od drugiej i służy do nieporozumień. Ludzie ci czują dobrze, że cała ich treść jest od empiryi zgoła niezależna; świadomość faktów zewnętrznych, świadomość własnego ciała i środowiska jest dla nich świadomością formalną.

Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra —

Potrzeba mi lotu,

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,

Tam dojdę, *gdzie graniczą stwórca i natura.*

Jedyna ich pewność realna, to świadomość czuciowych przeświadczeń. Prawda teoretyczno-poznawcza, zgodność naszych wyobrażeń z faktami, schodzi w tym stanie ducha na stopień prawdy formalnej. Prawdą żywą staje się tylko przeżycie, poza-świadczalne wycucie, które się w samym fakcie życia objawia. Prawda zatem jest nieskończoną i objawiającą się, jak nieskończonem i objawiającem się jest życie.

Gdyby było możliwe porozumiewanie się ludzi po za empiryą, bezpośrednio pozamyślowem wyczuciem, w takim razie, rzecz prosta, przekazywanie własnego spojrzenia w głąb bytu nie napotykałoby na trudności przekonywania. Starczyłoby jedno technienie, jeden potężny akt woli. Rząd dusz należałby do najsilniejszego, a działanie jego byłoby równie nieodparte i natychmiastowe, jak działanie sił grawitacyjnych.

Człowiek jednak jest zlepkiem różnorodnych energii, które go odgraniczają i skazują na duchową samotność. Treść jego własna zamknięta jest w okolach fenomenów intelektualnych, instynktowych i materialnych, skąd wydobywać się może na zewnątrz tylko w formie symbolów.

Symbolami temi są słowa, dźwięki, kolory, kształty, gesty; mosty łącz ponad przepaściami dusz.

Konrad w Improwizacyi skarży się głęboko na tenże ucisk indywidualnej samotności.

Gdzie człowiek, co z mej piersi całą treść wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha —

Nieszczęsny ten, kto tworzy tylko dla człowieka.

Język kłamie głosowi a głos myślom kłamie;
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochłoną i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połknietą niewidzialną rzeką.
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką,
Gdzie pędzi, czy się domyślą?

I myśl jednak stanowi błąd ledwo symbol uczucia. Doskonałe to narzędzie rozumu, zdolne jest dać w rękę człowieka potęgę, do jakiej rozum doprowadzić może, a więc opanowanie natury, organizację fizycznej przewagi, zawładnięcie światem empirycznym („Myślom oddałeś świata użycie“). Uczucie jednak myśla i słowem potęgi swojej wyzwolić niezdolą.

I tu powstaje w duszy Konrada zapytanie będące w związku z naturą pokuszenia; zapytanie co do dróg i sposobów oddziaływania na ludzi.

*

*

*

Największą z tajemnic życia jest wola. Z niej płyną wszystkie fenomeny świata, ona świat ten i całość objawów jego z siebie snowa, na sobie nosi i przywraca do swojej jedności; w niej znosi się dualizm siły i materji, jak również antagonizm wolności i konieczności, praw natury i twórczej swobody. Wytwarza się dziś wśród przyrodników przekonanie, że w gruncie rzeczy niema praw natury, są tylko jej ustalone sposoby działania, zwyczajowe prawa charakteru.

Stąd wola skupiona i świadoma siebie jest najwyższem i najsilniejszym prawem natury. W niej leżą uśpione prawa nowe i światy nowe, ona ma moc zatrzymywać czy odginać prawa istniejące.

Mickiewiczowi zjawy te obce nie były, doświadczył ich zapewne osobiście, czy w drodze samopoczucia, czy także eksperymentalnie, odpowiedzieć trudno. Jeżeli jednak w *Improwizacji* mówi on wyraźnie o „władzy nad przyrodzeniem,“ to nie mówi tego ani lekkomyślnie, ani dla fikcji poetyckiej. W logicznym związku jego przeświadczeń jest ta władza, to poczucie potęgi własnej woli, naturalnym i nieodzownym ogniwem. Bez tego poczucia władzy w momentach wyjątkowych i bez jej sposobu działania nie byłby on doszedł do postulatu rządu dusz, jaki stawia w *Improwizacji*.

W chwilach mej siły — wysoko
 Kiedy na chmur spojrzę szlaki
 I wędrowne słyszę ptaki
 Żeglujące na ledwo dostrzeżonem skrzydle —
 Zechcę — i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle;
 Stado pieśń żalosa dzwoni
 Lecz póki ich nie puszcę, twój wiatr ich nie zgoni.

.

Czuję w sobie, że gdybym mą wolę
 Ścisnął, natężył i razem wyświecił
 Możeby sto gwiazd zgasił i drugie sto wzniecił.

Oddziaływanie natomiast człowieka na człowieka, woli świadomej na wolę świadomą, odbywa się wśród warunków innych, inne też przybierać musi formy.

Może ono zachodzić:

- albo na drodze przymusu fizycznego,
- albo na drodze myślowej, intelektualnej,
- albo na tle artystycznym,
- albo wreszcie na zasadzie etycznego, osobistego działania.

Sposoby te winny być w zgodzie z planem, na którym działać im przypadło. Dyktatura Cezara czy Napoleona, gest legislacyjnego przymusu, będzie w odpowiedniej harmonii z ideą fizycznego, administracyjnego porządku. Tenże sam środek zastosowany do celów etycznego odrodzenia, stworzyć może naprawdę czyn uniwersalny, skrzywi jednak jego naturę wolną.

I droga opracowań myślowych nie jest zdolną wytrzymać naporu sił twórczych i gwałtownych poruszeń wolnego ducha. Czy możemy ciemnemu od urodzenia odtworzyć naturę koloru za pomocą wyjaśnienia jego fizycznej natury lub najsubtelniejszych przenośni? Czy nie tak jest w istocie, że zrozumieć możemy tylko to, co możemy wyczuć? Czyż nawet sposób zrozumienia przyrody nie jest taki sam, jak sposób zrozumienia człowieka?

Natura myśli nie jest zdolną objąć ludzkiej natury. Po za jego siłą intelektu istnieją w nim wyższe stany przeżycia, dalekie wyżyny pozamyślowe, nieujęte językiem jej, niepochwycone jej logiką. Tam się rodzi wola czynu odkupującego, i niesie z sobą bezsłowny huragan wolności.

Praca myśli zdolna jest dać w ręce człowieka władzę nad przyrodą, tudzież władzę historyczną, wyczerpać zatem jego czyn fizyczny. Prowadzi również do zwalania przesądów, do oparcia życia na hierarchii siły realnej. W zakresie jednak czynu metafizycznego potęga jej ma znaczenie czysto pomocnicze.

A jeżeli chodzi o określenie czynu metafizycznego, niech nam będzie wolno zwrócić uwagę na notatkę u jednego z ewangelistów, że na kilka godzin przed uwięzieniem Jezusa *przyszli Grecy do Jeruzalem pytając o niego*. Jezus usłyszawszy to zawołał: „Przyszła godzina...” — i w tejże chwili zdecydował się na śmierć. Nastąpiła ona nazajutrz. (Joannes XII, 27).

V.

Konrad wie, że ma w sobie siłę, która go stawia po nad naturą, daje mu ojcowstwo duchowe w narodzie, że żywi w sobie uczucie, co się samo w sobie chowa jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa; czuje on również, że natura prawdy w nim żywiącej wychodzi po za zakres myślowego i artystycznego działania. Tą jego prawdą jest czyn metafizyczny odkupienia narodu, powrócenia mu jego duchowej wolności.

Ludzie jednak ani prawdy jego przyjąć, ani władzy uznać nie są skłonni.

Tylko ludzie
Nie służą mi, nie znają —
Ja na nich szukam sposobu...

Sposób to prosty i doraźny:

Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem
Chcę wyrzucić na ludzkie dusze;
Jak ptaki i jak gwiazdy rządzą nam skinieniem
Tak bliźnich rozrządzać muszę.

I tu odrzuca on stopniowo środki działania wyżej wymienione:

Nie bronią —
Nie pieśniami —
Nie nauką —
Nie cudami --

Odrzuca również drogę cudu, władzy magów. Jego serce pożąda czynu natychmiastowego, szuka zbawienia dla umiłowanej rzeszy.

Nazywam się Milion — bo za miliony
Kocham —
— cierpię, szaleję —

Naród stanął nad przepaścią, złowrogie fatum zagraża mu.

. objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia
.
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić
Chcę nim cały świat zadziwić!

Prawdziwa miłość jego jest dumną z przedmiotu swego ukochania a zarazem tak pełną, że niema w niej miejsca na nienawiść. Konrad zapomina o wrogach swego ludu, nie wzywa już ani zemsty, jak dawniej, ani nie pobudza Boga do niej.

Wybiera natomiast drogę, na której następuje pierwszy moment jego załamania, — drogę tajemniczego despotyzmu uczuć. Upojony mocą twórczą, a razem prawie szalejący pod wpływem bólu jeremiaszowego, rzuca z jednej ostateczności w drugą, niezdolny już do opanowania, raczej pełnięty rozpędem nagromadzonych elementów uczucia, oddaje on serce swoje pod przewagę

despotycznego porywu, gubi szacunek dla wolnej woli człowieka, sięga po tajny rząd dusz przez masową hipnozę woli.

Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie
zawsze — tajemnie:

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,

Spełnią, tem się uszczęśliwią,

A jeżeli się sprzeciwią

Niechaj cierpią i przepadną.

Jest to prawdziwa tragedia Króla-Ducha rasy. Co u Słowackiego było widzeniem, to u Mickiewicza staje się. Improwizacya uważana być może za jeden z nienapisanych ostatnich rapsodów Juliuszowej epepei.

W naturze Mickiewicza tkwił niezaprzeczony i niezwalczony nigdy w zupełności instynkt królewskiego despotyzmu. Kiedy w szerokich dalekoplanowych pomysłach do Króla-Ducha, duch Jagiełły przechodzi w Mickiewicza, (na którym opis ten opiera się jako na jednej z kolumn żywota), Słowacki nazywa go wówczas „duchem straszliwym“ i naturę jego porównuje do piorunu.¹⁾ „Adam jest straszny!“—pisze w swym pamiętniku pod rokiem 1850 nieskłonny do lęku S. Goszczyński.

Był to wprawdzie despotyzm uczuć, w istocie swojej jednak miał on tę samą cechę uzurpacyi tronu duchowej władzy nad narodem. Mickiewicz pokonywał i tępił go w sobie, — ale jeszcze

¹⁾ Juliusz Słowacki: Zawisza Czarny. Warszawa, 1906, str. 15 — 16.

Chorus: Z temi trąb cudownemi głosami odchodzi
I znika nam na zawsze z oczu król Jagiełło...
Aż się z piany Niemnowej Afrode urodzi
I rozpocznie piękności tajemnicze dzieło
Aż się indyjskie kwiaty na sosnach pokażą
Aż dawna prawda spojrzy księżycową twarzą.

.....
.....

Od straszliwego ducha odwracajmy oczy
Prędzej go zobaczymy, niżbyśmy żądali,
Bo jako piorun nagle z pod ziemi wyskoczy,
Jak kądziel się na wietrze wypadków zapali
I z ranami polskiemu starą pierś pokaże
I otoczą go wkoło litewscy guślarze.“

Wezbrana fala tego polskiego wszechpoematu miała zabrać ze sobą i duszę Mickiewicza z całą jej twórczością.

w kilkanaście lat później spotykamy w jego listach do Towiańskiego następujące bolesne wyznanie:

„Doszło było do tego (w posiedzeniach Koła), że wyzywający (do podniesienia ducha) podobni się stali do słabnących tyranów, którzy tylko w krwawej kąpeli ciepło znajdują. Brano kąpiel z ducha bratniego! ...Wydobywaliśmy życie sztuczne: kazaliśmy braciom robić ruchy, często ze stanem ich wewnętrznym niezgodne; odejmowaliśmy braciom ostatnią już wolność, szanowaną przez wszystkie tyranie, wolność milczenia.“

Nie mamy tu, jak widzimy, do czynienia z fikcją artystyczną, lecz z krwawym pokutniczym osądem. Tej samej natury jest powyższy ustęp z Improwizacyi.

I ta żywiołowość w działaniu, ta wola do potęgi, ulega obecnie w Konradzie załamaniu w momencie najwyższego napięcia swych władz. Stanąwszy nad lucyferyczną otchłanią indywidualizmu, gdy już tylko jeden krok dzieli go od rzucenia się w odnętą na zawsze i nieodwołalnie, ulega on nagle uderzeniu przez głębokie poczucie winy. Jest to moment, błysk zaledwie,—ale w tym błysku postrzega Konrad daleki horyzont Monsalwatu—i zapadającą się przed nim drogę, którą iść był powinien.

Człowiek, który przestaje rozwijać się w zgodzie ze sobą całym, powraca do swego rozwoju przez poczucie winy.

Z największem poczuciem potęgi zesza się w tej chwili przełomowej największa świadomość winy. Z ich starcia wyrósł nowy stan duchowy Mickiewicza, nowa uzyskana równowaga.

Na czem polegała jej istota?

*

*

*

Aż dotąd, do Improwizacyi, szedł jej autor rozpędem żywiołowym indywidualizmu, podniesionego do wysokości *bohaterstwa*. Jak każdy żywioł w tej potędze, nie zna on prawie idei, nie przez nią tworzy, nie dla niej czuje się bohaterem. W stosunku do idei ojczyzny, nie on od niej, lecz raczej ona od niego staje się zależną (Walenrod); nie pochłania go ona w znaczeniu społecznym, staje się jedynie sposobnością do wybuchu gwałtownych namiętności jego duszy, kiedy ta w swobodzie swej doznała z powodów politycznych bolesnego ograniczenia.

Naczelną jednak władzą duszy w tym czasie (1825 — 1829) staje się u niego namiętność wielkiego przeżycia, bezmiaru boski szal, któremu całe powietrze w Arabistanie starczy ledwo na jedno odetchnięcie. I przychodzą nań okresy, kiedy ta siła wyrwa się zeń samorzutnie, bez rozmysłu, bez planu, bez przynależności do jednej zasady wspólnej, bez celu, bez idei działania.

Taka jest natura Farysa.

Taka jest natura samego bohaterstwa. Hannibal, Mitrydates działają pod wpływem jednej wielkiej namiętności, Aleksander W. zna tylko jedną własną gwiazdę, Napoleon również.

Dla takiej natury nie istnieje dobro i zło, nie istnieją pojęcia ludzkie, nie istnieje nawet człowiek; jest w niej tylko rozpęd wyjścia po za człowieka, po za to, co człowiek może. Instynkt taki nie cofnie się wskutek tego przed czynem zbrodniczym nawet, byle wielkim; odrzuci natomiast rzecz niską, brudną, podłącą. Dla bohatera nie egzystuje dobro i zło, powtarzamy, lecz jedynie wielkość i płaskość. I w tem leży sprzeczność między bohaterstwem a etyką chrześcijańską. Dusza heroiczna inne ma nakazy kategoryczne, inny kanon swego sumienia, kanon wspólny wszystkim ludziom tej miary. Etyka jej, to wola do potęgi, uderzająca jak piorun, wola bez kresu, bez szczytu, upojona własną mocą, zahypnotyzowana własną możliwością.

Stąd mogła się ona rozwinąć w czasach antycznych — i nowożytnych. Rycerz średniowieczny walczy natomiast za ideę wiary i podlega mnichowi, jak bojownik indyjski.

Nadchodzi czas, kiedy w Mickiewiczu budzi się w całej pełni bezwzględny żywioł heroizmu, odrzuca wszelkie oparcie, pragnie istnieć sam dla siebie, wbrew nadziei, mimo rozpacz. Wie on, że wola bohatera wywołuje przyrost życia, z ludzi szarych tworzy olbrzymów chwili, dobywa z nich siły nieskończone. Z tego poczucia własnej potęgi chce on uczynić dogmat naczelny życia i twórczości. Przez Walenrodą, przez Farysa dochodzi on w ten sposób do momentu samoubóstwienia w Improwizacji, rozkoszuje się własnem mistrzowstwem, wyciąga dłonie między gwiazdy, nieśmiertelność czuje, nieśmiertelność tworzy, rzuca pod nogi wszystkich poetów i proroków świata, w potędze twórczej czuje się Bogu równorzędnym, pragnie dzielić z nim panowanie.

Człowiekiem gardzi („Gardziłem ludźmi, nie znałem aniołów“) — i kocha go. Gardzi, jako człowiekiem słabym („ludzie — skazitelni, marni“); kocha jako możliwość do potęgi („chcę nim cały świat zadziwić“). Wie on, że wola wielka twórczą jest nawet wtedy, kiedy gardzi.

Ale Konrad i kocha człowieka, a to uczucie jest w nim źródłem nowych upragnień.

Z nich rodzi się Mickiewiczowski *mesyanizm*.

Jest to uczucie wychodzące po za heroizm, po za Farysa — Wallenroda — Konrada — po za siebie wreszcie, — jest to wiara w uczucie odkupujące, a więc nietylko wybawiające, w uczucie, które łączy w sobie czystość i heroizm, i stąd ma moc przewodniczenia. Człowiek niem uposażony, będzie bez win, wypróbowany, aniołom oddany pod straż, zbrojny w miłość i potęgę.

On pokaże drogę, natchnienie, obudzi, ubogaci.

On się nie zabłąka na drodze ofiary, bo jego heroizm wolnym będzie od miłości własnej. Będzie on posiadał potęgę, nie dbając prawie o nią; raczej powiedzieć można, że potęga będzie miała jego w posiadaniu.

Nie znajdzie on w sobie pogardy, bo wszystkich umiłuje, wszystko wyrozumie.

Walczyć będzie tylko ze złem, podbijając sumienia, pokonywując piorunami mocy duchowej, a gdy trzeba będzie — gromami pokory. Bo on zarazem pokornym będzie — jako syn człowieczy.

Miłość ocali go, miłość oczyści go, ona odejmie dziełom jego i uczuciom jego jakąkolwiek skazę samolubstwa. Dlatego ofiara jego będzie odkupującą. Będzie miała moc oczyszczania innych.

Człowiek taki złączy w sobie potężny indywidualizm z ideą bezosobową. A przez pokolenie, wychowane w takich uczuciach zjawi się narodowi heroizm mesyaniczny.

Samo bohaterstwo, odwaga w boju i ofiarność życia, nie zbawi nas. Da sławę, da zwycięstwa, da śmierć chlubną na polu chwały — ale nie zbuduje takiego narodu, narodu indywidualistów. Potrzeba siły wyższej, doskonalszej, potrzeba człowieka mesyanicznego, potrzeba idei mesyanicznej w narodzie.

Mickiewicz potępił w sobie Konradyzm. Geniusz to narodu oczyścił go, zjawił mu się w grozie swej mocy i bólu, i rozegrał wszystkie struny jego serca. Przemówiły uczucia najczystsze, najofiarniejsze, nastąpiła ekspiacja win.

Improwizacja jest przejściem od idei bohaterstwa w pocie do mesyanizmu.

VI.

Takim jest lot zasadniczej myśli w Improwizacyi.

Należałoby teraz iść za tokiem myśli i falowaniem uczuć w samym poemacie, wysledzić wszystkie drobne iskry, z których począć się miały przyszełe pożary, objąć okiem granice natury Słowianina, który w krwi swojej wziął dziedzictwo młodej rasy a starej kultury.

Należałoby również przeprowadzić analogię między Improwizacją a Prometeuszem Goethego, Manfredem i Kainem Byrona, postawić granicę między tem, dokąd doszedł Mickiewicz wraz z myślą europejską, a odkąd rozpoczyna się jego nowy, twórczy element.

Pracy tej jednak wypadnie nam zaniechać, by nie zgubić w szczegółach głównej idei utworu. Ograniczymy się natomiast do kilku uwag i gloss, dotyczących tak formy, jak treści.

*

*

*

Całą Improwizację przebiega rytm podobny do rytmu krwi. Da się ona wyraźnie podzielić na części naprzemian po sobie następujące, w których uczucie Konrada raz skupia się i zbiega w sobie coraz gwałtowniejszym malstromem — to znowu po tym okresie utajenia się i pozornego uspokojenia wybucha na zewnątrz i rozbiega, jak krew pchnięta skurczem nabrzmiałego serca.

Jest w niej cały dramat, poprzedzony wstępem, który stanowi, jakby przygotowanie się doń, próbę własnych sił i uprawnień.

Pierwsze słowa Improwizacyi są tylko odepchnięciem łodzi od brzegu. Ulga samotności, zwrot o ludziach—pozorny to i tymczasowy szept ust, gdy dusza myśli już o czem innym i słucha bijących godzin przeznaczenia.

Potem miłosne powitanie pieśni i pierwszy poryw potęgi. Na całym obszarze stworzenia—on i pieśń, którą duch jego stworzył i w niej się przegląda. Jeszcze chwila, a twórca zapamiętuje się w swoim stworzeniu i cały staje się pieśnią. Wielbiąc

pieśń, wielbi własną potęgę, rozkoszuje się radością bytu i twórczenia i wzywa Boga na świadka swoich słów.

Ty Boże, ty naturo,—dajcie posłuchanie!

Już w nim dojrzewa rola wielkiego czynu, dojrzewa sama po za granicami świadomości i płynie dnem jego ducha. Istotę czynu tego znamy już. To ów czyn jego żywota, czyn metafizyczny, wolny akt wyzwolenia ludu duchem własnym.

I znów przeskakując słabe analogie literackie z Goethego i Alfreda de Vigny,¹⁾ zwróćmy tu uwagę na uderzające podobieństwo z improwizacją Mojżesza, zawartą w piątej księdze jego imienia.

Oto stary wódz i prawodawca. Stanął u progu ziemi upragnionej i poczuł, że śmierć się zbliża doń. Zwołuje lud, by go pożegnać, daje mu ostatnie wskazania. I wówczas pod wpływem szalonej radości z dokonanego czynu żywota i przejęty zarazem lękiem przed czynem, który nadejść miał dla jego narodu, Mojżesz rozpoczyna pieśń mimowolną, inwokację do nieba i ziemi: „Słuchajcie niebios, a mówić będę; niech słuca i ziemia wymowy ust moich.“²⁾

Tak przemawia świadomość wolnego, zbawczego czynu.

A potem—rozprężanie się w sobie bohaterskiej woli do potęgi. Duch olbrzymieje, kładzie dłonie na bezmiernych gwiazdach obszarach i dobywa z nich strumienie melodyi. Miliony tonów płyną, całe niebiosy napełnione harmonią.

Po krótkim momencie ekspansji—moment skupienia się, powrotu w siebie. On nie ginie, nie rozplywa się w naturze. On czuje i tworzy—jest. Z góry króluje przyrodzeniu.

Sam śpiewa. Głos jego, jak wichur żałobny, wyrывa się z głębi piersi, które żal, burza uczuć, szala jakiś słoneczny rozsada. On głos ten widzi tak, jak słyszy grę światła i barw. Zmysły spłomienione stapiają się w nim w jedno samorodne uczucie.

Ogarnia go poczucie boskie. To już nie człowiek średnio-wieczny, naczynie nędzy, glina w ręku lepiarza. To Prometeusz. Jemu i Bogu jeden jest początek, ta sama siła żywi obu, obu obdarza nieśmiertelnością. Był zawsze i zawsze będzie. Ogarnia go rozkosz potęgi. Potęga ta z natury swojej dążyć musi do absolutnej wolności, wolność zaś taka jeśli bezmiłosna i o siebie

¹⁾ M. Kawczyński: Przyczynek do wyjaśnienia Improwizacji Mickiewicza i trzeciej części Dziadów. Kraków, 1893.

²⁾ Deuteronomium. XXII. 1. 2.

tylko oparta, dążyć musi do podbijania, do zwierzchnictwa, do absolutnego panowania; wtedy dopiero czuje się u kresu.

Więc jak uprzednio rzucił Konrad całą naturę pod swoje nogi, tak obecnie rzuca do stóp i „depce“ wszystkich tych, co ponad świat ten wyrosli. Stanąć mu trzeba na ostatnim stopniu stworzenia, być „pierwszym z ludzi i aniołów tłumu;“ będzie to dlań uprawnieniem do rozmowy z Bogiem w imieniu całego stworzenia.

I tu rozpoczyna się dramat.

Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra—
Potrzeba mi lotu!

Porywa go fala mistycznego wzlotu. Jednem pchnięciem wydobywa się z sfer czasu i przestrzeni—zatraca świadomość ciała—już ziemia i gwiazdy po za nim, jak iskry na głębinie nocy; tam staje, „gdzie graniczą Stwórca i natura.“

Już to nie człowiek. To duch uniesiony wichrem płomienistym. Jakaś wielka i wieczna pamięć rzeczy otwiera się w nim jakby dwa skrzydła czas obejmujące; a pamięć ta oprzytomnia w nim, budzi nową moc: miłość swego narodu.

Ta miłość jest w tej chwili drugim jego uprawnieniem, z jakim staje do wielkiej rozprawy.

Wówczas zwraca się do Boga.

Następują słowa nabrzmiałe bólem miłości, rozśpiewane do szaleństwa bezmiernem ukochaniem swego ludu. Znikł na chwilę lucyferyczny władca potęg niepodległych—przemawia wielki orędownik. Całe chóry dziejów podnoszą się i płyną przez obszar jego wzburzonego ducha, od Chrobrego piorunów do sejmu grodzieńskiego milczenia i przez chwilę obecną, jeremiaszową, aż po krańce widnokregu czasów.

Naród cały umiłował, krew jego i prochy jego i przyszłe losy jego; pragnie go zbawić, dźwignąć, uszczęśliwić. Uszczęśliwić nie w znaczeniu maksymalnego szczęścia socyologów i ekonomistów. On pragnie widzieć ze swego ludu naród bohaterów, który odrodzi oblicze ziemi i świat napełni podziwem.

Nie mam sposobu!...
I tu przyszedłem go dociec.

Oto jego żądza serdeczna. Jeszcze chwila a rządzi ta wybuchnie w słowach wyrwanych z samej głębi:

Daj mi rząd dusz!

Przemówiła wola do potęgi.

Gra tych dwóch sił, woli do potęgi i miłości do odkupienia, miota teraz jego duszą, rzuca ją raz do stóp Bóstwa, to znowu zapala buntem, zamąca władze jego świadomości i kończy się stopniową przewagą woli absolutnej. Żal przemienia się w oskarżenie, oskarżenie wyrasta w wyzwanie, a wyzew przechodzi w moment buntowniczego bluźnierstwa.

Ale ponad kołowaniem i zmaganiem się tych sił w duszy Konrada istnieje w nim wyższa władza ducha, czujna, samotna i osądzająca, która od pierwszej chwili buntu, gdy ku Konradowi zbliżają się wizye ciemnych i jasnych sił, skomunikowanych z jego duszą, słyszy i widzi wszystko, obejmuje okiem sytuację z doskonalszych ducha regionów. Władza ta, to głos sumienia, to bóstwo w Konradzie samym, a raczej w poecie mieszkające. Władza ta była czynną nie tylko po, ale i w czasie tworzenia Improwizacji, tworzenia, które odbywało się niejako na kilku płach równocześnie. W ten sposób Konrad, będąc samym poetą, nie obejmuje go w zupełności. Poetą jest cały poemat, a przeto i Konrad i Książd Piotr. Konrad jest tu raczej skomplikowanym stanem współczesnej przeszłości, ostatniem jej wezbraniem, jedną z dwóch zasadniczych możliwości w naturze Mickiewicza, która to możliwość w tej godzinie uległa stanowczemu przełamaniu.

Głosy chórów prawych i lewych odzywają się nad Konradem tuż po chwili, gdy siły jego rytmem dośrodkowym porwane, stwarzają w nim stan najwyższego skupienia. Jest to ustęp w Improwizacji złożony ze zdań urwanych, dwuwierszowych, podobny do gromady błyskawic. Każdy z dwuwierszy zawiera zapytanie i odpowiedź, każde z tych zapytań dotyka istoty bytu.

Czem jest me uczucie?

Iskrą tylko!

Czem jest me życie?

Ach, jedną chwilką!

Pierwsze z pytań zwraca się do elementarnego, zasadniczego objawu bytu, do uczucia. Uczucie to spłynęło w tej chwili w organizacyi Konrada w jedno wrażenie skry, w jeden punkt żarliwy, promieniejący. Objaw to znany ekstazykom. Święta Teresa opisując go w swej autobiografii, rozróżnia cztery stopnie „zachwycenia;“ pierwszy określa jako *osamotnienie* od świata; drugi stopień nazywa *iskrą*.

Pytanie drugie porusza istotę życia. Gdy istota uczucia trwa, to zjawia życia jest tylko („ach“) jednym kruchem czasu, na któ-

rym iskra ta rozprzędła się w przemijającej osnowie. Życie przebłyśnie, iskra zostanie, do istoty swej powróci znów.

Dwa dalsze pytania, z głębi nadlatujące, szukają odpowiedzi na zagadkę natury i dziejów.

Lecz te, co jutro rykną, czem są dzisiaj gromy?

Iskrą tylko!

Czem jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?

Jedną chwilką.

Ta sama wola, w skrze zawarta, ma w sobie treść całej natury, z tej treści rozwija się ona w sposób konieczny. Wszystko co będzie, jest już in nuce.

Ta sama wola stwarza dzieje, wysnuwa z siebie całe wieki na znikomych krosnach czasu. Czem jest cały byt empiryczny? Jednym błyskiem w oceanach bezczasu, jedną nikłą illuzją.

A potem nawrót myśli do człowieka.

Z czego wychodzi człowiek, mały świeatek?

Z iskry tylko.

Czem jest śmierć, co rozprószy myśli mych dostatek?

Jedną chwilką...

Brama śmierci zatrzymuje nietylko zmysły lecz i myśli człowieka. Myśl, rozum intelektualny, należą również do chwilowych, formalnych zjaw życia, są szóstym zmysłem natury. Kto odchodzi bramą śmierci, nie zabiera z sobą logiki i światopoglądów.

Wreszcie zagadnienie końcowe. Czem była twórcza istota bytu przed wyłonieniem świata? Czem będzie świat „gdy on go pochłonie,“ gdy wróci inwolucyjnie do swego początku?

I znów w odpowiedzi dwa widzenia:

Iskra i chwila. Principium i świat fenomeniczny.

Tę iskrę wewnętrzną uchwycić w sobie, rozpalic — tę chwilę twórczą „przedłużyć i rozdzielić“—oto droga do czynu nieśmiertelnego, do dzieła stworzenia lub zniszczenia. Bo chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala—stwarza i zwała.

A potem przychodzi moment najmocniejszego zacierpienia bólem swojej ziemi, krzyk za miliony—i własnowolne, zrozpaczone rozdzieranie węzłów między człowiekiem a celami świata.

Jeśli naturalne prawa siły deptać mają z woli bóstwa prawa uczuć i upragnień człowieka, jeśli ten ma mieć berło i królowanie, kto używa rozumu swego do przystosowania się łaadowi bytu, jeśli antagonizm między etyką przyrody a postulatami ludz-

kiego sumienia ma być zawsze rozstrzygany przegraną najlepszych naszych dążeń i przeświadczeń — to człowiekowi, który z tym boskim porządkiem pogodzić się nie unie i nie chce, nie pozostaje nic innego, jak rzucić w obszary świata swój protest, swe liberum veto i walczyć — i walczyć na to, aby zginać.

Niech się rozegra bój, bój na serca między człowiekiem a bóstwem. Z Bogiem złączone przymierze wszystkich rozumów ziemi; z Konradem stanie cały naród.

Będzie to nowy bunt aniołów. Ich bronią, czyny serdeczne; ich tarczą, pogarda świata i rozumu jego; ich zwycięstwem, śmierć. Lepiej-bo paść, niż żyć rozumem świata.

Fala wezbranej krwi uderza Konradowi na mózg. Już stoi u proga słów nieodwołalnych, już kołysze w swem ręku pocisk, co ma uderzyć w pierś Boga — gdy nagle — staje się coś, co mu wraca w jednym przebłysku przytomność. Pada słowo obelgi. Może jego myśl je pomyślała, może jego usta je wyrzekły; ale nie jego wola była tu czynna. Konrad postrzega, że nie jest sam, że jest igraszką potęg ciemnych, które opętały jego wolę; i ta świadomość działa na jego mózg, jak uderzenie: Konrad pada bezprzytomny.

*

*

*

Kiedy powstanie, będzie już przemieniony. Odchodzi w życie, zabierając z sobą problem i epilog niedokończonego poematu. Poemat ten (Dziady III) z natury swych założeń dokończonym być nie mógł; jego bowiem ideą zasadniczą był czyn odkupujący. Idea ta opuszcza bohatera (Konrada) przed końcem poematu; przechodzi ona częściowo na księdza Piotra, głównie zaś ulega przesunięciu w przyszłość wizyjną, nieokreśloną.¹⁾

VII.

Z przeżycia Improwizacji wynosi teraz autor Dziadów, obok świecącej idei mesyanicznej, element drugi, osobisty: pokorną z siebie rezygnację. Z siebie, to znaczy z królewskiej myśli wy-

¹⁾ Powód podany przez prof. Kallenbacha w rozprawie „O Improwizacji A. M.“ mianowicie mechaniczne połączenie przejść Konrada z Iosem Filaretów, jest powodem drugorzędny.

swobodzenia narodu przez własną indywidualność, z ambicji przewodniczenia.

Zwycięża w poecie książę Piotr, „sługa pokorny i cichy,” potomek Hioba, człowiek wschodu. Na tej drodze powraca Mickiewicz obecnie do społeczeństwa i odzyskuje spokój na czas pewien. Rezultatem tego powrotu, tego zatracenia się w narodzie, są dzieła jego dwa: „Pan Tadeusz“ i „Historja Polski.“ Obie te prace przypadają na okres rezygnacyjny między Improwizacją a Towianizmem.

Dusza jego wyrównuje się obecnie jak wieczorna szyba jeziora, omija szczyty i burze natchnienia, powraca do codzienności, a w tak ukojonej i pogodzonej z dolą nieodmienną powstaje teraz jeden zasadniczy ton muzyczny: ton tęsknoty wygnańczej za krainą swej młodości, krainą, która razem z tą młodością zdawała się oddalać niepowrotnie.

Tylko w tym stanie tęsknoty bez dążenia i w tej fazie zatracenia się indywidualności poety w narodzie powstać mogło epos współczesne w Europie, wytrzymałe w przedmiotowości. Pan Tadeusz wznosi się wśród poezji swego wieku, jak oczywisty anachronizm. Epos bowiem wymaga zgody zupełnej z kulturą istniejącą, miłosnego ujęcia jej w sobie bez cienia własnej odmienności. Dlatego też powstaje on z reguły w czasie, gdy styl epoki przybrał już pewne formy typowe, ustalone, bez odmian i wykroczeń indywidualnych. Tak rozpowiada Homer o Grekach na ziemi i niebie, w podobnym momencie zasiada Dante na tronie wieków średnich sądzić żywych i umarłych.

Kultura polska przeszła już była w tych właśnie czasach zapóźnionych z okresu feudalnej typowości w okres nowy przemian indywidualnych. Na tę przełęcz czasów historycznych przypadła młodość Mickiewicza. Na to samo stanowisko powrócił on teraz nie tylko we wspomnieniach, ale i w uczuciach.

Pan Tadeusz—to jego pożegnanie młodości i pożegnanie ojczyzny dawnej, odchodzącej Rzpltej. Nadchodziły inne czasy; inną, nową trzeba było z piersi swoich dźwigać ojczyznę.

Więc jeszcze jedno spojrzenie wstecz, jedno zachwycenie jej oczyma, a potem...

A potem ciężki trud żywota.

I w tym trudzie poczęte dzieło drugie. W miarę jak przeznaczenia własnego losu ustępują w nim na plan dalszy, a wiara w chwilę mesyaniczną odchodzi gdzieś w głąb nieba, w miarę tego zbliża się doń zagadka duszy narodu i jak sfinks domaga się odpowiedzi.

Mickiewicz podejmuje zadanie. Praca jego na emigracji, służba jego narodowi, poczynawszy od Ksiąg Pielgrzymstwa, jest ciąglem zgłębianiem zasadniczej myśli narodowej, dochodzeniem przeznaczeń rasowych. Jakoż na lata całe człowiek ten zapada jak nurek w głębie dziejów, przechodzi wstecz przez rozłogi wieków ubiegłych, otwiera groby, słucha szeptu starych ksiąg i dokumentów, wypatruje oczyma każdego człowieka, w którym błysła myśl narodowa, każdy czyn, który tej myśli był czynem— a kiedy powraca z tej dalekiej w przeszłość wyprawy, powraca z gwiżdżami w rękę.

Idąc po linii uczucia narodowego w Mickiewiczu (a więc w romantyzmie), po linii, która szczytu swego dosięga w okresie Towianizmu, wypada nam zwrócić tu uwagę na ważny fakt w dziejach myśli polskiej ubiegłego wieku, fakt, że Mickiewicz czasów emigracyjnych dźwiga na sobie całą pracę odrodzenia uczuć i wiary narodowej. Wszyscy twórcy tego czasu, Słowacki, Krasiński, C. Norwid, wreszcie Goszczyński, pełniący zostają atrakcyjną jego siłą naokół jednej idei; wszyscy oni tracą w nim swoje zrozpaczenie, w jakie stopniowo pogrążyła się cała emigracja; w jego uczuciu odradzają swoje, jego oczyma ogarniają czasów horyzont, przez jego odgadnięcie w sobie ducha narodowego i ukazanie w dziejach oblicza Polski, zwolnieni są z brzemienia smutku, rozkwitają nowem natchnieniem.

Lata jego wykładów z katedry paryskiej stają się przelomowemi. Po utworach tak bezbrzeżnie smutnych, jak „Sen Cezary“ i „Legenda“ (1840), pojawia się „Przedświt“ (1843); po „Lilli Wenedzie“ — „Ksiądz Marek“ i „Samuel Zborowski.“ Pogrobowiec romantyzmu, smętny samotnik pustych międzyczasów, Cypryan Norwid, wysoko niesie w dłoniach płomień otrzymany, aby go przekazać dniom dzisiejszym.

Przez ten wielki trud Mickiewicza emigracja została spełniona. Było to jej potrzebą i obowiązkiem w tej epoce niejako pozahistorycznego bytowania narodu, wyjaśnić historyczny charakter polskiego patriotyzmu i postawić w punkcie jego centralnym zasadę humanitarną. Bez tej pracy myśl nasza narodowa stać się mogła czemś talmudycznym, położyć w poprzek świata— i to położyć na to chyba, aby być przez prawo postępu zgniecioną.

Praca ta należy już w połowie do następnego okresu, okresu pokonywania rzeczywistości świata przez rzeczywistość własną.

*

*

*

Już poprzednio zauważyliśmy, że wskutek złamania się w poecie wiary w siebie, odrzucił on wraz z potępionym w sobie indywidualizmem także i swą szlachetną wolę do wartości, swą myśl królewską władzy ducha i natchnienia.

Element mesyaniczny zapadł głęboko na dno jego duszy i umilkł, jakby w oczekiwaniu na przeznaczoną chwilę i przeznaczoną człowieka. W życiu codziennem, bieżącym wzięła natomiast przewagę na czas długi rezygnacyjna pokora.

Poddaje się losowi, poddaje hierarchii tradycyjnej, przyjmuje rzeczywistość, jaką ona jest, cierpiąc bez stawiania oporu, przechodząc bez walki koło tego, co własne jego sumienie uważa za złe. Chce samego siebie zdogmatyzować, uprościć, chce swój instynkt ofiary zamknąć w formę gotową, historycznie wytworzoną, myśli czy nie zostać księdzem, obrońcą duchowej tradycji. Wchodząc w społeczeństwo z powrotem, wykonuje on zarazem akt pokory i posłuszeństwa, godzi się z kulturą współczesną, idzie po drodze utartej z wyrozumowanego obowiązku.

W miarę tego traci on wolność duchową. Źródła twórczości jego słabną. Nie będąc wolnym, nie może być szczerym, nie wypowiada się w słowach swych i uczynkach całą pełnią swego jestestwa. Naród pojęty, jako obowiązek, jako potrzeba pomniejszenia się i rozdrabniania w pracy połowicznej, wywiera nacisk na jego duszę, zamiast ją pobudzać, mnożyć w siły i do dojrzałości czynnej doprowadzać.

Każdy człowiek, żywiony duchem, jest pokorny. Jestto pokora człowieka wolnego, uszlachetniająca i miłosna. Jest jednak i pokora słabości; odejmuje ona i zubaża, a wystawiona na próby, zawodzi.

Mickiewicz mięsza teraz oba te pojęcia; podobnie miesza i ludzi. Z Witwickim, B. Zaleskim i innymi tego typu pisarzami i poetami na emigracji zawiązuje on obecnie ściśle węzły przyjaźni i zasiada z nimi do owej „wieczery pańskiej poetów polskich,“ o której pisał Słowacki, że mimo całej dla niej rewerencji, nie sądzi, aby ona była „obrazem wieku i jego dążeń.“

Była to atmosfera, w której egzystować mógł Zaleski, człowiek innego niż Mickiewicz pokroju. Dla Zaleskiego problemy nie istniały. Grał on na tematach zużytych ze śpiewną łatwością słowa, ale do przyrostu duszy w narodzie nie przyczynił się, do dorobku kultury narodowej dorzucił nazbyt mało. Kierunek, z jakim płynął, prowadził współczesnych do bezczynności, bezradności, a w rezultacie do legalizacji złego. Niesprzeciwianie się złe-

mu jest szlachetne, gdy pochodzi z siły; ale gdy pochodzi ze słabości?...¹⁾

Bohdan Zaleski nie był człowiekiem wolnym, za mało miał na to odwagi. Zrzekł się odpowiedzialności, przestał dążyć po światło, pozostał też zawsze małoletnim, a nawet z natury rzeczy popadł w moc przesądu. Mickiewicz, będąc duchem wolnym i stworzonym do pełnej wolności, obecnie utracą ją dobrowolnie, schodzi pomiędzy ludzi nieruchomych, zatrzymuje zegar ducha na tej samej godzinie.

Czy tego rodzaju ofiara z własnego ducha jest zgodna z prawem ofiary, na to szukać będziemy odpowiedzi na innym miejscu. Mickiewicz idzie jednak ku niej z poczucia poprzedniej winy, pożąda jej dla odpoczynku, dla spokoju przed gwiazdą przeznaczeń dręczącą i gwałtowną. Doszedłszy jednak do punktu, który był konserwatyzmem, poczyna zwolna zamierać w tej atmosferze. Glinie od smutku. Wszystkie jego listy z tych lat mają w sobie muzykę beznadziejności,²⁾ wszystkie drobne wiersze z tego czasu weszbrane są łzami.

Zagubił myśl królewską swego życia. Rozpoczął się dramat powolnego marnienia. Arena jego ducha, gdzie toczył się bój

¹⁾ Łatwo też było B. Zaleskiemu zachować się w pokorze całe życie, pisać „Świętą Rodzinę,“ srogo napominać Mickiewicza w czasach Towianizmu. Tenże sam jednak Zaleski wypada tak prędko z równowagi ilekroć przypadkowo zacierpi bierna jego ambicya osobista. Wiadomo w jakich wyrażeniach traktował Słowackiego w listach do Mickiewicza.

Pokora jego była lękiem o samego siebie, o sprawę swej prawowierności. Gdy pewnego razu dał się on porwać duchowi Mickiewicza i począł mu przytakiwać, a tegoż dnia wieczorem zaziębił się i zachorował, unikał odtąd swego przyjaciela, uważając, że został ukarany przez Opatrzność za swoje zuchalstwo.

Po przemowie, mianej nad świeżym grobem Mickiewicza, zapisuje Zaleski w pamiętniku swoim następujące pro memoria: „Stałem nad grobem. Zacząłem mówić z łaską bożą najwyraźniejszą, poszło mi dobrze i pomimo, że pismo niewyraźne, a stąd nieczytelne, wygrzmiałem jednym tchem głos, który sprawił wrażenie. Uścisków co niemiara od rodaków.“ (Wład. Mickiewicz: Żywot A. M. IV, 484).

²⁾ Wyjątek z listu do Ign. Domejki 1838 r.: „Ja zdaje się być zdrowy, wszakże niedobrze się mam na umyśle. Czuję się ciągle rozstrojony i drażliwy. Różne smutki, o których byłoby długo pisać, głębiej mi wyrdzawiły duszę, niż się sam spodziewałem. Niewiem, czy to się skończy jaką chorobą, czy się przeważy, jeśli nie wyleję jak wrzą ze starej skóry.“

o wielki, wolny czyn, o odkupienie własnej ziemi, stawała się podobną do ruin Kolosseum, po których błędziły teraz cienie jego wielkich upragnień. Idea mesyaniczna odeszła na gwiazdy; w życiu pozostał kompromis z dobrym, biernym, połowicznym, zrezygnowanym człowiekiem historycznym.

Ale już zdala, zdala, nadciągała burza gorejąca.

ARTUR GÓRSKI.

Ruch literacki w Niemczech.

Stoimy obecnie w Niemczech pod znakiem pamiętników z półświatka i fantazyj wojennych. A w teatrach repertuar składa się z dramatycznych (jeżeli wolno użyć tego określenia) wariacji na temat Sherloka-Holmesa.

Małgorzata Boehme, autorka cieszących się olbrzymim powodzeniem wśród najszerszych kół publiczności niemieckiej „Pamiętników Upadłej,” stała się matką nowego odłamu piśmiennictwa, a literatura zyskała, niestety, nowy zastęp współpracowników z jaskiń wielkowiejskich wyuzdań, zakopconych restauracyj „z usługą damską,” z krętych uliczek bocznych pełnych zaduchu, złych instynktów i brudu. Dyletantki te mają sporo czasu na pisanie pamiętników i dostateczną dozę śmiałości. Zaledwie upłynęło pół roku od czasu ukazania się „Pamiętników” Małgorzaty Boehme, a już wyszły aż 3 inne książki podobnej treści: „Dziennik innej upadłej,” wydany przez Felsecka, Pamiętniki kelnerki Mietze Breidenbach i „Spowiedź Upadłej,” napisana przez Jadwigę Hard. Co to będzie dopiero, gdy wszystkie inne „panie tego zawodu,” które pod wpływem „nowego” ruchu literackiego chwyciły za pióro, zaczną wydawać kroniki swego kolorowego żywota i wyznania swoich „światopoglądów?” Na szczęście każda pospolitość prędzej czy później musi stracić wziętość, ponieważ olbrzymia liczba „uzdolnionych” przyczynia się prędko do zdyskredytowania całego gatunku, nawet w oczach przeciętnego filistra, o niezwykle skromnych wymaganiach estetycznych. Pomimo tej pociechy na przyszłość musimy się liczyć z faktem, że pospolitość, jak złe robactwo obsiadła teraźniejszość, zabierając powietrze, soki i światło wszystkiemu, co wielkie, piękne i wzniosłe.

Pod względem społecznym „pamiętniki” te, jako jeden z wielorakich objawów ogólnej emancypacji dzisiejszej, świadczą o nie-

ustannie wzrastającej potędze słowa pisanego, które dosięga dziś już nawet nizin spowitych dotychczas w pogardliwe milczenie nocy. Czyż dziwić się należy, że głos tych nizin błotnych podobniejszy jest do rechotania żab, niż do dźwięku mowy ludzkiej?

Ale wszak to skarga, krzyk rozpaczony bezradnej, błakający się po nocach wielkowiejskich, oskarżenie, pierwszy przebłysk świadomości! Dla pewnych warstw pamiętniki te będą miały swoje znaczenie kulturalne.

Pod względem literackim nie posiadają żadnej wartości. Tak np. wydawca „Dziennika innej upadłej,” Rudolf Felseck, uważał za stosowne, jako pendant do zretuszowanego „pamiętnika” Małgorzaty Boehme, dać nam niezretuszowany pamiętnik kobiety z półświatka, która większą część życia spędziła w domach publicznych Hamburga. Pamiętnik ten, którego autentyczność w zamiarach wywołania sensacji poświadczona została rejentalnie, odsłania w brutalny i dość niezadany sposób wszystkie ohydy życia w domach rozkoszy i systemu handlu żywym towarem. Nawet wiązanek różnych listów autentycznych z półświatka, nie mających wprawdzie żadnego bezpośredniego związku z pamiętnikiem i nie odznaczających się hynajmniej treścią godną uwagi, wciela bezkrytyczny, skwapliwy wydawca, dla którego każdy odpadek przedstawia widocznie rzecz dającą się spieniężyć, do swej książki. Książka ta wraz z pamiętnikiem kelnerki Mietze Breidenbach stoi znacznie jeszcze niżej, niż cytowane dzieło Małgorzaty Boehme. Trochę więcej rzeczywiście ciekawego materiału przedstawia książka Jadwigi Hard: „Spowiedź Upadłej.” Spotyka się tam od czasu do czasu epizody dające się znakomicie zużyć literacko, tematy dla pióra Maupassant'a, z których autorka nie potrafiła jednakże należycie skorzystać.

Na pograniczu pomiędzy powyższymi książkami i utworami literackiej wartości, stoją utwory Hansa Ostwalda, autora pieśni z rynsztoka, który wystąpił niedawno z nowem dziełem, „Berliner Dirneutum,” Juliusza Bab'a (Berliner Botune) i Stefana Grossmanna (Oesterreichische Strafanstalten).

Już w „Fauście“ znajdujemy charakterystyczny wyraz owej pasyi przeciętnego obywatela niemieckiego do politykowania przy kufelku.

Nichts bessres weiss ich mir an Sonn und Feiertagen
 Als ein Gespräch von Krieg und Kriegsgeschrei.
 Wenn hinten, weit, in der Türkei
 Die Völker auf einander schlagen.

Wydarzenia polityczne ostatnich lat, które jak sensacyjne widowiska przesunęły przed zdziwionym wzrokiem całego świata, dostarczyły i piwoszom niewyczerpanego zasobu tematów do dyskusyj, musiały spotęgować wrodzone ich skłonności do politykowania i przyczyniły się w znacznej mierze do powodzenia dzieła, które od kilku miesięcy jest na ustach całej czytającej publiczności niemieckiej i aż daleko poza granice „Państwa“ wywarło wpływ. Dziełem tem jest „Gwiazda Morska“ (Seestern). Autor niewiadomy. Tym razem chodzi o wojnę przyszłości, a przedmiot opracowany przez autora z pewnym poetycznym rozmachem, poddyktowany został nie tylko chęcią wywołania sensacyi, ale zupełnie szczerą obawą o przyszłość Niemiec, w razie wojny europejskiej. Pod tym względem „Gwiazda Morska“ jest dalszym ciągiem utworów w rodzaju „Jena i Sedan,“ „Zapfenstreich“ i t. p., od których różni się jednakże zasadniczo swym przyjaznym dla rządu i armii niemieckiej nastrojem.

Obawy wyciągnięte z obecnej niepomysłnej dla Niemiec konstelacyi politycznej, ujęte zostały w ogólnie zrozumiałe formy. Na lądzie zwyciężymy, ale co się stanie z nami na morzu w razie wojny? Tak zdaje się mówić autor do wszystkich tych, którym przyszłość Niemiec leży na sercu. Pod jego piórem pytanie to przybiera kształty bitew morskich, kadłubów olbrzymich pancerników francusko-angielskich, sunących nocą po przez burzliwe pustynie wodne morza Północnego, ziejących ogniem i zniszczeniem na porty nadbrzeżne niemieckie, których słaba flota niemiecka nie jest w stanie obronić. W wojnie europejskiej, która w „Gwieździe morskiej“ staje się powodem pożaru całego świata, stawia autor po jednej stronie trójprzymierze, po drugiej Anglię i Francję. Rosya, Stany Zjednoczone i Japonia zachowują się neutralnie. Zamiarem jego jest wykazać przedewszystkiem słabość Niemiec na morzu, a dalej potrzebę ogólnie europejskiego przymierza, jeżeli Europa pragnie zachować swą przewagę polityczną [wobec naporu żółtej i czarnej rasy, wobec wyznawców Mahometa, a zwłaszcza wobec niebezpiecznego konkurenta ame-

rykańskiego, Stanów Zjednoczonych, które dążą do federacji Panamerykańskiej. Wszystkie te kwestye polityczne potrafił autor ubrać w szatę interesującą i częstokroć nawet poetyczną. Szczególniej opisy bitew morskich, które z punktu wojenno-technicznego nie są podobno bez zarzutu, zasługują na uwagę. Wojna rozpoczyna się napadem Anglików na wyspy samozańskie i utarczką morską w pobliżu Apii, głównego portu samońskiego Niemiec. Następuje znakomicie opisana blokada ujścia Elby, Cuxhavenu (portu wojennego strzegącego przystępu do Hamburga), bitwy na morzu Śródziemnem, bombardowanie portów włoskich, walna bitwa morska pod Helgolandem, ciekawy napad Anglików na Kiel. W miarę rosnącego pożaru wojny, dzikie ludy afrykańskie poczynają się burzyć i chwytają za broń. Cała Afryka w płomieniach! Narody wyznania mahometańskiego kupią się w koło sztandaru proroka i grożą Europie nową plagą. W końcu osłabienie walczących dosięga tego stopnia, że zawarcie pokoju staje się koniecznością. Teraz to występują dopiero Stany Zjednoczone i Japonia i zaczynają dyktować swoje warunki. Europa traci wszystkie swe kolonie i wraz z niemi swe pierwszeństwo w polityce międzynarodowej. Tak brzmi przestroga autora „Gwiazdy morskiej,” która znalazła posłuch w jaknajszerszych kołach społeczeństwa niemieckiego. Cały zastęp utworów, traktujących o tymże samym przedmiocie (pomiędzy nimi szczególnie „Hamburg i Brema w niebezpieczeństwie“ przez Hanzę, „Niemiecko-angielska wojna“ przez Beowulfa, „Listy z Elby“ przez Moriturusa) świadczy wymownie o zaniepokojeniu umysłów, które udzieliło się nawet sąsiadowi po drugiej stronie morza Północnego. Odpowiedź angielska na „Gwiazdę morską“ nie dała na siebie długo czekać. Czytelnicy felietonów „Daily Mail“ z gorączkową uwagą mieli sposobność śledzić przebieg możliwego napadu Niemiec na Anglię, opisanego przez Wiliama Le Queux (Inwazyja roku 1910), któremu gazeta za tę pracę sensacyjną zapłaciła przeszło milion marek honorarium. Opis pana Le Queux traktuje o wtargnięciu Niemiec do Anglii po raptownym, niespodzianym napadzie floty niemieckiej na angielską. Armia niemiecka, wylądowana w Anglii, staje się panią sytuacji i zapewnia Niemcom kompletne zwycięstwo. Zakończenie to istnieje jednakże tylko w przekładzie niemieckim, w którym się książka najprzód ukazała. Publiczność angielska, biorąca gorący udział w losach wojny opisanej przez pana Le Queux, przeszkodziła temu pokonaniu Anglii na papierze. Wzburzenie umysłów dosięgło takiego stopnia i groźby czytelników „Daily Mail“ tak zastraszyły redakcyę, że volens nolens trze-

ba było zakończenie zmienić i skończyć tryumfem Anglii. Dzieło to o dwóch zakończeniach, jednym niemieckim (w przekładzie Traugotta Tamm'a) i drugim angielskim ma być przestrogą dla Anglii, aby sobie zbyt nie lekceważyła rosnącej z każdym dniem potęgi Niemiec. Strzeżcie się! oceniacie fałszywie siłę Niemiec na morzu — woła autor. A cóż będzie, jeżeli, zanim się zdołacie ustrzedz, Niemcy wylądują w Anglii jedną ze swoich wyćwiczonych armij, jedną z najlepszych armij w Europie? Wizya autora angielskiego pozbawiona jest poezyi, odznacza się za to ogromną dokładnością i zadziwiającą znajomością przedmiotu. Nie poeta to pisał, ale polityk, który miał zgoła inne cele niż piękno i harmonię artystyczną na względzie.

*

*

*

Pięknym poematem wojennym, wspaniałą epopcją, w której historia ujęta została w odpowiednie ramy, jest utwór historyczny wiedeńczyka Jakóba Wassermanna: „Aleksander w Babilonie.“ Wassermann, znany i ceniony twórca znakomitej „Renate Fuchs,“ dał nam w tym ostatnim utworze nowy dowód swego wyjątkowego talentu. Mamy przed sobą powieść historyczną traktowaną bardzo oryginalnie. Wizye zamierzczej przeszłości, oglądane z archeologiczną dokładnością Flauberta, ale okiem subtelnego malarza i wyrażone z poczuciem stylistycznym tak wielkiem, że utwór cały tworzy jakby jedną wspaniałe zharmonizowaną pieśń. Przytem tło historyczne i perspektywy dziejowe utracone zostały po mistrzowsku. Psychologia dziejów ludzkich tworzy jakby akompaniament polifoniczny do pieśni o samotności wielkiego człowieka. Tym wielkim, samotnym jest Aleksander Wielki, król macedoński i zdobywca świata, wódz wielkiego pochodu Europy na Wschód, gdzie w tajemniczych, potwornych objęciach Azyi tonie energia, przepadają siły zwycięzców greckich. Mamy wizję dwóch odrębnych światów: wschodniego i zachodniego, wizję chwili znamiennej, w której światy te dwa zdają się łączyć w uścisku konwulsyjnym, ażeby się znów na wieki rozpaść. Jedna z owych chwil dziejowych, które napęłniają serce nieokreślonym uczuciem lęku, wobec znikomości wszystkiego, co ludzkie.

Wcieleniem czarodziejskiej potęgi Wschodu jest w poemacie Wassermanna Babilon — leniwa, bogata stolica, tajemnicze serce Wschodu, którego samo imię wystarcza, aby zastępy Aleksandra wprawić w szal dzikich pożądliwości. Chwilę powrotu zwycięskich wojsk Aleksandra z wyprawy do Indyj i pochód przez pustynie perskie ku błogosławionym dolinom Eufratu i Tygrysa obiera poeta za punkt wyjścia dla swej epopei, która właściwie nie jest niczem innym, tylko krótkim względnie opisem (cała powieść obejmuje około 300 stron) tego pochodu, godów weselnych Aleksandra z córką nieszczęsnego Dariusza Statejra, przybycia do Babilonu, obchodu pogrzebowego na cześć Hefestiona, jedyne go przyjaciela i powiernika Aleksandra i tragicznej śmierci Aleksandra Wielkiego. Ale tak, jak Homer, opiewając gniew Achillesa daje nam cały obraz wojny trojańskiej, Wassermann nie poprzestaje na opisanie tego pochodu Aleksandra, lecz kreśli całą historię wypraw Aleksandra, odsłania i udostępnia tajniki jego wielkiego, samotnego żywota. Aleksander Wielki Wassermanna jest typem iście królewskim (główne zarysy portretu Plutarcha zostały zachowane), o pewnych cechach napoleońskich, typem imponującym majestatem swego ducha i wzbudzającym zarazem współczucie ludzkie przez swą samotność królewską i ową smutną świadomość podłości ludzkiej, która w całej swej nagości objawia się każdemu posiadającemu władzę. Obok Aleksandra uwydatnione są w powieści Wassermanna postacie Hefestiona, przyjaciela Aleksandra i brata przyrodniego króla Archideosa, w którym poeta stworzył kontrast wielkiego władcy. Słaby, nieudolny, marzyciel bez energii, bez zmysłu do pojmovania ludzi i świata, błąka się ta karykatura wielkości, jak cień, w ślad za swym wielkim bratem i pożądliwie wyciąga chude swe ręce po władzę. W chwili jednakże, gdy po nagłej śmierci Aleksandra, wśród zamętu i anarchii panującej w obozie macedończyków pożądana władza dostaje się wypadkowo w jego dłonie, widzimy, jak się pod ciężarem tym załamuje. Reszta osób powieści nie występuje poza rany obrazu.

Na pierwszy rzut oka powieść Wassermanna wykazuje rażące podobieństwo z Salambô Flauberta. Taż sama archeologiczna dokładność, toż samo mistrzowstwo w sposobie realistycznego odbudowywania z gruzów gmachów odwiecznych, też same do pewnego stopnia akcesorya. Zasadniczą różnicę stanowi styl obu twórców. Zamiast chłodnego, zupełnie nieosobistego stylu Flauberta mamy tutaj ton jakiejś przytłumionej, wschodniej namiętności, która ma w sobie coś biblijnego i Sienkiewiczowsko-

malowniczego zarazem. Proza Wassermanna o monotonnej, zadziwiająco pięknej melodyjności, która działa, jak szmer wodotrysku na podwórzu haremowym podczas upalnych popołudniowych godzin, przyczynia się w znacznej mierze do spotęgowania wrażenia tego poematu.

Dla przykładu przytaczam wyjątek z rozdziału o Babilonie.

„Tymczasem Charippos wędrował spokojnie przy boku Greka przez ulice i bramy, przez mosty i rozległe place. Posęp dążył z wielkim pośpiechem naprzód, nie oglądając się poza siebie. Mijali zamknięte świątynie, przed którymi stały olbrzymie ołtarze na lwich nogach, przecinali ulice szerokie, tak proste, jakby je kto cyrklem wymierzył. Odblask latarni, iluminacyj, pochodni i płonących pod gołym niebem ogni, odbijał się pysznie i fantastycznie na glazurze glinianych cegieł wysokich murów. Widzieli sterczące wieżycy, połyskujące w niepewnym, czerwonym świetle, jakby z mgieł zbudowane, pełne rzadkich upiększeń i dumnie-wysokie. Około pałaców przechodzili, skąd żaden głos nazewnątrz nie przesiąkał. Jakby we śnie stały olbrzymie budowle na przestronnych tarasach i lwy o twarzach ludzkich spoglądały na wspinające się węże z brązu — wszystko dziwnego życia pełne, pełne wszystkich potworności ruchu bez ruchu samego. Posągi z czarnego kamienia wyłaniały się w ponurym majestacie z ciemności. Były to wcielenia pra-mocy, z której twory w niemej walce się wyzwalały i miały oczy z kości słoniowej, ze złotymi źrenicami, a poza nieruchomym uśmiechem ich warg dumiała chytrze noc śmierci. Mijali wiszące ogrody, wznoszące się jak okiem sięgnął w swym przepychu palmowym, pełne kłębów z wawrzynu, złotonych kolumn; ciężkie zapachy, jakby dech obarczony tajemnicami, zwiewał ku nim słaby podmuch nocny i pieścizotliwie rozlegał się od czasu do czasu śpiew słowika.

„Z bijącym sercem wchłaniał Charippos wizję niespodzianą tego miasta...”

Ton taki zachowuje autor z niewzruszonym poczuciem stylu przez ciąg całego poematu, nawet w tak dramatycznych momentach, jak śmierć Aleksandra.

„Wtem, naraz — już dniało — głos jakiś krzyknął imię Aleksandra z wyrazem zdumienia i przerażenia. W swym przeraźliwym biegu dosięgnął Aleksander placu przed pałacem. Większa część tych, którzy go w tym stanie ujrzeni, poznała go dopiero wtedy, gdy głos ów się rozległ. Na domiar spostrzeżono biegnących Mediosa, Peithona i Eumenesa, którzy z wyczerpania i strachu zaledwie się na nogach utrzymać mogli. Najprzód żołdactwo

się rozstąpiło. Aleksander stał pośrodku, nie mogąc iść dalej. Zatoczył się, chwycił rękoma powietrze... Twarz jego była koloru siarki. Oczy tak płonęły, jakgdyby chciały wkrótce całe ciało pożreć i spalić. Macedończycy rzucili się ku niemu. Rozległy się okrzyki zwierzęce. Byłażto miłość, boleść? albo nienawiść, gniew? Może świadomość upokorzeń, których przez niego doznali? A może wspomnieli o wyrzniętych towarzyszach, o krwi serdecznej, którą on wylał? albo o życiu, pełnem fantastycznego przepychu i awanturycznej wielkości, do którego on im otworzył wrota? Czyliż była to chwila zemsty za to, że ich Azyi zaprzedał? Nie byliż w stanie znieść widoku jego niemocy, niemocy tego Aleksandra, którego jako syna Bożego czcili? Strach ich opanował przed jego śmiercią i gniew, że ich samych na pastwę losu pozostawiał w Babilonie? To nie byli ludzie. Rzucili się nań. Jedni opasali go ramionami, jakgdyby go całować chcieli, ale ramiona ich dusiły go tak, że oddech tracił. I runęli z nim na ziemię. Drudzy, pchani naprzód przez dziki tłum, deptali po jego ciele, po piersiach... Coraz bardziej bezprzytomni, chwycili go za ramiona, barki, włosy... Ze stu ran już krew broczyć poczęła, gdy naraz wycie jednego z oprzytomniałych wytrzeźwiło ich z szału.

„Nastąpiła śmiertelna cisza. Tłum się powoli rozstępował, krąg rozwarł się. Aleksander leżał tam, leżał, leżał... pan światła leżał tam!...“

*

*

*

Jednym z najmłodszych powieściopisarzy niemieckich, najbardziej dziś cenionych, narówni z Wassermannem, jest Tomasz Mann. Młody ten autor zadebiutował przed kilku laty na szerszej arenie powieścią swą „die Buddenbrocks,“ którą publiczność i krytyka przyjęła z prawdziwym entuzjazmem. Powieść ta o niezwykłych rozmiarach (1100 stron) opowiada dzieje trzech generacyj bogatej rodziny kupieckiej w Lubece; przytem na uwagę zasługuje nie architektonika tego kolosu powieściowego, który możnaby poniekąd nazwać nieforemny, ale niezmiernie barwny, oszlifowany styl i znakomita charakterystyka. Z drobiazgową miłością zatapia się poeta w szczegóły owego zasobnego życia,

które upływa wśród nieustannych zabiegów o dobra ziemskie, sutości obiadów, mgieł północnych i sztywnego, pełnego godności kupieckiej, ceremoniału. Rzeczowy, zolowsko-naturalistyczny ton jego opowieści łączy się korzystnie z subtelną domieszką ironii, która utworom Manna nadaje specjalną, bardzo charakterystyczną i interesującą fizyognomię. Tomasz Mann jest satyrykiem, ale satyra jego ma w sobie coś ze słowiańskiej dobroci Gogoła, tylko że łyzy, przez które się poeta uśmiecha, nie są tak obfite. To raczej mglista melancholia owych miast północnych, muskanych szarem skrzydłem morza; miast dostatnich, zamożnych, bogatych nawet, w których kupią się przedziwne bogactwa wszystkich stref i wytwory wszystkich kunsztów, w których jednakże dusza śpi snem ciężkim, a wesołość jest rzadkim gościem. Do takiego tła nadaje się zimno-lśniący połysk satyry o zatartych konturach, które nieznacznie zlewają się, giną w mgłach szarzyzny codziennej, jak blask latarni w rudyh mgłach londyńskich. Satyra Manna posiada też pewne podobieństwo do amerykańskich utworów tego rodzaju. Więcej w niej jednakże smutnej dobroci Bret Harta niż figlarności żonglerskiej Marka Twain'a. Wytworne poematy Manna zajmują pośrednie miejsce pomiędzy utworami satyrycznymi literatury rosyjskiej i amerykańskiej. W literaturze niemieckiej belletrystyczne utwory Manna zajmują stanowisko znamienne i charakterystyczne, jak to będą miał sposobność w dalszym ciągu mego sprawozdania wykazać. Najbardziej wartościowem dziełem Tomasza Manna jest zbiór nowel, wydanych pod tytułem „Tristan.“ W ostatnich czasach zwrócił się poeta do tematów zgoła innych, o czem świadczy wyszła niedawno trzyaktowa praca sceniczna „Fiorenza.“ Zwrot to podwójny: pod względem formy i pod względem treści—ale niekorzystny. Przedewszystkiem trzyaktowym tym obrazom scenicznym brak siły dramatycznej. Szczególniej pierwsze dwa akty przeładowane są do tego stopnia akcesoryami historyczno-artystycznymi, że nawet w czytaniu nużą. Na scenie muszą działać wprost usypiająco. Cóż nam potem, że Lorenzo dei Medici odtworzony został jak najwierniej, według portretu Vasarięgo w Uficyach, że Marsilio Ficino jest dokładną kopią pomnika, wykonanego przez Andrea Ferucci i znajdującego się w katedrze florenckiej, że filozof-humanista Angelo Poliziano ani na włos się nie różni od znanego wizerunku na medalu złotym, że wesoły i rubaszny Luigi Pulci, jakby żywcem wzięty jest z fresku znajdującego się w kaplicy Brancacci, że wytworny i zniewieściały Pico della Mirandola odpowiada portretowi w Uficyach, że Piero dei Medici jest zupełnie

takim, jakim go przedstawia biust Pollajnolo, znajdujący się w Bargello, że piękna, wyniosła kochanka Lorenza dei Medici Fiore łączy w sobie zalety dziewcząt Ghirlandaja z kaplicy Santa Maria Norella i portretów Boticellego pięknej Simonetty Vespucci, kochanki Giuliana dei Medici i Lukrecyi Tornabuoni z królewskiej galerii obrazów w Berlinie... Cóż nam potem?... kiedy portretom i posągom tym brak krwi, kiedy słowa ich zbyt często przypominają nam kroniki. Dopiero w ostatnim, trzecim akcie, ułoża Lorenza dei Medici, gdzie toczy się walka zapamiętała pomiędzy fanatycznym mnichem Savonarolą a umierającym protektorem pogańskiej joie de vivre Lorenzem dei Medici, doznajemy pierwszych dreszczów przejęcia. Są w tym trzecim akcie ustępy, które budzą nadzieje i oczekiwania, że zdolny autor poematów epickich i na deskach teatralnych zdobędzie z czasem powodzenie.

Szczytu swej dotychczasowej twórczości osiągnął Tomasz Mann w jednej z nowelek wydanych pod tytułem „Tristan.“ Jest to krótkie, pod względem stylistycznym świetne, fantastyczne opowiadanie o szafie (tytuł nowelki „Szafa“), w której młody podróżnik Albrecht van der Qualen znajduje co noc w obcym mieście cudną, młodą, zupełnie nagą postać kobiecą i słucha jej opowieści, cichym, melodyjnym głosem szeptanych. Mistrzostwo, z jakim poeta (ten jeden utwór już wystarcza, aby go tak nazwać) potrafił połączyć najzwyczajniejszą rzeczywistość z tem fantastycznym widzeniem dziewczyny w szafie, dokopać się w szarej powszedniości praźródła cudu przypomina żywo najlepsze momenty twórczości E. T. A. Hoffmanna, słynnego autora „Eliksirów dyabelskich,“ z którym wogóle Tomasz Mann posiada pewne pokrewieństwo duchowe. Łagodna, wytworna ironia Manna tworzy w połączeniu z ową fantastyką, noszącą specjalne północno-niemieckie zabarwienie, znakomicie zrównoważoną całość.

Dziś, w dobie odzicia poezji romantyka-realisty E. T. A. Hoffmanna, pokrewieństwo duchowe Manna posiada doniosłe znaczenie. Posiadamy coprawda znakomite utwory nowelistyczne tego rodzaju, napisane mistrzowską ręką Hoffmannsthal'a, i twórczość utalentowanego wiedeńczyka Ryszarda Schaukala przesiąknięta jest nawskroś duchem Hoffmannowskim, a cały zastęp młodych szuka nieustannie, idąc śladami E. T. A. Hoffmanna, łączników pomiędzy dzisiejszą trzeźwością, a światem romantyki, fantazyi. Pomimo tego poczyna Manna łącząca w oryginalny sposób ironię z fantastyką pokrewną Hoffmanowskiej, wzbogaca nutą zupełnie odrębną zdobycze tego całego zastępu twórców.

Wspominając o E. T. A. Hoffmannie, należy uczynić wzmiankę o jego najpierwszym komentatorze i heroldzie Grisebachu, którego niedawno w cichej, eleganckiej berlińskiej pracowni na Kurfürstendam zaskoczyła śmierć. Grisebach już od dłuższego czasu usunął się z areny wielkiego świata. Dzieł jego („Der Neue Tannhäuser,“ „Tannhäuser in Rom“), które niegdyś cieszyły się wielkim uznaniem, nikt dziś już nie czyta. Temperament jego markatowski, przed którym pokolenie ósmego lat dziesiątka było czołem, przestał imponować. Dziś trywialne utwory jego czynią wrażenie źle opowiedzianych przygód miłosnych filistra, jego nie dbała forma, niewolniczo trzymająca się wzorów Heinowskich i nigdy nawet w przybliżeniu nie dosięgająca piękności i naturalności pierwowzoru, działa na wysubtelnione poczucie estetyczne twórców dzisiejszych, jak świętokradztwo. Jedyłą zasługą Grisebacha, dającą rękojmię, że imię jego niezupełnie zostanie wymazane z dziejów literatury niemieckiej, jest praca nad wskrzeszeniem poezji E. T. A. Hoffmanna. Na tem polu krytycznem praca Grisebacha w połączeniu z usiłowaniami Hansa von Müllera i Ryszarda Schaukala, wydała plon obfity.

Pod względem talentu, polotu i siły najwięcej do Hoffmanna zbliżony jest, jako twórca, Ryszard Schaukal. Ryszard Schaukal jest jednym z najsubtelniejszych stylistów nowoczesnych. Poeta, którego liryka pod względem technicznym obejmuje całe ostatnie dziesięciolecie rozwoju niemieckiej poezji od pierwszych wpływów dekadentów, szczególnie Verlaine'a, aż do ostatnich konsekwencji szkoły Stefana George. Bystry psycholog, badacz tajników duszy ludzkiej, zimny na pozór, jak stal szabli damasceńskiej, niedostępny i ekscentryczny poeta ten posiada imponującą skalę uczucia, ukrytego pod lodem szyderstwa i realistycznej pozycji. Uczucie to, dotychczas nie wyzwolone, wre i kłębi się pod olbrzymim naciskiem jego stylizmu, ale coraz głośniejsze szmery i detonacya świadczą o zbliżaniu się chwili wybuchu. Ostatnie dzieła Schaukala: „Babunia“ (książka o „śmierci i konaniu“ poświęcona znanej poetce austriackiej baronowej Ebner von Eschenbach) i „Kapelmistrz Kreisler“ są wymownemi objawami tego wyzwalającego się uczucia. Przedewszystkiem „Kapelmistrz Kreisler.“ Z wielką miłością i zadziwiającą dokładnością stworzył Schaukal w dziele tem portret swego poprzednika Hoffmanna vel kapelmistrza Kreislera (nazwiska tego używał również Hoffmann, jako pseudonimu). Portret łączy umiejętnie rysy charakterystyczne obu poetów. W tej spowiedzi artystycznej, pełnej szalone-

go entuzjazmu i wprost fanatycznego uwielbienia piękna i sztuki, dosięga Schaukal poraż pierwszy szczytów, przekracza wał lodowy stylizmu. Duże piękności zawiera również „Babunia.“

*

*

*

Równocześnie prawie z temi dwoma utworami Schaukala ukazało się dzieło innego wiedeńczyka, które w świecie artystycznym wywołało cały huragan oburzeń i napaści. Mam na myśli „Prodromos“ Piotra Altenberga. Dziełem tem zrobił Altenberg niemalą niespodziankę swym wielbicielom i przeciwnikom. Subtelny poeta, malarz miniaturowych wycinków z życia (Wie ich es sehe, „Was der Tag mir zuträgt“) przedzierzgnął się nagle w rzeczownika higieny. Prodromos jest nowożytną dyetetyką, przyobleczoną w formę aforystyczną. Czy utwór ten można nazwać wogóle dziełem sztuki? Łatwiej chyba odpowiedzieć na to pytanie przecząco, pomimo, że budowa, zestawiona bardzo misternie z drobnej mozaiki trafnych spostrzeżeń, robi wrażenie obmyślanej i z finezyją wykonanej pracy. Aforyzmy łączą się, splatają w jedną nieprzerwaną girlandę myśli, mają swój rytm specjalny, swoje crescendo i diminuenda—swój styl. Ale treść!... treść!...

Dotychczas nikt jeszcze nie pokusił się o to na seryo, aby pisać ody na cześć Tamar Indien Grillon, Cascara Sagra, Vinum Conduzango, pasty do zębów, przepisów kulinarnych, rosółów z kury, francuskich serów śmietankowych, masażu wibracyjnego i t. p. Pomimo niezwykłej erudycyi stylisty Altenberga dziedzi-
na ta nie da się zdobyć dla sztuki i książki jego nie można nazwać utworem arcyzmu. Patrząc jednakże na Prodromos z innego punktu widzenia, niepodobna odmówić mu doniosłego znaczenia. W naszej dobie walk o nowy wyraz, nowy styl, o przepełnienie całego życia pięknem i harmonią, winniśmy równocześnie pamiętać o potrzebach cielesnych. Altenberg zdołał w Prodromos ująć wszystkie te potrzeby cielesne nowoczesnego człowieka w zupełnie nową, niezwykle jędrną i charakterystyczną formę. Książka ta jest napomnieniem zarazem i pobudką. Prawdziwa kultura jest jedynie możliwa na zdrowej podstawie cielesnej, o którą dbać powinniśmy. Mens sana in corpore sano! Ale w jaki sposób osiągnąć to zdrowie cielesne? Dyetetyka przodków naszych nie na-

daje się dla dzisiejszej, bardziej wysultelnionej, nerwowej konstytucji. Owe dawne, prymitywne środki domowe, systemy hartowania się, owo rozrzutne szafowanie olbrzymimi zasobami sił odziedziczonych, ustąpić musi rozumnej, intensywnej gospodarce. System trypolowy przeżył się. Musimy się uciec do bardziej skomplikowanego płodozmianu. Plan tego płodozmianu szkicuje Altenberg. Chodzi tu przede wszystkim o uduchownienie wszystkich funkcji cielesnych. Ciało powinno być drogocennem, starannie pielęgnowanem naczyniem ducha, maszyneryą, która przy możliwie małym natężeniu sił, możliwie wysokie osiąga rezultaty. Nie dlatego, aby rdzewieć w bezczynności, ale dlatego, aby przy całym naprężeniu sił mózg osiągnąć rzeczy dotychczas niedościgłe. „Kulawemu pomagać chodzić?!? Nie, chodzącemu do lotu dać siły!“—woła Altenberg. Nie w alkoholu, morfinie, haszyszu, nikotynie, opium leżą siły pomocnicze ducha, który w swem nieustannem dążeniu naprzód ciągle kształtuje skorupę człowieczą, czyniąc ją coraz podatniejszą swojej woli, nie przez sataniczne wyniszczanie ciała (materyi), przez histeryczne głodzenie instynktów i epileptyczne ekstazy słowiane osiągnąć można doskonałość! Nie zdobędą jej również ci, którzy myślą, że suty obiad, nadprogramowa doza snu i bezczynności potęguje energie życiowe. Jeszcze nikt nie zdobył nagrody, jako atleta, kto się stale i odpowiednio nie ćwiczył i mięśniów w należyty sposób nie rozwijał. Każdy cel wymaga systematycznej, wysiłonej pracy. Siły wołu nie przyswoimy sobie przez to, że go całego połknjemy, gdyż, jak słusznie powiada Altenberg: „On ne vit pas de ce qu'on mange, on vit de ce qu'on digère.“ W jaki sposób najkorzystniej, najintensywniej, a równocześnie najbardziej racjonalnie, prowadzić taką gospodarkę sił fizycznych, stara się Altenberg w *Prodromos* dobitnie wytłómaczyć. Dzieło to, które autor nazwał próbą fizjologicznej romantyki, zasługuje na jaknajszersze rozprzestrzenienie, jako bardzo pocieszający objaw w naszych do pewnego stopnia nerwowo przeczulonych, a cielesnie jeszcze nawpół chorych czasach.

*

*

*

W sprawozdaniu mojem w zeszycie lutowym Biblioteki, pisząc o grupie południowo-niemieckich poetów, pomiędzy którymi Hermann Hesse i Edward Straus zajmują najwybitniejsze miejsce, wspomniałem pobieżnie o Ludwiku Finklu, którego debiut pierwszy uwiecznony został dużem powodzeniem. Ludwik Finkh wystąpił na początku roku bieżącego w sposób sensacyjny, odrazu aż z trzema dziełami: z dwoma tomami poezyj „Róże“ i „Biskra,“ przypominającemi w charakterze wdzięczną poezję miłosną Bierbauma, znacznie jednakże pogłębioną, i z powieścią „Der Rosen-doktor.“ Powieść ta, poświęcona Hermanowi Hessemu, czyni wrażenie wyznań autobiograficznych. Niektóre z poezyj, zawartych w zbiorze poezyj „Róże,“ przeplatają treść opowiadania, w którym postać przypominająca bohatera słynnej powieści Hessego „Piotr Camenzind“ odgrywa znamienne rolę i ilustruje widocznie wzajemny stosunek obu autorów. Pozatem łączą oba utwory liczne analogie formalne. Powieść Finkha zwraca na siebie uwagę tonem słonecznej pogody i wielkiego umiłowania. Można ją nazwać wielką pieśnią pochwalną na cześć życia i na cześć... kobiety. Uwielbienie to dla rodu kobiecego w naszym wieku bezwzględnej otwartości działa jak anachronizm, przyczyniło się jednakże w wysokim stopniu do powodzenia tego bardzo miłego i świeżego poematu prozą. Porównywano autora i nie bez słuszności, do owego trubadura średniowiecznego (zwanego „Frauenlob“), którego grobowiec znajduje się w jednym z kruczków prastarej katedry mogunckiej i którego trumnę słynne z piękności obywatelki Moguncyi same zanosły na miejsce wiecznego odpoczynku—z wdzięczności.

Czy kobiety dzisiejsze okazałyby się równie wdzięcznymi, jak owe średniowieczne obywatelki Moguncyi, jest rzeczą bardzo wątpliwą.

Na nowożytnę, niezależne kobiety zbyt gorące, przesadne pochwały i różowe uogólnienia Finkha nie wywarły zapewne wrażenia, zobowiązującego do wdzięczności, a owe inne, których zapatrywania nie różnią się wiele od zapatrywań średniowiecznych obywaterek Moguncyi, czytają niewątpliwie z przyjemnością tak piękne, serdeczne wyznania, ale czyżby im mogły wierzyć, wobec nieubłaganej bezwzględności życia dzisiejszego?

Bądź co bądź, młody autor, pomimo całego swego różowego optymizmu, który pachnie wiosną, sprawia i na bardziej krytycznie usposobionym czytelniku wrażenie niezwykle sympatyczne. W poezjach tych, pełnych zapachu róż, na stronicach powieści tej, opiewającej w tonie źródlanej świeżości, dzieje serca, przepelnionego

po brzegi miłością, historię młdzieńca, który głód cierpi, aby ukochanej róże kupować i w końcu dla szczęścia jej i przyjaciela wyrzeka się swoich starszych praw, brzmi taka szczera miłość życia, taka czystość uczucia i dobroć, że nie podobna nie polubić autora. Z czasem, gdy niebezpieczne uogólnienia ustąpią miejsca obserwacyom chłodniejszym, gdy autor nauczy się uczucia swoje trzymać w korbach — o, bo jakiegoż panowania nad sobą trzeba dla namiętności, aby się stała twórczą! — a pomimo tego zachowa swą teraźniejszą szlachetność, można będzie po Ludwiku Finckhu spodziewać się rzeczy znacznie jeszcze lepszych.

*

*

*

Śmierć jest jednym z najpewniejszych mierników wielkości ludzkiej. Wielkie duchy urastają po śmierci do rozmiarów olbrzymich, a małe nikną, kurczą, ulatniają się. Chcąc dziś np. skonstruować postacie Goethego, Mickiewicza, Słowackiego i nadając im ciała, odpowiadające ich dzisiejszej wielkości, ich dzisiejszemu znaczeniu, trzeba by było stworzyć olbrzymów, sięgających czołami dumnymi chmur. Takich rozmiarów dosięgła w oczach potomstwa ich prawdziwa wielkość! Jednym z tych, których śmierć powiększyła, jest Fryderyk Nietzsche. Dotychczas postać jego rosła nieustannie. Każda nowa publikacja z weimarskich archiwów filozofa-poety była nowym przyczynkiem do jego sławy. Spory snop światła na ostatnie lata życia Nietzschego rzuciło kilka nowych publikacyj.

Przedewszystkiem zasługuje na uwagę korespondencya Nietzschego, której tom trzeci wyszedł z druku. Ciekawe są również pamiętniki przyjaciela Nietzschego, profesora Overbecka, oraz krótka korespondencya jego z kompozytorem Piotrem Gastem, w której zawarty jest dokładny opis historyi obłądzenia Nietzschego.

Ostatni tom korespondencyj daje nam poznać w całej pełni wielką samotność filozofa. Z każdego niemal wiersza jego listów wygląda widmo samotności. Samotny był, napróżno ręka jego szukała dłoni przyjaciela, napróżno rozsyłał pisma swe, rzucał krwawe ochłapy serca do nóg tym, których uważał za zdolnych do pojęcia i zrozumienia go. Nikt nie przychodził. Przeciwnie, osamotnienie stawało się coraz większe. Stosunek i wymiana my-

śli z ulubionym nauczycielem, Fryderykiem Rietschlem, zostały przerwane od czasu wystąpienia ucznia w obronie Ryszarda Wagnera i jego sztuki, i nawet później, gdy Nietzsche, zwróciwszy się do pozytywizmu, oddalił się od Wagnera, na nowo nawiązany stosunek z Rietschlem nie powrócił do dawnej zażyłości. Różnica wieku i zapatrywań zbyt już była wielka.

Za jednego z najbliższych przyjaciół Nietzschego uchodził Jakób Burckhardt, profesor historii przy uniwersytecie w Bazylei, długoletni kolega Nietzschego i autor znanej „Historii odrodzenia we Włoszech.“ Czytając jego chłodne, prawie ceremonialne odpowiedzi na pełne wylania listy Nietzschego, widzimy, że i w tym stosunku wielki samotnik łudził się potężnie co do uczuć swego otoczenia. Dość zagłębić się w ton listów Burckhardta. Każdy nosi niezatarte ślady wielokrotnych poprawek, dobierania słów, pełen jest ogólników mało mówiących i nieszczerych. Pomimo tego przenikliwy psycholog i świetny stylista Nietzsche nazywa Burckhardta jednym ze swych najlepszych czytelników. „Jedno słówko odpowiedzi ze strony Pańskiej uczyniłoby mnie szczęśliwym“ pisze Nietzsche w jesieni z Turynu, na kilka miesięcy za ledwie przed katastrofą. Ale napomnienie to, do którego dołączone było ostatnie dzieło Nietzschego: „Der Fall Wagner“ i poprzedni przed rokiem pisany list, towarzyszący przesyłce „Genealogii Moralności“ pozostały niestety bez odpowiedzi, ponieważ Burckhardt, jak sam potem wyznał siostrze Nietzschego, pism tych nie zrozumiał. Odpowiedzi Burckhardta na poprzednie przesyłki dzieł Nietzschego działają dziwnie. O „Wiedzy radosnej“ pisze: „Wogóle obawiam się, że wiele z tego, co Pan pisze (a może nawet najlepsza część) przechodzi zdolności mojej starej głowy;“ o „Zaratustrze:“ „przekonałem się teraz, jak powierzchownie traktowałem rzeczy przez cały ciąg mego życia,“ o „Poza Dobrem i Złem:“ „przecenia Pan stanowczo moje zdolności...“ Wszystko to brzmi bardzo pochlebnie dla Nietzschego, ale niezbyt pocieszająco ze względu na przyjacielską wymianę myśli; kto tak pisze, nie jest w stanie być współczującym i współrozumiejącym towarzysza, a o takich przecież Nietzschemu przedewszystkiem chodziło.

„Dwóch mam tylko czytelników, pisze Nietzsche w liście swym do Burckhardta, Pana i Pańskiego zwolennika i wielbiciela we Francyi, Hipolita Taine'a. Proszę mi nie brać za złe, że czasami na pocieszenie mówię sobie: dotychczas mam dwóch czytelników, ale jakich!“ Listy Taine'a, pisane w tonie ugrzecznionym, nie wychodzą poza granice zwykłych formalności. Za każde otrzymane dzieło (Nietzsche wysyłał mu regularnie ukazujące się w dru-

ku prace swe) dziękuje uprzejmie, dotykając bardzo zlekka treści. O głębszem wnikięciu w idee Nietzschego mowy być nie może.

Korespondencya z młodym, obiecującym, przedwcześnie zmarłym filozofem, baronem Henrykiem von Stein (Stein napisał jako 20-to letni młodzieniec dzieło filozoficzne: „*Idealy Materyalizmu. Filozofia liryczna Armanda Pensier*“), który miał dużo pokrewieństwa duchowego z Nietzschem i był, o ile sądzić można, jakby stworzony na ucznia Nietzschego, nacechowana jest takim tragizmem, tak wstrząsający nam przedstawia obraz samotnika z Sils Maria, że niepodobna jej czytać bez wzruszenia. Szczególniej ów list Nietzschego napisany po bytności Steina w Sils Maria, gdzie Nietzsche stale w lecie mieszkał i zawierający w formie poetycznej ukryte zaproszenie do wspólnej pracy dla wspólnego ideału, jest wcieleniem owej nieobjętej, przepastnej, nigdy nie zaspokojonej tęsknoty za przyjaźnią i zrozumieniem ludzkim, która bywa zazwyczaj udziałem wszystkich wielkich samotników, tutaj na ziemi.

Oh Lebens Mittag! Feierliche Zeit!

Oh Sommer-Garten!

Unruhig Glück im Stehn und Spähn und Warten!

Der Freunde harr'ich Tag und Nacht bereit:

Wo bleibt ihr Freunde? Kommt! S'ist Zeit! S'ist Zeit!

etc. etc.

(Południe życia! Godzino świąteczna! Ogrodzie w przepychu letniej piękności! Szczęście niespokojne czekania i wyglądana! Na przyjaciół czekam dnie i noce całe. O, gdzież jesteście? Chodźcie! Czas już, czas! i t. d.)

I jakaż była odpowiedź Steina na to tak serdeczne, doniosłe zaproszenie? „Na taką odezwę, szanowny przyjacielu, pozostaje tylko jedna odpowiedź: przyjechać, poświęcić się w zupełności, jako najszlachetniejszemu zawodowi, pracy nad zrozumieniem tego, co Pan masz do powiedzenia. Tego niestety nie mogę. Przyszła mi jednakże inna myśl do głowy: raz na tydzień schodzę się z dwoma przyjaciółmi dla czytania ustępów z leksykonu Wagnerowskiego...“ i w związku z opisem tego stowarzyszenia ośmiela się młodociany „przyjaciel“ zaproponować mistrzowi udział listowny w tych błahych dyskusyach trzech niedojrzałych, zapalonych wagneryanów. Ironia losu! Na korzyść Steina należy nadmienić, że podróż jego z Beyreutu do Sils Maria połączona była z misją tajną nawiązania nowych stosunków pomiędzy Wagnerem i Nietzschem. Prawdopodobnie już wówczas (w sierpniu 1884 r.) prze-

konął się jednak, że to nie było rzeczą łatwą i, oddawszy się czarowi obcowania z Nietzschem, misję swą odłożył na później. Powyżej cytowany list musiał być widocznie próbą spełnienia wziętego na się w Beyreucie zobowiązania, bądź co bądź bardzo nieżyczną i niestosowną.

Jedynym punktem jaśniejszym w stosunku do świata zewnętrznego w ostatnich latach samotności Nietzschego była ożywiona wymiana listów z Jerzym Brandesem, która bez przerwy trwała przez rok cały od 20 listopada 1887 r., do 23 listopada 1888 roku, t. j. do chwili zachorowania Nietzschego. Brandes był wówczas jedynym (wyjąwszy Piotra Gasta) człowiekiem, który się tak żywo zainteresował twórczością Nietzschego i o ile możliwości starał się nie tylko wnikać w ducha jego filozofii, ale odczytać swemi i studjami literackimi przyczynił się niemało do zwrócenia nań uwagi szerszych kół.

„Tak lekko, dobrze, silnie się teraz czuję, pisze Nietzsche do Brandesa w maju 1888 r. z Turynu, że najpoważniejszym rzeczom nawet przyczepiam mały ogonek błazeństwa. Skąd się to wszystko wzięło? Czy to przypadkiem nie są dobre *wiatry północne*, którym to wszystko mam do zawdzięczenia. Te wiatry północne, które nie zawsze z Alp wieją? bo czasami aż z Kopenhagi!...

Brandes też po zachorowaniu Nietzschego był pierwszym, który w przychylny sposób odezwał się o nieznanym filozofie w prasie niemieckiej.

Korespondencya z Brandesem była może wówczas, w tym okresie zupełnego osamotnienia, jedynym miłym łącznikiem Nietzschego ze światem, gdyż nawet długoletni stosunek zażyłości do szlachetnej i dobrej, ale na punkcie kultu Wagnera zaslepionej starej przyjaciółki Malwiny von Maysenbug (korespondencya z nią zajmuje prawie połowę około 300 stroniec trzeciego tomu) uległ był wówczas raptownej zmianie pod wpływem wystąpienia Nietzschego przeciw Wagnerowi. Nawet ukochana siostra Nietzschego, Elżbieta Förster, która później tak znamienne rolę grała podczas dalszego przebiegu choroby brata, jako jego opiekunka i wydawczyni jego dzieł pośmiertnych (Elżbieta Förster wydała również korespondencyę Nietzschego) bardzo rzadkie dawała wówczas znaki życia z Ameryki południowej, gdzie z mężem swoim dłuższy czas bawiła.

Sam był! I to w chwili najwyższego natężenia duchowego, bajecznej, getowsko jasnej twórczości i przygotowywania się do głównego dzieła swego życia „Umwertung aller Werte“ (Przeszacowanie wszystkich wartości), którego fragmenty imponujące przeje-

mują dzisiejszego czytelnika żalem i smutkiem. W samotności tej w mieszkaniu właściciela kiosku dla sprzedaży gazet w Turynie, u którego Nietzsche w ostatnich czasach swej świadomości ziemskiej mieszkał, otworzyła mu się naraz przepaść obłądu.

Nagły obłąd Nietzschego był z początku w rękach przeciwników silnym argumentem przeciw jego filozofii. Argumentem tym straszili „maluczkiem duchem.“ Z drugiej strony jednak sensacja, którą wywołali, przyczyniła się jakby na złość ich zamiarom, do nieoczekiwanej popularności Nietzschego, która, jak dziś widzimy, była śmiesznym nieporozumieniem.

Na ostatni akt tragedii życia Nietzschego rzuca jaskrawe światło korespondencya przyjaznego Nietzschemu profesora Overbecka, z wielbicielem Nietzschego, kompozytorem Henrykiem von Köselitz, którego znany z pism Nietzschego pod pseudonimem Piotra Gasta. Overbeck na zasadzie kilku listów Nietzschego, bardzo niepokojącej treści, postanowił niezwłocznie udać się do Turynu w celu zapobieżenia skandalowi i, przyjechawszy już za późno, zajął się przewiezieniem chorego do Bazylei, gdzie go tymczasem unieszczone w domu obłąkanych. Korespondencya ta obejmuje okres 14-tu miesięcy, od stycznia 1889 do marca 1890 r. t. j. od zachorowania Nietzschego do przewiezienia go z zakładu do mieszkania prywatnego matki i zawiera wstrząsające szczegóły i opisy „zmiernych bohatera myśli.“

Opublikowanie tych niezmiernie ważnych dokumentów wraz z pamiętnikami niedawno zmarłego profesora Overbecka zawdzięczamy redakcyi wybitnego miesięcznika „Neue Rundschau.“

Obłąd Nietzschego nie był dziedziczną chorobą, ale jak to teraz z zupełną dokładnością widzimy, wynikiem jego szalonej pracy, środków sztucznych, których używał przeciw bezsenności, samotności i przedewszystkiem jego bezwzględnej autoanalizy. Analizy, którą z całą bezwzględnością badacza filozof stosował względem samego siebie i która stała się głównym źródłem niebezpieczeństwa i w końcu zgubą jego. Obłąd Nietzschego nie był przypadkiem, ale koniecznym, naturalnym wynikiem jego filozofii, a nie filozofia jego wynikiem jakoby obłądnych instynktów! — Dlatego słusznie można go nazwać męczennikiem i bohaterem własnej idei, nowożytnym wcieleniem tęsknoty Prometeuszowej, która w walce zapamiętałej o światło wiedzy, poznania, o sens bytu stoczyła się w przepaści wiecznej nocy.

W jednym ze swoich aforyzmów stawia Nietzsche pytanie, czy badacz byłby w stanie popełnić zbrodnię jedynie dla wiedzy. Zbrodnię tę i to w dodatku względem siebie samego, popełnił Nie-

tzsche, ale sposób w jaki ją popełnił i cele, dla których tak postąpił, rozgrzeszają go. „Życie Nietzschego uczy nas osądzać sprawiedliwie koniec jego, cenić go, jako godne zakończenie”—pisze Overbeck w swoich pamiętnikach.

Pamiętniki Overbecka poświęcone są wyłącznie Nietzschemu. Znajdujemy tam sporo ciekawych i bardzo trafnych spostrzeżeń, dotyczących osoby i filozofii Nietzschego, oryginalne porównania krytyczne i zestawienia pomiędzy Nietzschem, Pascalem, Legardem, Herderem, Proudhonem, Russem i Stirnerem, analizę stosunku Nietzschego do chrześcijaństwa, antysemityzmu i moralności, krytykę idei o nadczłowieczeństwie i wiecznym kole powrotu wszechrzeczy, hipotezy o podwójnej moralności: moralności władców i niewolników. Błędem jest mniemanie Overbecka, że Nietzsche nie posiadał dostatecznych zdolności artystycznych na twórcę i usiłowanie zakwestyonowania wszelkich śladów polskości w jego charakterze i sposobie myślenia. Overbeck nazywa sympatyje polskie Nietzschego fantastycznymi mrzonkami, zapominając o tem, że tak silne sympatyje same przez się są już dowodem. Pamiętniki Overbecka przedstawiają nam jednego z tych ścisłych, zawsze trzeźwych i sceptycznych pozytywistów z drugiej połowy XIX wieku, którym brak najważniejszych danych do zrozumienia rzeczywistej wartości Nietzschego. Pomimo uznania i przyjaźni nawet, żaden z nich nie był w stanie podnieść się na wyżyny współtwórczości duchowej z poetą-filozofem. Fakt, nad którym Nietzsche sam bolał najwięcej, i który w znacznej mierze przyczynił się do osamotnienia ostatnich coraz bardziej natchnionych lat jego życia. Wszystkie umysły w Niemczech o instynktach optymistycznych, twórczych znajdowały się wówczas jeszcze pod czarem wielkiego czarownika Wagnera. Oto treść ostatniego aktu w tragicznej walce dwóch bratnich duchów, której epilog dają dziś: siostra Nietzschego Elżbieta Förster-Nietzsche, opiekuńczy duch archiwum Nietzschego w Weimarze i ¹⁾ genialna kierowniczką przedstawień teatralnych w świątyni sztuki w Bayreucie.

JAN KACZKOWSKI.

¹⁾ Cosima Wagner, żona Ryszarda Wagner.

ROZMAITOŚCI.

TEMPUS EDAX?

(Kilka kartek ze szkicownika).

Znacie może bajkę o tajemniczych skarbach, co leżą w dalekiej krainie, przy wielkim ruchliwym gościńcu, niczem nie zakryte a przez nikogo nie naruszane?

Bajka mówi, że przechodnie idą mimo i nie dostrzegają niczego. Trudną jest sztuka dojrzenia ich wśród pospolitego otoczenia. Wymaga ona sporego nakładu pracy, a zresztą udaje się tylko tym szczęśliwcom, którym już przy urodzeniu dobra wróżka-feja nałożyła na oczy przejrzystą opaskę-niewidkę, z cudownego utkaną muślinu.

Bajkę rozumie każdy i każdy wie, o czym ona prawi, bo skarbów podobnych mamy wiele. Jest jednak wśród nich jeden, lepiej może od innych oczarowany. Ci, co go znają, mówią o nim stanowczo zamało. Nie zawsze zresztą z winy samolubstwa. Wrażenia, jakie na widok jego doznajemy, nie są łatwe do opisania, jak wszystko, co się dzieje wśród milczenia. Jak każda impresya przelotnymi są ptakami.

.....
Spróbujmy jednego z nich zatrzymać.....
.....

Zbocze zachodnie Wawelu; partya „na Rybakach,” w mroźny, pogodny poranek grudniowy.

Zdala zaśnieżone, miękkie zarysy pogórza, wokół spokój pól wydłużonych,—bliżej szmat rzeki wечно przelewającej swe wody.

W tem otoczeniu i na tem tle biją w oczy dwie jasne dzwaczne plamy: mniejsza pomidorowo-ceglasta,—większa kremowa; obie pokrzywionymi konturami mocno podkreślone i ujęte. To dwa staroświeckie dworki, o skromnym, ale wdzięcznym baroku zbudowane,—jeden z resztą ornamentów i z wystającą podsibitką — drugi z lekkim ryzalitem i z wielkim, podwójnym, załamany dachem.

Z im większą wpatrywałeś się uwagą, tem silniej pociągał cię osobliwy tej grupy charakter.

Wszystkie linie, wszystkie krawędzie, gzemsy czy żłobkowania porzuciły więzy przez człowieka im narzucone, wszelką regularność, kierunek jednolity, wszelki związek z libelką. Ogarnęło je lekkie drganie. Każda falowała w biegu.

I szczególniejszy domek niższy przechodził cały pod rozkazy pana nowego. Wielka siła podziemna w dół go ciągnęła. Zapadał się bokiem, chylił i węgły rozluźniał. I stał tak, oparty o dworek piętrowy — stał w tych niedbałych liniach, doskonale zestrojony z całym otoczeniem, nawet z pobliską niesformą gromadką chochołów-karzełków, cichy — rzekłbyś — spokojnie uśmiechnięty do jasnej, delikatnej tarczy słońca porannego.

„Przystałem być, ja i mój sąsiad — mówił — tworem rąk ludzkich wyłącznie. Nie im zawdzięczamy nasz wdzięk nowy. Stajemy się czemś więcej, synami natury. Siły jej krążą już w całym naszym organizmie. Rozmiłowana w nieskończonem bogactwie kształtów, wypiera ona styl człowieka i ubiera nas w styl własny. Od niej to mamy tę rozmaitość linii. Nawet cerę zmieniamy...“

I był urok wielki w tem przechodzeniu domków pod wielkie, nieśmiertelne żywotne prawa przyrody.

*

*

*

Kto naturę czei prawdziwie, kto wie, jakie sympozyon gotuje ona tym, co z pokorą wnikają, wczuwają się w jej majestatyczną duszę, ten uraduje się widząc, że przecież wbrew wyobrażeniu ogółu, władza jej nie kończy się tam, gdzie przyszedł człowiek ze swą sztywną miarą murarską. Natura nie daruje banalnym budowlom ich beznadziejnie sztywnych, nudnych i kanciastych

linij. Zmięczy je i zetrze ich twardość, a złagodzi tony barw brutalne. Zaś gdy napotka prawdziwego artystę, podaje mu dłoń przyjazną i wtedy nad dziełem jego rozgrywa się misteryum cudowne. Zwykły przechodeń nie zwraca na nie uwagi, bo jak wszystkie dawne misterya, trwa ono długo i odbywa się w uroczystym spokoju.

Mówimy wtedy o patynie, ale czy, przeciętnie biorąc, nie za mało zwracamy uwagi na piękno nieskończone tego zjawiska, na skomplikowaną jego organizację, na nieprzerwaną jego ciągłość i zakres rozległy?

Największą popularność zdobyła sobie patyna rzeźb, delikatna, woskowa powłoka marmurów i zieleń bronzów-antyków. Dlaczego jednak ta właśnie ma prym trzymać? ¹⁾ Przyroda tworzy może piękniejsze jeszcze cuda.

Ogarnij wzrokiem całość miast starych, ot naprzykład, małych, stylowych miasteczek niemieckich, szczęśliwie ustrzeżonych przed ręką przesadnie restaurujących drapinurków wielkomiejskich. Na wszystkim tkwi jakby opar misterny, rozsnuty wszędzie, przejrzysty a jednak przyćmiewający koloryt dawniej krzykliwy. Mimo niewyczerpanej rozmaitości odcieni, wszystko sprowadzone do prześlicznego, wspólnego, jakby pastelowego, zasniedzkiego tonu.

To znów Jej dzieło.

Na prastarej wieży ciosowej, zwiesza zimne, popielato-czarne smugi, uwydatniające srebrzystą biel południowej ściany; — odwieczne dachy gontowe powleka różnorodną polichromią, raz szorstką, raz pluszową, podobną kręgom barw na powłoce wód zaspanych, błotnych; — tynk długich ścian i murów obleka w dziwny woal smutku, w opońę zmurszałą, w szatę zgrzybiałych a ponurych starców...

Spojrzyj na ów barokowy pałacyk! Tu znów dachówka przepojona głębokim tonem wiśniowym; linie portalów i krawędzie facjaty wprawione w owo cudowne leciuchne drganie; — dekoracyjne figury nabierają coraz grymaśniejszego wyrazu i ruchu. Stoją stare amorki, w szarzielonych czepeach z narośli, z płachtami plamistemi na ramionach...

¹⁾ Nawiasem można dodać, że tendeneya do zamglonych linij w nowocześniejszej rzeźbie (Rosso, Rodin i w. in.) da się między innymi przedstawić także, jako naśladowanie i uprzedzanie efektów, jakie czas, przyroda, z biegiem lat wprowadza.

Któż zdoła zliczyć i opisać te tysiączne pomysły przyrody? Cała skala nastrojów i uczuć przebiega jej dzieła. Szczytem skali jest może ów jasny uśmiech, jakim zakwitają białe, zwietrzałe, utracone szkarpy i pinakle gotyckie. Dziwne wesele wśród ruiny.

.....

To też niema nic nieznośniejszego nad „święte“ oburzenie, z jakim pewna grupa ludzi, patrząc na te rzeczy, mówi o nieporządku, o brudzie, o niedbałości. Wprowadź znawcę tego gatunku np. do Stephansdomu we Wiedniu i pokaż mu pomnik Fryderyka III-go. Pokaż mu te zakurzone lwy-antropidy, małpo-żaby, węże, psy rogate, kruki i krogulce, wszystkie te potwory, co tam w dole szczerzą na się zęby, wytrzeszczają ślepie, wzajemnie kąsają się i wiją w dziwnej procesyi, wśród czaszek ludzkich za balustradą grobowca. Nasz kochany towarzysz będzie się przede-wszystkiem gniewał na służbę kościelną, za jej niedbalstwo, za ten pył, który na wszystkim spoczywa i nie pozwala mu — jak mówi—widzieć to wszystko „dokładniej.“ Nie rozumie biedak, że ten fantastyczny wieniec straciłby połowę swego widziadłowego charakteru, gdyby się z niego starło wiekowy kurz białawy, co, odrzynając ostro tylko kudły zwierząt, stapia tło ze straszdyłami, powleka miękką błoną ich cielska i lędźwie, nietoperzowe skrzydła na jaszczurczych grzbietach.

Ale z ludźmi owymi niema co długo rozprawiać, bo gdziekolwiek się znajdują, będą zawsze niepoprawni. Zachowają się tak, jak pewien „turysta,“ którego podczas wakacyi poznałem. Dużo opowiadał on o swych dla natury afektach, a celował w zajmowaniu praktycznego względem niej stanowiska. Znaleźliśmy się raz pod wieczór w wielkim wąwozie górskim. Zmrok zapadał, chmurno było i mglisto, świeżo po deszczu; ale zato partye i widoki mieliśmy niezwykłe.

Pamiętam do dziś te mgiełki-obłoczki, wałęsające się nie-dbale lub opadłe sennie na aksamitne, ponure, nieprzeniknione zastępy smereków. Nad nimi bastiony skalne, zimne, nagie, w ła-
chmanach z chaszczów i kęp krzaczastych — zmoczone. A wszyst-
ko przetkane delikatnie wibrującym oparem mglistym. — Cisza. —
Chwilani tylko daleki śpiew pastuchów — dzikie, gardłowe, ury-
wane zawołanie...

Nasz znajomy odczuł to wszystko i pojął doskonale! Całą drogę tłumaczył towarzyszom, że widok byłby o wiele ładniejszy,

gdyby mgły nie było, — że teraz jest błoto, że mu palto wilgocią przejdzie... (Trwożliwszych uspokajam, że kataru nie dostał).

.

Złe byłoby, gdybyśmy gwoli malowniczości zostawili nie-
tknięte wszystkie zniszczone budynki, pozwalali murom wy-
brzuszać się, a tynkowi czy cegłom spadać na głowy przechod-
niów. Ale czyż przy odnawianiu starych budowli, tak u nas,
jak zagranicą, *nie zamato* trzymano się dotąd nowszego prądu
w tej dziedzinie, który każe jaknajmniej „czyścić“ i wymieniać,
jaknajmniej autentycznych szczegółów architektonicznych składać
w lapidaryach, jaknajwięcej zostawiać na miejscu i tylko ubez-
pieczać, wzmacniać? Ruch ten każe nie zapominać, że nawet
„bezystylowe“ dodatki mogą mieć malowniczy rysunek lub cieka-
we proporce!

Tak, i proporce! Starzy mistrze posiadali i w tym kierun-
ku talent i dar wielki, nieraz może nieuświadomiony, — a owoce
jego i objawy odkrywa z radością oko znawcy nawet na *niepozor-
nych* dla zwykłego przechodnia budynkach.

Mówiąc o tych ostatnich, warto może podnieść, jak wiele
to takich zabytków traci rok rocznie Warszawa. Myślę o jej
barokowych domach i pałacykach, pełnych wdzięku, którego nie
zastąpią wyciągnięte pod sznur, wielce „europejskie“ domy czyn-
szowe.

Czyż chorując na (imitowany) kult dla ideału t. z. „nowocze-
snego“ miasta, będziemy ślepi na niezrównany urok starych budo-
wli i ulic, które są o wiele mniej proste, długie, wielkie, szerokie
i „czyste,“ — lecz o tyleż więcej wykazują bogactwa, fantazyi i de-
likatnego poczucia artystycznego twórców?

Czyż będziemy czekać, aż zagranicą, aż ludzie wysokiej na-
uki i prawdziwie kulturalnego smaku zwrócą uwagę na piękność
barokowej Warszawy, jak to świeżo uczynił prof. Jorga w swych
wspomnieniach z podróży.

Obyż zorganizowano wreszcie opiekę nad tem, co pozostało!
Przyjdzie czas, kiedy i szersze warstwy zrozumieją, że tu nie cho-
dzi o sam szacunek dla starości i historyi.

Z naciskiem należałoby powiedzieć to samo o odniesieniu do
patyny, szczególniejszemu ze względu na przeciwne, niedawno wygło-
szone zdanie jednego z zasłużonych krakowskich konserwatorów,
który w zamiłowaniu patyny widzi tylko pociąg ku starożytności
i urok tradycyi, — przecząc istnieniu wdzięku niezależnego od
historyi.

Kto podobne wygłasza zdanie, ten zapoznaje doniosłe, estetyczne znaczenie, jakie ma dla Krakowa patyna jego starych budowli.

Nieraz spotyka się np. w różnych sferach zdanie, że front (północny) skarbcza na Wawelu nie został „całkiem“ odrestaurowany, że jest jeszcze zbyt zaniszczony. A jednak czyż nie powinniśmy właśnie największą wdzięczność odczuwać dla restauratorów, za to, że nie „wyczyścili“ całej tej ponurej ściany kamiennej z grynszpanowemi i czarniawemi smugami, i z rdzą ciekącą po białem tle zwietrzałego kamienia. Ta surowa, bezładna mozaika jest sama, jak fragment prastarej epopei, ma w sobie szczególną, posępną, nieprzystępną, niezrozumiałą dla masy — poezję.

.....

Zezwól, czytelniku, na jedno jeszcze wspomnienie...

.....

Wielka nawa kościoła gotyckiego. Na ścianie bocznej,—zabłąkany może z królewskiej świetlicy — gobelin przepyszny, ze schyłku średniowiecza, ilustrujący starą legendę. Jakiś władca w długiej, powłóczystej szacie wskazuje niedbale ręką na swego sąsiada. Po bokach kilka osób, też w strojach świątecznych, ciężkich, bogato sfałdowanych. Za nimi, zadumane twarze innych członków orszaku. Postacie wielkie. Stosownie do ówczesnej, a dziś powracającej, maniery, wypełniają sobą całe pole obrazu, co im wyrazistości dodaje.

Koloryt niezbyt ciekawy. Lecz zato rysunek!

Wyszedł on z pod ręki niezrównanego mistrza. Wskazują to szczególniej twarze, świetnie nakreślone,—te rysy delikatne, te brwi, co biegną tak wdzięcznie łukiem wysokim.

Od całego „arrazzi“ wionie urok wielki, a jednak, jednak, nie jest on wyłączną artysty-człowieka zasługą.

Bo oto przyszedł mistrz drugi. Ten prószy lekko a bez przerw pyłem przejrzystym; rozluźnia delikatnie nić czarną, którą śmiało rysy twarzy podkreślono; strzępi pasma na szatach wzorzystych; nieznacznie obciąża ku dołowi ciężki gobelin.

I oto kontury dawniej za ostre nabierają słabej ale dostrzegalnej falistości, mięknią;—linie twarzy stają się dziwnie subtelne, eteryczne; rysy wydłużają się, wyszlachetniają, chwila — a zadrzą zlekka.

I nachodzi cię wrażenie, że „arrazzi“ ma jakieś swoje, własne, dziwne życie. Przyćmione postacie zdają się spokojnie unosić,

trwać w powietrzu z własnej mocy, jak trwają, jak unoszą się postacie snów naszych.

A oczy ich! Ach, te spłowiałe, blade, niebieskawe oczy!

To więcej niż sen; to myśl—marzenie. Nie patrzą na świat realny, — patrzą dalej — w taką dal...!

.....

A teraz pomyślmy, że to wszystko określono zwrotem: „Tempus edax“ (homo edacior), że ten zwrot przyjął się tak powszechnie! Jakże z tych czterech słów wyłania się duch Rzymu, zamilowanego więcej w dosadnym, niż artystycznym określaniu — w krótkim raczej „ustaleniu“ faktycznego stanu rzeczy, niż w dłuższych na dany temat medytacjach. Czy nie brzmi to zdanie trochę, jak formułka z pandektów?

Nie jest ono zresztą pozbawione wszelkiej słuszności, ale... ale to nie wszystko—to nie tak. Są jeszcze inne punkty widzenia.

Nie mówmy o Nim: „Tempus edax.“ Oddajmy Mu cześć należną i wymówmy słowa inne:

„altissimo poeta.“

M. M.

ALEKSANDER REMBOWSKI.

Ledwie przycichły dzwony żałobne, rozkołysane nad mogiłą ś. p. prof. Hieronima Łopacińskiego, a już zabrzmiały na nowo, aby zwiastować polskiemu światu naukowemu stratę jeszcze cięższą, jeszcze bardziej niepowetowaną.

Umarł Aleksander Rembowski.

Nazwisko jego łączy się ściśle z naszą *Biblioteką*, której był długoletnim, stałym współpracownikiem. Dla czytelników naszych nie jest też obca płodna i wielostronna działalność tego pisarza, który zostawia po sobie bogatą spuściznę naukową. Rozejrzy się w tej spuściznie i oceni ją właściwie pióro fachowe, w ramach szerszych niż obecne wspomnienie pozgonne. Tu—możemy tylko oddać hołd, należny pamięci zmarłego i pod pierwszym wrażeniem poniesionej straty zaznaczyć ogólnikowo jej doniosłość.

Aleksander Rembowski urodził się w r. 1847 w Klonowie, w Kaliskiem. Nauki gimnazyalne pobierał w Piotrkowie, gdzie pod wpływem nauczyciela, wykładającego wówczas historię w szkole tamtejszej, gorąco rozmiłował się w dziejach ojczystych. Ten pierwszy impuls był tak silny, że przewodniczył Rembowskiemu w dalszych studiach, podjętych w następstwie planowo i zakrojonych szeroko.

Jako słuchacz Szkoły Głównej, gdzie studyował prawo, Rembowski skłaniał się już bardzo wyraźnie ku dziedzinie prawno-historycznej. Przeniósłszy się następnie do Heidelberga w dalszym ciągu pracował w obranym kierunku, specjalizując się w dziedzinie t. zw. nauk kameralnych, ze szczególnem uwzględnieniem prawa państwowego i administracyjnego.

Tak przygotowany stanął Rembowski na mało u nas uprawianym zagonie i zaczął go pracowitą ręką swoją obsiewać. Łą-

cząc w sobie wytrawną i głęboką znajomość dziejów ojczystych z szerokiem i gruntownem wykształceniem prawnika, odczuwał on, jak nikt inny, wszystkie anomalie naszego życia prawnopublicznego, kłócącego się na każdym kroku z przewodniami zasadami polskiej myśli politycznej. Tej myśli szukał zaś wytrwale i odnajdywał ją w formach nieskażonych i u Ostroroga i u króla Stanisława Leszczyńskiego i w ustawodawstwie konstytucyjnem r. 1791. W pracach jego jest też widoczna dążność do nawiązania w nauce tej nici, którą wichura dziejowa zerwała, a oplukane dzieje ostatnich lat 40 stargały niemal doszczętnie.

Z tych względów każdy historyk i każdy prawnik polski musi się zapoznać bliżej z takimi pracami Rembowskiego, jak jego rozprawa heidelberska: „Die polnische Agrargesetzgebung und Stadtgemeindeordnung von 1791,“ „Stanisław Leszczyński, jako statysta,“ „Jan Ostroróg i jego memoriał o naprawie Rzeczypospolitej wobec historii, prawa i nauki politycznej,“ „Konferencya i rokosz w dawnem prawie państwowem polskiem“ i t. d.

Ta dziedzina stanowiła atoli jeden tylko dział w pracy Rembowskiego. Obok badań historyczno-prawnych w dorobku jego naukowym widnieją dzieła o charakterze czysto-prawniczym. Rozległy umysł Rembowskiego, zaprawiony w najlepszej szkole do pracy samodzielnej, twórczej, polegającej nietylko na szperactwie naukowem, na gromadzeniu szczegółów dla innych i dokładnej znajomości literatury danego przedmiotu, ale i na budowaniu własnem — dążył zawsze i wszędzie do szerokiej syntezy. Ostrożny w tworzeniu na swoją rękę koncepcyj naukowych, ale śmiały w sądzie i łatwo orientujący się w najzawilszych kwestyach, Rembowski był niezmiernie sumiennym badaczem prawa państwowego i administracyjnego. Szczególnie interesowała go *gmina*, jako najniższy, a zarazem najważniejszy organ samorządu, na którym wspiera się, jak na fundamencie, cała konstrukcyja społeczno-państwowa. Studium nad gminą poświęcił też Rembowski wiele czasu i śmiało powiedzieć można, że lepszego znawcy ustawodawstwa w tym kierunku i gruntowniejszego badacza tego przedmiotu w nauce polskiej nie było, a i nie prędko zapewne zjawi się ten, kto lukę, wytworzoną przez śmierć Rembowskiego, wypełni.

Praca jego „O gminie, jej urządzeniu i stosunku do państwa,“ a dalej rozprawy takie, jak: „Publiczne gospodarstwo gminy,“ „Uwagi nad ustawą dla gmin wiejskich“ i cały szereg drobniejszych przyczynków, wyjaśniających rozmaite strony urzędzeń samorządnych w kraju naszym i zagranicą — świadczą najwymowniej, jak głęboki, przenikliwy i wszechstronny był umysł ich autora.

Prace te stanowią też prawdziwą chlubę naszej nauki i zapewniają w niej Rembowskiemu na długo imię trwałe.

Krytyka fachowa bardzo wysoko stawia całą działalność naukową Rembowskiego na tem polu, uważając dzieło „O gminie“ za ostatni wyraz tego, co w czasie, kiedy autor pracę swoją wydawał, można było o ustroju gminnym powiedzieć.

Historyk i prawnik, uprawiający niwé prawa publicznego, z konieczności Rembowski dotykał się ciągle polityki, zwłaszcza tej, która narodowi naszemu wyrządziła tyle krzywd i zatrzymała na długo jego normalny rozwój kulturalny. Polityka ta zajmowała go, a nastęrczające się kwestye bieżące budziły w nim potrzebę wypowiedania się i informowania opinii publicznej o tem, co dzień dzisiejszy przynosił. I potrzeba ta była tak silna, że poważny uczony nie wahał się w swoim czasie stanąć w szeregu współpracowników „Gazety Polskiej,“ na której łamach z górą przez lat dziesięć prowadził dział przeglądów politycznych.

Praca dziennikarska nie starła jednak w żarnach swoich autora „Gminy“ i nie oderwała go bynajmniej od warsztatu naukowego. Powoli dojrzewały na nim prace większe, o których wyżej była już mowa, a jednocześnie schodziły z niego bardzo często liczne krytyki i sprawozdania z dzieł historycznych i prawnych. Sprawozdania te drukowane w rozmaitych pismach (przeważnie w *Bibliotece Warszawskiej*, *Niwie*, *Atencum*, *Kuryerze Warszawskim*, *Gazecie Polskiej*, *Tyg. Ilustrowanym*, *Gazecie Sądowej*), podznaczone zawsze skromnemi literami A. R., były nieraz swojego rodzaju studjami krytycznemi.

Mając niepospolity dar mówienia w sposób jasny i przystępny o trudnych nawet kwestyach, a nadto rozporządzając piórem, które z łatwością naginało się do wymagań szerszych sfer czytelnicych, Rembowski w ciągu długoletniej działalności swojej zaznajomił inteligencyę polską z bardzo długim szeregiem dzieł naukowych historycznych i prawnych, pojawiających się w naszej i w imyich literaturach. Nie było chyba książki ważniejszej, którejby sam nie przeczytał, nie ocenił i, doszedłszy do wniosku, że zawiera ona rzeczy, mogące obchodzić ogół polski, nie napisał o niej i nie wykazał, na czem jej wartość polega i co tam jest dla nas pożytecznego lub ciekawego.

Znakomicie ułatwiało mu pracę w tym kierunku stanowisko bibliotekarza księgozbioru Ordynacyi Krasińskich, gdzie przez długie lata w ciszy pięknego pawilonu bibliotecznego mógł pracować w skupieniu, z całkowitem oddaniem się swojej uniłowanej nauce.

Tam, zbadawszy dokładnie materiały archiwalne do dziejów słynnego pułku szwoleżerów, którego historia tak blisko związana jest z rodem hr. Krasińskich, Rembowski przygotował do druku monografię tego pułku. Obszerne to dzieło, wkraczające przedmiotem swoim w dziedzinę wojskowości, dowiodło, że i ta dziedzina nie była mu obcą, jak zresztą wszystko, co dotyczyło Polski i jej przeszłości.

Ostatnie lata życia, czując może zbliżający się kres (aczkolwiek bynajmniej nie ustawał w pracy bieżącej) — poświęcił Rembowski zgromadzeniu swoich pism ulotnych, obejmujących trzy obszerne tomy. „Pisma“ te zawierają niezmiernie cenny materiał dla każdego, kto zapagnie poznać bliżej zakres pracy zmarłego. Z tych trzech ksiąg wyziera ku nam oblicze człowieka, który z hasłem *nulla dies sine linea* zabrał się do pracy i przerwał ją dopiero wtedy, kiedy uniemożliwiła mu ją ciężka choroba i wśląd za nią idąca śmierć. Zdaje się, że Rembowski nie znał wypoczynku i nie miał nigdy spokojnych, niezamąconych myśli naukową „wczasów“, bo kiedy sam przestawał pracować, wówczas czytał i przetrawiał prace innych.

Umysł jego, niezmiernie chwytny, zaczął się nieustannie o coraz to nowe kwestye, badał, szukał, sądził. Zupełnie wolny od jakiegokolwiek doktrynerstwa, obiektywny do tego stopnia, iż nieraz dla uniknięcia zarzutu podmiotowości wstrzymywał się umyślnie z wypowiedzeniem kategorycznego zdania, zapalony do rzeczy swojskich, ale nie zaślepiony w ich ocenie, schylający czoło przed nauką obcych, ale nie trzymający się jej wzorów niewolniczo — szedł Rembowski w obranym kierunku wytrwale, zdobywając niepospolitą wiedzę i erudycję w zakresie swojej nauki.

Ogólnie mu przyznawano, że był najlepszym i najgruntowniejszym u nas znawcą ustroju samorządnego, historii stanu włościańskiego w Polsce, stosunków, panujących w państwach konstytucyjnych Europy i wogóle prawa publicznego, które u nas, dzięki specjalnym warunkom życia, tak bardzo w ostatnich kilkunastu latach zostało zaniedbane.

I dziś, kiedy okowy, kępujące nasz rozwój zaczynają pękać, kiedy duch czasu rozsądza stare formy bytu państwowego mocarstwa, od którego jesteśmy zależni, kiedy bądź co bądź zbliża się era życia konstytucyjnego, kiedy miejsce samowoli administracyjnej muszą zastąpić stosunki praworządne — dziś właśnie, kiedy *prawo publiczne* staje się nauką, niezbędną dla każdego obywatela, bo kierującą jego krokami w życiu zbiorowem — dziś nam zabrakło najgruntowniejszego znawcy tego prawa — Aleksandra Rembowskiego.

Światła jego rada, której ostatnio zasięgała zorganizowana z inicjatywy władz administracyjnych komisya, obradująca nad samorządem mniejskim u nas, nie istnieje dla nas więcej. W dziełach jego będziemy mogli szukać tylko wskazań i światła na tę drogę, która nas czeka. A że nam te wskazania i światło Rembowski zostawił po sobie, za to winniśmy mu wdzięczność.

Jego pracy, jego wiedzy, jego miłości, jaką żywił w sercu dla kraju ojczystego, jego uczuciom obywatelskim i prawości charakteru należy się hołd ze strony współczesnych, a ze strony potomnych pamięć, która — wierzymy w to mocno — nietylko nie wygaśnie, ale utrwali się, gdy z konieczności pokolenie młodsze będzie musiało nieraz obcować z Rembowskim, jako ze swoim nauczycielem i przewodnikiem w rozstrzyganiu spraw, ważnych dla kraju.

I to będzie niewątpliwie największą nagrodą pośmiertną dla pisarza, który całe życie swoje strawił na służbie nauki.

Z. D.

PIŚMIENNICTWO.

WARSCHAUER. Der polnische Reichstag von 1603 in der historischen Ueberlieferung und in der Darstellung des Schillerschen Demetrius. Vortrag gehalten in der öffentlichen Sitzung der Historischen Gesellschaft für die Provinz Posen. 1905.

Autor znany naszej literaturze, dzięki pożytecznemu i sumiennemu wydawnictwu ksiąg miasta Poznania, wydrukował odczyt swój, który wygłosił w Towarzystwie historycznym poznańskim (niemieckim). Odczyt powyższy poświęcony został pamięci Schillera a raczej polskiego Sejmu w r. 1603, który niemiecki poeta przedstawił w dramacie swym niedokończonym p. t. „Demetrius.“ Autor zaznacza, że Schiller, zarówno jak i historyk Ranke, najwięcej czuł pociągu do epok wielkich dziejowych katastrof, które się odgrywały w XVI i początku XVII wieku. Autor opisuje szczegółowo scenę sejmową z 1603 roku, którą Schiller zamieścił w swym Demetriusie, nadmienając przytem, iż genialny poeta niemiecki zamierzał ową historyczną scenę poprzedzić kilkoma obrazami humorystycznymi z życia politycznego polskiego, w którychby przedstawiono przedewszystkiem wybór posła na Sejm. Schiller naszkicował sobie w ogólnych zarysach ową scenę, która się miała odbywać w winiarni. Szlachta nadworna wojewody miała przeprowadzić na posła swego kandydata, którego największym przymiotem był silny głos. Podczas wyboru przekupstwo miało odegrywać pewną rolę. Wtem nadchodzi niespodziewanie wieść o wystąpieniu na jaw samozwańca. Szlachtę cieszy prawdopodobieństwo wojny z Rosyą, zaspakajającej nienawiść narodową i odpowiadającej widokom rzeszy awanturniczej. Szlachta przepija gęsto w imię obfitych zysków, jakie wojna z Rosyą przyniesie. Uboższe szaraki zastawiają swe posiadłości wraz z chłopami, byle tylko za otrzymany tym sposobem pieniądz nabyć konia i zbroję.

Tłumowi szlacheckiemu pochlebia to niewątpliwie, że Rosyi narzuci monarchę, przytem obliczają w cichości pieniądze, jakie im Demetrius napędzi do kieszeni. Rozmyślnie kłamstwo powiększa do niemożliwości pożądlivość szlachty. W dodatku Maryna nie zaniedbuje przekupstwa, aby pozyskać szlachtę dla swoich widowków. Göthe zauważył, że w tej scenie Schiller chciał stworzyć obraz podobny do tego, jaki spotykamy w Wallensteinie. Ostatecznie Schiller usunął zupełnie powyższą scenę z Demetriusa, a to dla tego, aby nie osłabiać wrażenia, jakie czyniła scena sejmowa.

Następnie autor wskazał nam źródła, które służyły Schillerowi, jako materyał informujący w dziejach ruskich i polskich. Najpoczytniejszą wówczas historją Rosyi była książka, napisana przez Francuza Levesque, który od roku 1755 był profesorem szkoły kadetów w Petersburgu. Napisana przezeń historia Rosyi otworzyła mu później wrota do Akademii francuskiej i Schiller nie miał najmniejszego powodu, aby jej odmawiać wiarogodności. Drugą historją Rosyi znaną Schillerowi, a która przebieg Sejmu polskiego w r. 1603 zupełnie w ten sam sposób opisywała, była książka Müllera, która wyszła w Petersburgu w r. 1760. Dodać do tego można jeszcze obszerne dzieło: Allgemeine Weltgeschichte, wydrukowane w Lipsku w roku 1787, które taki sam opis Sejmu z 1603 r. zawierało. Poważniejszych polskich źródeł Schiller nie znał, ale ażeby odtworzyć wiarogodnie na scenie Sejm polski, musiał się posiłkować książkami, które jako tako ze stosunkami polskimi obznajomione były. Wiadomości też o Sejmie polskim czerpał Schiller z dwóch książek: 1) Lauterbacha polskiej kroniki, która się ukazała w r. 1727 w Frankfurcie i Lipsku. Lauterbach był pastorem we Wschowie (Fraustadt) i seniorem gmin luterskich w Wielkopolsce. Druga książka, z której korzystał Schiller, napisana została przez londyńskiego lekarza, Bernarda Connor, który w końcu XVII stulecia był lekarzem przy dworze Jana III i wydrukował pracę p. t.: Opisanie Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Praca powyższa ukazała się w roku 1700 w niemieckim przekładzie, z którego Schiller obficie korzystał, układając sobie podług niej scenarium Sejmu polskiego.

Scena niemiecka odstąpiła od obrazu sejmu polskiego, jaki jej Schiller nakreślił. Mniejsze sceny niemieckie nie były w możności zastosowania się do intencji Schillera, ale i największe berlińskie sceny były dalekimi od wykonania woli wielkiego poety. Wszędzie obraz sejmu był wadliwie przedstawiany i arcybiskup gnieźnieński, gdy w sejmie przemawiał, zwracał się na scenie niemieckiej tyłem do króla. Sejm z r. 1603 przedstawiony przez

Schillera, nie ze wszystkim odpowiada prawdzie historycznej i w wielu punktach może być uważany, jako utwór wyobraźni. Istotnie w Krakowie odbył się na początku r. 1603 sejm w obecności Zygmunta III, ale prymas Karnkowski był nieobecny z powodu obłożnej choroby. Lew Sapieha był istotnie wpływową na tym sejmie osobistością, tylko nie piastował godności wojewody kijowskiego, jak to chce mieć Schiller, ale był kanclerzem wielkim litewskim. Przebieg sejmku odbywał się w rzeczywistości nieco inaczej niż u Schillera. Przedmiotem obrad sejmowych nie mogło być uspokojenie szlachty i rozwiązanie rokoszu; albowiem rokosz zawiązanym został dopiero w r. 1605. Nie był też sejm z r. 1603 zerwany, albowiem uchwalono na nim podatek i odpowiednie prawo znajduje się w Zbiorze Praw (Volumina Legum). W ogóle w owym czasie sejm nie mógł być jeszcze w tej formie zerwanym, jak opisuje Schiller; zerwanie sejmku skutkiem liberum veto pojedynczego szlachcica, mogło mieć miejsce dopiero w kilkadziesiąt lat później. Ważnem jest także i to, że na sejmie w r. 1603 Dymitr samozwaniec nie ukazał się wcale, ani sejm się nie zajmował jego sprawą. Sejm zamknięty został już 3 marca, a Dymitr ukazał się dopiero w połowie tego roku na dworze swego możnego protektora wojewody sandomirskiego. Wreszcie sejm polski z tego czasu nie mógł jeszcze przedstawiać tak imponującego obrazu jaki nakreślił w swej książce Connor w końcu XVII wieku. Za czasów Zygmunta III obradowali jeszcze senatorowie i posłowie w izbach osobnych, porozumiewając się za pośrednictwem deputacyi.

Z Wielewickiego „Historia diarii i t. d.“ i ze sprawozdań nuncjusza polskiego Rangoni, wiemy obecnie z całą dokładnością, że Dymitr samozwaniec znajdował się w Krakowie od 6 marca aż do 25 kwietnia 1604 roku, w towarzystwie swego przyszłego teścia, wojewody Mniszcha. Podczas jego pobytu, sejmku wcale nie było, ale król przyjął na prywatnej audyencji w obecności kilku senatorów. Dymitr zrobił wogóle korzystne wrażenie, ale nie zawdzięcza on tego swej osobistości. Do niej tylko przypięciono zuchwały i awanturniczy plan, aby za pośrednictwem Dymitra wprowadzić do Rosyi łacińskie chrześcijaństwo i uczynić ją zależną od Papieża. Prawdopodobnie, zdaniem autora, myśl powyższa wyszła od Jezuitów, których najwierniejszym zwolennikiem był Zygmunt III. Schiller zamierzał nawet napisać scenę między Dymitrem a jezuitą, który go chciał nawrócić na katolicyzm, później jednak odstąpił od zamiaru, chociaż historyczny Dymitr dnia 17 kwietnia 1604 r. w krakowskim klasztorze jezuickim

odstąpił greckiej wiary i przyjął katolicyzm, za co mu polityczna pomoc przyrzeczoną została.

Dopiero na sejmie w r. 1605 poruszył Zygmunt III sprawę Dymitra i zapytał sejmujące stany o zdanie w tej chwili, gdy już samozwaniec przedsięwziął awanturniczą wyprawę. Gdy sprawa Dymitra stała się przedmiotem obrad, na czele opozycji przeciw planom królewskim stanął nie Lew Sapieha, oddany zupełnie królowi, ale dawny kanclerz koronny i hetman, Jan Zamoyski. Z fragmentów znaną jest mowa Zamoyskiego i w ogólnym tonie przypomina ona mowę, którą Schiller włożył w usta Lwa Sapiehy. Wpływ Zamoyskiego był też dostatecznym, aby powstrzymać sejm od powzięcia uchwały, któraby zamiarom królewskim sprzyjała. Jakkolwiek Schiller, wprowadzając na scenę postać Dymitra i sejm polski, korzystał z niepewnych źródeł i popełnił skutkiem tego szereg pomyłek, jednakże ducha historycznej prawdy pochwycił on niezaprzeczenie. Nie nadaremnie był Schiller współczesnym podziałom Polski. Prawdopodobnie nad temi doniosłemi wydarzeniami historycznemi zastanawiał się niejednokrotnie i scena sejmu polskiego jest wypływem i wcieleniem poetycznym jego ówczesnego nastroju oraz poglądu na wadliwość ustroju Rzeczypospolitej polskiej.

Odczyt Warschauera napisany bez drażniącej nasze społeczeństwo tendencji zawiera wiele interesujących szczegółów, dowodzących znajomości przedmiotu i jako objaśnienie Schillerowskiego Dymitra, jest ciekawym i pouczającym.

A. R.

MICHAŁ RAWITA-WITANOWSKI. *Kłodawa i jej okolice pod względem historyczno-ludoznawczym*. Warszawa, 1904. Str. 285.

Znany z licznych prac naukowych autor: *Historji miast i mieszczan w krajach dawnego Państwa Polskiego*, oraz *Monografi Łęczycy*, wydał w roku zeszłym z udziałem zapomogi kasy Mianowskiego nową pracę pod powyższym tytułem. Wydanie staranne, indeks osób i miejscowości, odpisy ciekawych przywilejów i ustaw, oraz ilustracye wedle rysunkow Jana Olszewskiego, stawiają tę książkę w rzędzie najlepszych robót, w tym kierunku ukazujących się w Warszawie w latach ostatnich. Najdawniejszy przywilej, dotyczący Kłodawy, pochodzi z czasów Kazimierza Wielkiego (1365). Pozwala on Miłosławowi z Kłodawy osadzić także wieś na prawie niemieckiem i nadaje sotectwo. Jagiełło w r. 1430 obdarza to miasto prawem magdeburskiem. Kazimierz Jagielloń-

czyk bawi wielokrotnie w Kłodawie, zwołuje tu sejmik szlachty wielkopolskiej r. 1485.

Liczne pożary a następnie najście Szweda niszczą miasto bezustannie. Lustracya z r. 1661 najlepiej maluje stan jego zniszczenia. W dodatku panuje zaraza od r. 1708 do 1712.

W r. 1812 spędzają tu czas dłuższy Francuzi, a kościół kollegiacki, zamieniony przez nich na magazyn prowiantowy, tak niszczał, że w r. 1819 trzeba go było rozebrać. Był to najciekawszy zabytek Kłodawy. Zbudował go był Władysław Herman pod wezwaniem Św. Idziego ex voto po narodzeniu się jego syna w r. 1085, o czem wspomina Gallus. Jagiełło osadził przy tym kościele w 1429 kanoników lateraneńskich i utworzył kolegiatę zakonną.

Kolegiata kłodawska otrzymała wielką ilość zapisów i nadań, a liczne wsie okoliczne dawały jej obfitą dziesięcinę. Przetrzymała aż do r. 1809, w którym ją suprymował prymas Raczyński, zamieniając kościół na parafialny. Wkrótce potem runął ten prastary zabytek; nie pozostał po nim żaden opis, ani zdjęcie rysunkowe. Autor powiada, że był to kościół romański z cegły palonej, o sklepieniem presbiteryum a trzech nawach belkowanych. Użytek palonej cegły przy budowie romańskiej z czasów Wł. Hermana uważam za niemożliwy. Wiadomo bowiem, że w Polsce przed XII w. tego materiału nie używano. Jeżeli części ceglane wchodziły w skład kościoła, należy je odnieść do późniejszej epoki, mojem zdaniem najprawdopodobniej kazimierowskiej. Jedyne pozostałości z kościoła św. Idziego, jakie do nas doszły, to płyta grobowa Sierakowskich, przeniesiona w epoce zburzenia dawnej kolegiaty do kościoła Karmelitów, i trzy kontesyonały inkrustowane, rokokowe. Na podstawie notatki z połowy XVIII w. znalezionej w kodeksie sepultur tegoż kościoła, uzupełnionej wiadomościami ze Starowolskiego, podaje autor szereg napisów nagrobnych, w których spotykamy nazwiska Merwicyuszów, Umińskich, Przyjemskich, Ponentowskich, Konarzewskich, Mniewskich, Sierakowskich, Rozenów i inne. W końcu znajdujemy spis znanych proboszczów kłodawskich. Następne rozdziały poświęca autor opisom zachowanych zabytków Kłodawy. Kościół Bożego Ciała modrzewiowy sięga ostatnich lat XIV w. obecnie używany jako cmentarna kaplica, przez pewien czas po zburzeniu kolegiaty był parafialnym kościołem, zawiera stare obrazy, bliżej nie zbadane. Kościół i klasztor Karmelitów, fundowany przez Krzykowskich w połowie XVII w., murowany zaś kościół konsekrowano w 1755 r. Jest to zwykła budowa w stylu tej epoki, o sklepieniach beczkowych

z gurtami, a jednym z cenniejszych jej szczegółów jest ambona w kształcie łodzi piotrowej. Szpital Św. Ducha założony w XV w. przez jednego z kanoników regularnych Sędziwoja Czechela, uległ ruinie wraz z kościołem Św. Idziego.

Kollegiata kłódawska utrzymywała szkołę, którą zwano nawet akademią. Wydała ona wielu znakomitych uczniów i miała dobrych nauczycieli i rektorów, których spis autor nam podaje. Zwinięta została u schyłku XVIII w. Wskrzyszona przy klasztorze, przetrwała ona do pierwszej połowy następnego stulecia. Pozostała po niej biblioteka jest w więcej niż opłakanym stanie. Następuje opis urzędzeń sądowniczych i ratusza kłódawskiego, istniejącego już w XV w. Starożytną tę budowę drewnianą, rozebrano w końcu XVIII w., a kiedy rozebrano kolegiatę, użyto cegły na wzniesienie istniejącego dziś ratusza o formach neoklasycznych, najprostszych. Starostwo kłódawskie tworzyło aż do Jana Kazimierza jedną całość ze starostwem przedeckim. Od tego króla rozdział nastąpił. Skutkiem czego było, iż w Kłodawie z biegiem czasu powstać musiała rezydencya starościńska. Kazimierz Dąbbski wznosił tu za Augusta III pałac i założył wielki przy nim ogród. Z pałacu dotrwały do naszych czasów tylko oficyny.

Obszerniejsze wywody czyni autor o wójtostwie, jego przywilejach i własności, o warunkach rozwoju przemysłu i handlu w Kłodawie i cechach rzemieślniczych, a wreszcie przeszło 70 stronic poświęca ustępowi, p. t.: Strony kłódawskie pod względem etnograficznym. W nim wiele ciekawych szczegółów, dotyczących ubiorów i pożywienia, zabudowań, sprzętów i narzędzi rolniczych, zwyczajów i obrzędów, zabobonów etc. Starannie wydane pieśni i podania, przysłowia, zagadki, tworzą materiał folklorystyczny wysokiej wartości, a to tembardziej, że autor uzupełnia ten rozdział objaśnieniem właściwości mowy w łęczyckiej ziemi i obszernym słownikiem miejscowej gwary ludowej. Na zakończenie pracy pod nagłówkiem: „Dyplomatarjusz“ podane zostały odpisy szeregu przywilejów miejskich od 1365 do 1766 r., kościelnych 1469—1608, przywileje i uchwały cechowe 1535—1821 i wyjątki z księgi protokółów sądu magdeburgskiego w Kłodawie, których autor znalazł dwa tomy, obejmujące lata 1607—1608 i 1661—1747. Obchodzić one powinny tych, co pracują nad dziejami prawodawstwa polskiego.

I tak autor dotknął w swojej pracy całego szeregu umiejętności, poczynając od szczegółów z archeologii przedhistorycznej, a kończąc na znawstwie gwary współczesnej. Pod względem li-

stori sztuki, dla której szczupłe pole pozostało w Kłodawie, mogę zaznaczyć oprócz sprawy ceglanej budowy romańskiej kościoła Sw. Idziego, drobną usterkę dotyczącą ołtarza w nim wystawionego w 1742 roku. Autor powiada, że był tryptykiem, rzeźbionym w drzewie, co tembardziej jest nie możliwym, że mowa o całości biało lakierowanej ze złoceniami, a więc o czysto rokokowej kompozycji. Zresztą cała praca przedstawia się poprawnie i pod względem korekty, a zwłaszcza języka, nie pozostawia nic do życzenia. Wystarczy przebiegnąć źródłowe cytaty, aby przekonać się o sumiennej pracy zasłużonego badacza, wnikającego w najdrobniejsze szczegóły. Przeszłość Kłodawy wskrzeszoną wydarł on zapomnieniu niechybnemu, gdyż owe miasto, niegdyś kwitnące, zamienionem zostało w 1836 r. na rosyjski majorat, a w trzydziści lat później pozbawione praw miejskich. Tak więc tam, gdzie groziło niebezpieczeństwo największe zatarcia śladów prastarej naszej kultury, znalazła się dobroczynna ręka, niosąca umiejętną pomoc i opiekę.

D-R EMMANUEL SWIEYKOWSKI.

MARYA KONOPNICKA. *Głosy ciszy*. Warszawa, 1906. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Str. 150.

W ciszy i skupieniu dojrzewa duch ludzki. W ciszy i skupieniu poczynają się jego najgłębsze procesy twórcze. Z ciszy i skupienia idzie natchnienie poety, kierujące śmiały swój lot ku niebotycznym wyżynom, gdzie milknie zgiełk i gwar życia, pełnego walki o chleb, miłość i władzę. W oderwaniu dopiero od poziomych trosk i krwawej niedoli istnienia, ukazuje się oczom człowieka to, co nie przemija, co jest wieczne. W ciszy i skupieniu poznaje on prawdę bożą, którą nosi we własnej piersi, jak ziarno, rzucone na płon.

I słusznie uczyniła Konopnicka, nazywając ostatni tom swoich utworów „Głosami ciszy,” bo zawarła w nim owoc głębokich swoich rozmyślań i szczerych natchnień, szybujących bardzo wysoko.

Duch poetki rozpiął tu swoje skrzydła do lotu, na jaki stać tylko ptaki królewskie. W „Głosach ciszy“ słyhać szum tych orlich skrzydeł, jakich nikt przyprawić sobie do ramion nie może, ale z jakimi przychodzi się na świat po to, aby być „wieszczem“ swego narodu. Górny, bardzo górny lot! To jakby szereg

objawień ducha, wzbijającego się w momentach swego jasnowiedzenia w te regiony niedościgłe, gdzie

„Anioł twój staje w płomienisku zorzy
Nieskończoności,
Szala się bóstwa w tobie na mgnienie przeszła
I cudem
Duch twój przez mgnienie owo, nie jest twój—lecz boży.
A ta jest chwila
Współpracy twojej z nieśmiertelnym trudem
Ducha, co tworzy
Światło wieczności...”

Twórczość poetycką Maryi Konopnickiej zdawna znamionował silnie rozwinięty pierwiastek „uduchowionej mądrości,” jeżeli tak nazwać można dążność do potrącania o najwyższe zagadnienia bytu i rozwiązywanie ich nie za pomocą zawiłych dociekań metafizycznych, ale przez intuicyjną prężność ducha, rozsadzającego obręcz istnienia i wznoszącego się śmiało w strefy, gdzie „Bóg i Natura to jedno.”

Ten właśnie pierwiastek znalazł teraz swój pełny i—śmiem twierdzić—*doskonały* wyraz w „Głosach ciszy.”

Poetka rozumie dziś lepiej, niż kiedykolwiek, że

„Ten co się o prawdę kusi,
Duchem swym wystąpić musi
Z granic czasu i przestrzeni,
A przejść miedzę omamień i znikomych cieni”—

i dla tego nie trąciła tu ona o żadną z tych strun, które nawiązała dawniej, służąc wyraźnie pewnym ideom i prądom, a których brzmienie ściśle było określone granicami „czasu i przestrzeni.”

Te struny w ostatnich utworach Konopnickiej milczą. Odzywają się za to inne, o stroju nieskończenie wyższym i wspanialszym. Serce poetki ogarnia teraz wszystko i wszystkich. Ból nędzarza wydziedziczony nie zmniejszył się w jej oczach i nie przestał w jej duszy wołać o sprawiedliwość, nie zapanował też nad nim ból inny — *ból istnienia wogóle*, ale — podporządkował go sobie o tyle, że *człowiek*, jako taki, wysuwa się teraz u Konopnickiej na plan pierwszy, bez względu na swoją nędzę lub dostatek.

O, vos omnes, qui transitis per viam — brzmi motto Jeremiaśzowskie, położone na pierwszej stronicy książki. Tak. Wy wszyscy, którzy przechodzicie przez to życie, którzy jesteście wędrow-

cami, spójrzcie za siebie i spójrzcie przed siebie. Otwórzcie oczy ducha!

Człowieku!

Nie lękaj się śmierci, ale

„Uczyni swoim życie świata!
Wśród światów wszechogromu
Czuj się, jak wpośród rodu i w ojcowym domu,
A jako idziesz w komnatę z komnaty.
Tak przechodź światy,
Przechodź istnienia,
A mów „odmieniam życie,“ a nie „śmierć mnie zmienia.“

Człowieku!

„Iskrę słońca masz *w sobie*,
Nie zdmuchnij i w grobie.
Czemu ziębniesz wśród cienia?
Czemu błąkasz się w nocy?
Roztlij ją, jak pochodnię,
Na twe drogi przewodnie,
Rozdmuchaj do płomienia,
Do jasnego ogniska,
Niech cię grzeje, niech błyska
Żarem czucia i mocy...“

Wiara w siłę ducha ludzkiego, w jego nieśmiertelną moc wznoszenia się coraz wyżej, mimo chwilowych upadków i potknięć na drodze, oślizgłej i ciężkiej, wiara wreszcie w *samo życie*, które nie jest dzikim krzykiem niedoli, ale melodyą *najczystsza*,

Którą śpiewa harfa złota
Pod dotknięciem palców Mistrza“—

ta wiara jest dobrą i krzepiącą wiarą Konopnickiej. Umie ona wykrzesać z niej jasne promienie nadziei i otuchy i umie tę nadzieję i otuchę wlewać w tych, co przyjdą w jej pieśni szukać ochłody od znoju życia i wskazań słonecznych na dalszą drogę.

W ten sposób poetka spełnia wobec swego pokolenia najzaszczytniejszą i najwyższą rolę, jaką poecie dano jest spełnić, jeżeli potrafi być, jak te orły hoże

„U których skrzydeł duch wisi narodu,
Iżby go niosły pod słońce i zorze
W godzinę wschodu...“

Z. D.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI. *Miasto*. Powieść. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. Str. 357.

Miasto! Kto z nas nie zna tego potwora kamiennego, w którym wiecznie grzmi i luczy fala życia, tu i ówdzie płynącego jasnym, kryształowym strumieniem, a dalej rozlewającego się w mętną bajorę brudów i upodlenia ludzkiego.

Miasto. Tak. To ognisko kultury współczesnej. To wielki warsztat nauki, sztuki, literatury. To mózg całego kraju, ośrodek cywilizacyjny, który promieniuje na daleką przestrzeń. Tu zbiegają się wszystkie arterye życia i krew swoją przynoszą, tu przemysł i handel budują potęgę materyalną narodu, tu wzmoczną, nie licząca się z żadnemi przeszkodami, praca święci swoje tryumfy.

Ale jednocześnie *miasto* — to stek nędzy i niedoli ludzkiej. Obok dobrobytu i bogactwa piętrzy się tu ubóstwo, ciemnota i zbrodnia. Na ulicach rozbija swoje namioty rozpusta, pod blich-trem dostatku kryje się szantaż, podstęp, zwykle oszustwo, wyzysk najhianiebniejszy. Na każdym kroku przeciwieństwa, na każdym kroku kontrasty. A olbrzymia machina życia pochłania to wszystko, wciąga i w szalonym, wirującym pędzie obraca, miażdży, wysysa.

Co za bogate pole obserwacyi dla powieściopisarza, ile typów, ile nieskończonych odmian „człowieka,” walczącego tu o złote runo swojego szczęścia, co za sploty stosunków, okoliczności, wypadków, jaka niezmierna kopalnia „rozmaitości,” z których składa się napozór jednolite życie danego społeczeństwa.

Nie dziw, że wszystko to pociągnęło ku sobie autora „Chimery,” który w naszej „młodej” literaturze jest jednym z tych, co najlepiej umieją *patrzeć*.

Jaroszyński, jako powieściopisarz, posiada ogromną umiejętność dostrzegania w życiu tych szczegółów, które nie każdemu wpadają w oko, a przy których pomocy doskonale określa się człowiek. Za pośrednictwem tych właśnie szczegółów z łatwością rysuje on ludzi i wydobywa na jaw ich *cechy istotne*.

W „Mieście” mamy całą galeryę typów, w ten właśnie sposób rysowanych. Autor nie poświęcił nigdzie zbyt wiele miejsca zapoznaniu nas ze swoimi bohaterami, nie opisywał ich powierzchowności, nie zapuszczał zbyt głęboko sondy psychologicznej w ich dusze, nie tłumaczył nam, czem jedni różnią się od drugich, a przecież z taką łatwością rozgatkowaliśmy sobie wszystkich i zobaczyliśmy każdego takim, jakim był istotnie.

I dr. Tomasz, i Jadwiga, i Irena, i Nossek, i Korewicz są nam po przeczytaniu powieści tak dobrze znani, jakbyśmy ich mieli sposobność obserwować przez długie lata. Ta umiętność „rysowania ludzi“ jest ogromnym atutem w ręku powieściopisarza, który bierze sobie za temat do powieści takie rojowisko ludzkie, jak miasto, gdzie wszystko się płące, gubi, zaciera, utożsamia i przystosowuje do otoczenia, gdzie nad indywidualnością jednostki ciągle pracuje jakiś hebel, zestrugujący z niej cechy odrębne, gdzie szara masa przytłacza swoim ogromem barwniejsze płamy.

Z tej „szarej masy“ Jaroszyński wyłowił przede wszystkim dwa typy, zasługujące na bliższą uwagę. Człowieka nauki—d-ra Tomasza i piękną historyczkę—Irenę. Obie postacie mają w sobie pierwiastek tragiczny, który też w toku powieści wyzwala się z siłą, przynoszącą autorowi prawdziwy zaszczyt.

Irenę dr. Tomasz ratuje od upadku, zatrzymuje ją na krawędzi przepaści i żeni się z nią po to, aby po dwóch latach pożycia, stracić ją i następnie raz jeszcze spotkać, jako metresę bogatego panicza.

Romans Tomasza z Ireną, niezwykle pociągający ze względów psychologicznych, pochłonał jednak tak dalece uwagę autora, iż zboczył on nieco z drogi, zakreślonej sobie pierwotnie. „Miasto,“ które powinno byłoby zająć plan pierwszy, ustąpiło miejsca przygodom miłosnym Tomasza i Ireny. I stało się to z oczywistą krzywdą czytelnika, który z samego tytułu spodziewa się więcej. I nie tylko z tytułu, ale także z szeregu tych obrazów życia miejskiego, jakie autor zdążył mu pokazać.

Tu Jaroszyński złożył dowód poważny bystrości, z jaką patrzy na zjawiska życia zbiorowego i umiętności, z jaką potrafi być w tem życiu przewodnikiem innych. Nadto pokazał, że umię, jako artysta, panować nad większym materiałem kompozycyjnym.

Z. D.

Kronika miesięczna.

Chwila obecna. — Wzrost anarchii i przygotowanie gruntu dla rewolucji społecznej. — Towarzystwo opieki nad dziećmi. — Szkoły, zakładane przez Macierz Polską.

Chcąc dokładnie zobrazować chwilę obecną, musielibyśmy powtórzyć za dziennikami całe mnóstwo faktów, jakie w ciągu ostatnich kilku tygodni zaszły, w tych faktach bowiem odzwierciedla się życie, to specyficzne życie doby obecnej, które płynie mętным, chaotycznym potokiem, nie dającym się ani ująć w żadne karby, ani uczynić podatnem do badania obiektywnego.

Nie możemy jednak powtarzać rzeczy znanych. Poprzestaniemy więc na zaznaczeniu tylko jaskrawych momentów rewolucji i anarchii u nas i spróbujemy z ogólnego nastroju wyciągnąć te wnioski, jakie wyciągnąć się dadzą. Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na sprawę robotniczą. Zaogniona przez agitatorów socjalistycznych przedstawia ona obecnie błędne koło, z którego wyjście jest niezmiernie trudne. Waśni partyjne pomiędzy robotnikami jeszcze pogarszają sytuację, a rozlew krwi bratniej pogłębia przepaść, jaka wytworzyła się pomiędzy obozem narodowym a socjalistycznym. Wypadki wydalania z fabryk „za przekonania“ powtarzają się ciągle.

Oto niedawno w jednej z odezw, wydanych przez narodowych robotników i robotnice fabryki „Labor,“ czytaliśmy następujące słowa znamienne:

„Żądamy od całego ogółu polskiego poparcia moralnego i materialnego, żądamy sądu nad naszym postępowaniem, żądamy satysfakcyi za haniebne obelgi i za nędzę, jakich stajemy się ofiarą.

„Żony i dzieci nasze wołają głosem wielkim „chleba!“ Do prowadzeni do ostateczności, nie cofniemy się przed niczem i sta-

niemy do walki ostatecznej na śmierć i życie, zarówno z tymi, którzy są bezpośrednimi sprawcami naszej niedoli, jak i z tymi, co przez swe niedołęstwo i tchórzostwo tolerują w podległych sobie zakładach terror i gwałt.“

Socjaliści ze swej strony wydają odezwy treści wręcz przeciwniej. Piętnują w nich oni zachowywanie się narodowców w wyrazach, które znają tylko słowniki *Robotnika* i *Czerwonego sztandaru*.

Rozjątrzenie wzajemne dochodzi do granic ostatecznych i nie ma prawie żadnej nadziei na porozumienie i uspokojenie rozigranych namiętności — tembardziej, że zdziczenie mas robotniczych szybkim krokiem posuwa się naprzód i że ci nawet, co do niedawna wahali się przed użyciem broni, uciekają się teraz do pomocy browningów przy załatwianiu rachunków partyjnych.

Zabicie W. Baranowskiego przez socjalistów i krwawy odwet za tę śmierć, zgotowany socyalistom przez narodowców, są wymownym i smutnym tego dowodem.

Wina oczywiście w znacznej mierze spada tu na agitatorów, którzy, zamiast łagodzić stosunki, zaostwiają je przez rzucanie nieopatrznych frazesów i wypowiedanie mów podniecających.

Ci sami agitatorowie nie wahają się mówić ludowi bezustannie o rewolucyi, która jakoby bliższa jest w tej chwili zwycięstwa, niż kiedykolwiek.

Tymczasem zamiast rewolucyi widzimy na każdym kroku typową anarchię, bo nawet czyny, które obalamucona opinia publiczna zalicza nieraz do kategorii rewolucyjnych, są nawskroś anarchiczne.

Napad na pociąg kolei Herbskiej, ograbienie poczty na kolei Wiedeńskiej, zamachy na stójkowych, rewirowych i żołnierzy, wreszcie cały szereg zabójstw politycznych, dokonanych w ostatnich czasach, noszą na sobie znamiona pospolitych zbrodni i są dowodem tego zdziczenia, do jakiego doprowadzono u nas część ludności.

Nie dziw, że na tym gruncie bandytyzm rozrasta się coraz bardziej i korzystając z płaszcza rewolucyi, śmiało krokami dąży naprzód. Na ulicach Warszawy panują wyłącznie trwoga i zgroza. Ludność spokojna, ta ludność, która pragnie istotnej wolności, opartej na poszanowaniu praw jednostki i narodu do wszechstronnego życia, która w ewolucyi społecznej widzi środek na zagojenie krwawych ran, zaogniających się w obecnej atmosferze coraz silniej — ta ludność narażona jest z jednej strony na niebezpieczeństwo utraty życia od kuli karabinowej, z drugiej — na grabież uliczną i napaść ze strony bandytów.

„Krwawa środa“ (tak nazwano słusznie dzień 15 sierpnia) kosztowała Warszawę drogo. Rewolucyjna taktyka socjalistów wywołała bowiem straszny odwet ze strony wojska, które strzelało „nie szzczędząc ładunków.“ I tak jest na każdym kroku, i tak jest niemal codziennie. Rewizye uliczne, popłochy masowe, salwy wojska, napady, kradzieże, najścia zbrojne—oto atmosfera jednego z większych miast w Europie środkowej, słusznie roszczącego sobie pretensye do miasta cywilizowanego.

Spółczeństwo, które w tej atmosferze zaczyna się już dusić, niema środka na wprowadzenie ładu i porządku. Biernie zachowywać się ono musi wobec barbarzyństwa i zdziczenia, a partye skrajne, które jedynie mogłyby temu przeciwdziałać, zachowują się tak, jakby popierały bandytyzm.

Zresztą wszystko tu się splata w jakiś węzeł coraz trudniejszy do rozwikłania i w pewnych wypadkach trudno orzec, co czynią bandyci zwyczajni na własną rękę, a w czem inicjatywa wychodzi ze strony najbardziej waryackiej partyi—P. P. S.

Obłąkańczą taktykę tego odłamu socjalistów polskich zaczęły już nawet piętnować — Socjalna Demokracja i Proletaryat, które zdają sobie sprawę z tego, że jednym ze źródeł bandytyzmu jest brak świadomości i jakichkolwiek przeżyć i rozumu w działalności P. P. S.

Proletaryusz niedawno pisał pod adresem P. P. S., co następuje: „lekkomyślne wzywianie do rewolucyi jest albo demagogią i szarlataństwem politycznym, albo wypływa z umysłowej niepo czytalności,“ a następnie w obszernym wywodzie wykazał, w jakim stopniu, pośrednio Polska Partya Socjalistyczna przyczyniła się do rozrostu bandytyzmu.

To samo, *mutatis mutandis*, wypowiedział *Czerwony sztandar*. A przecież te głosy trzeźwiejsze nic a nic nie wpłynęły na zachowanie się partyi. Przeciwnie, odpowiedziała ona na nie nowemi zamachami, nowemi waryackimi wystąpieniami i nowym stekiem bredni rewolucyjnych w swoim organie, *Robotniku*.

Dość wziąć do ręki którykolwiek z numerów tego pisma, aby przekonać się, jak „agitatorowie“ lud kształcą i jakie wskazują mu drogi. Jeżeli francuskie dziennikarstwo z epoki rewolucyi wielkiej, aby się przypodobać ludowi, przemawiało do niego językiem hal targowych, to język ten jednak jest językiem salonów w porównaniu z tonem i charakterem artykułów *Robotnika*, pisanych najwstrętniejszymi wyrazami, które dyktuje nienawiść do wszystkiego, co narodowe.

Oto jedna z prób „uświadamiania“ robotnika polskiego:

„Ludu roboczy polski—woła organ oficjalny P. P. S.— Nie wystarczy, jeżeli na widok tych coraz częściej powtarzających się, coraz podlejszych mordów wyrwa ci się z piersi okrzyk: „psy wy — nie ludzie“ i ten drugi jeszcze: „na latarnię z nimi, na latarnię.“

„Proletaryat musi masą swoją iść do walki, a najpewniejszą drogą do zwycięstwa jest dokładna świadomość tego, z kim walczyć trzeba i jakimi środkami. Oto pod przykrywką hasel religijnych, narodowych, nawet gimnastycznych i wszelkich innych, a zawsze i tylko w obronie kieszeni posiadających, zakrada się do ciebie nieprzyjaciel, często wpełza na twoje łono, próbuje zyskać sobie zaufanie twoje, żeby cię tem pewniej ugodzić. Gdy ty, brocząc krwią, walczysz piersią z całą potęgą samowładztwa, on za tobą organizuje bandy kontrrewolucyi i gdzie może kąsa cię na śmierć. Sposobi się fizycznie i moralnie do zduszenia wszystkich wysiłków twoich ku poprawie doli twojej i zdobycia wolności. To jest cała i skrytobójczo-zdradziecka akcja. W tym celu tworzy się bandy łamistrajków, podbechtuje włościaństwo, wypuszcza sforę księży i zbroi z żywiołów burżuazyjnych niby bezpartyjne „Sokoły,“ przygotowując całkiem jawnie sojusz z rządem.

„Coraz częściej, jako sposób walki z tobą, powraca mord. Potem na twoje ciepłe zwłoki, aby je lepiej strawić, rzyga tłuszczą patryotyczna lepkie błoto oszczerstw, jak wąż-dusiciel, ośliniający ofiarę swoją, zanim ją połknie.

„I do czego to wszystko zmierza? Zamiary kontrrewolucyi są te: wytrącić ci wszelką broń z ręki, złupić cię z wywalczonych i posiadanych przez siebie swobód, uniemożliwić ci każdy strajk, rozbić każde zebranie, a jeżeli i to nie wystarczy, zgotować ci choćby rzeź, aby cię na długo odrętwić...“

Dosyć tej smutnej cytaty. Jako jeden z akordów agitacyi rewolucyjnej powyższy ustęp *Robotnika* oświecla całą ohydę niecznej roboty P. P. S. wśród ciemnych warstw. Taki jest siew, który rzucają pomiędzy lud apostołowie wolności, miłości i braterstwa.

Po przeczytaniu tego elaboratu partyjnego możemy jeszcze raz stwierdzić, że cała akcja P. P. S. jest na wskroś anarchistyczna. Tu już wyraźnie idzie o wywołanie „wojny wszystkich przeciw wszystkim,“ o rzucenie klasy robotniczej na inne warstwy społeczeństwa, o niszczyielską i burzycielską działalność, bez względu na przyszłość narodu, na jego najświętsze obowiązki wobec przeszłych i przyszłych pokoleń.

Na szczęście okres upijania się frazesem rewolucyjnym nie może trwać długo u robotników polskich, bo nędza otwiera im już dziś oczy na robotę socjalistów. Ta sama nędza, którą oni używali dotąd, jako motywu agitacyjnego, obraca dziś warstwę robotniczą przeciw socjalizmowi i zaciąga ich stopniowo pod sztandary narodowe, bo ślepi nawet zaczynają widzieć, że wyczerpanie ekonomiczne kraju dłużej trwać nie może.

Jesteśmy zrujnowani. Strajki, waśnie partyjne, walki bratobójcze, bandytyzm — wszystko to razem wytrąciło nas nietylko z normalnego stanu, ale sparaliżowało na długo możliwość prawidłowego rozwoju i postępu. Cofnęliśmy się o całe lata...

Zdawałoby się, że taki stan kraju i zresztą nietylko kraju naszego, bo podobne objawy rozstroju całego życia są również i w innych częściach państwa rosyjskiego—powinien skłonić rząd do rychlejszego wprowadzenia w życie reform zapowiedzianych, reform, od których jedynie zależy uspokojenie umysłów i stworzenie warunków, umożliwiających spokojną pracę. Gdzietam! Rząd rosyjski powtarza ciągle starą swoją piosnkę: „naprzód spokój, potem reformy.“

I oto znów tworzy się błędne koło, z którego niema wyjścia. Bezwartościowość zupełną tego hasła wykazuje już choćby to, że władze rządowe mimo całego wysiłku ze swej strony, mimo krwawych rozpraw, wypełnienia ulic miasta aż po brzegi wojskiem—nie mogą osiągnąć żadnego rezultatu pozytywnego w walce z anarchią, że nie są w możności zapewnić nikomu, nawet swoim wybitnym przedstawicielom, otaczanym specjalną opieką, bezpieczeństwa życia i mienia.

Ani stan wojenny, ani jego obostrzenia, ani nawet stan oblężenia, który wisi obecnie w powietrzu—nic nie zdziałają. W biały dzień, w oczach wojska i policyi, bandyci rabują, a anarchiści strzelają do upatrzonych z góry ofiar. Cierpi zaś na tem wszystkim ta właśnie część ludności, która szczerze i istotnie pragnie spokoju i dla tego spokoju pragnęła poświęcić nawet własne swoje siły, proponując zorganizowanie samoobrony.

Niestety, departament policyi wyjaśnił stanowczo i kategorycznie, że organizowanie takiej samoobrony obywatelskiej jest niedopuszczalne i że wszelkie w tym kierunku próby będą ściągane karnie.

A więc co pozostaje? Tylko bierne wyczekiwanie ze strony społeczeństwa i tylko droga reform ze strony rządu.

A jednak ani rząd, ani nawet pewien odłam prasy rosyjskiej zdają się zupełnie tego nie rozumieć.

Znane ze swoich tendencyj *Nowoje Wremia* po ostatnich wypadkach w Królestwie w ten sposób pisało: „Na wojnę trzeba odpowiedzieć wojną. Trzeba rozrzucić gniazdo i zadusić kruka-zabójcę. *Powinien i może to uczynić ten sam żołnierz rosyjski, który stoi teraz i napróżno strzeże sklepu monopolowego.*“

W innej gazecie („Oko“) zjawił się list, nadesłany z Warszawy, a domagający się postawienia na czele rządu w Królestwie Polskiem kogoś w rodzaju Murawiewa.

Rewelacye oficera załogi warszawskiej, p. Adamowicza, zwróciły na siebie powszechną uwagę i dobrze są u nas znane, jako wezwanie do „otwartej walki“ z wrogiem „podziemnym,“ którym jest całe społeczeństwo polskie, sprzyjające anarchistom.

Najciekawsze jednak, bo najmniej spodziewane było stanowisko, jakie zajęła wobec nas półurzędowa *Rossija*, organ przybożny ministra-premiera Stołypina.

Wszystkie te głosy prasy rosyjskiej świadczą o dwóch rzeczach zasadniczych :

1-o że władze, rządzące Królestwem Polskiem albo zupełnie nie orientują się w sytuacji, albo ze złą wolą w fałszywym przedstawiają świetle stan kraju,

2-o że Rosyanie, mieszkający w Warszawie, grzeszą w ten sam sposób.

Trzeba istotnie albo złej woli, albo ślepoty, ażeby tak mylnie informować społeczeństwo rosyjskie o tem, co dzieje się w Królestwie Polskiem, gdzie może nigdy nie było tak jednolitej opinii, jak obecnie. Cały kraj jest przeciwny anarchii, gorąco pragnie ładu i porządku i potępia działalność socyalistów, skierowaną głównie przeciw własnemu społeczeństwu.

Czas doprawdy, żeby prasa rosyjska starała się mieć lepsze informacje z Królestwa i nie drukowała na łanach swoich bezsensownych wynurzeń pierwszego lepszego urzędnika, który, siedząc przy biurku, snuje sobie fantastyczne wnioski i posyła je do Petersburga, jako dowód swej gorliwości służbowej. Korespondent taki nie zna społeczeństwa, bo go znać nie może. Stosunki polsko-rosyjskie, jakie wytworzyły się u nas po powstaniu, uniemożliwiły jakiegokolwiek zbliżenie towarzyskie Rosyan z Polakami i odgrodziły jednych od drugich murem, który dopiero gruntowna zmiana polityki rządowej może usunąć. Zkąd więc pp. korespondenci *Nowego Wremieni*, *Oka* i *Rosii* czerpią swe wiadomości? na czem opierają swoje poglądy? gdzie widzą fakty na poparcie swoich twierdzeń? Oczywiście rzecz, że tylko we własnej,

bujnej wyobraźni, która, wierna dawnym tradycjom, wszędzie i we wszystkim upatruje „intrygę polską.“

Nie nowa to zresztą taktyka! Zwalanie wszystkiego na kresy i odwracanie opinii rosyjskiej ku Polsce, jako ku ognisku „kramoły,“ nieraz oddała rządowi usługi.

Czasy jednak zmieniły się o tyle przynajmniej, że wydobywanie tej broni starej z arsenału politycznego już nie uchodzi.

Naród polski zna dobrze swoje drogi i nie da się z nich obecnie sprowadzić. Bezstronna część społeczeństwa rosyjskiego wie o tem dobrze, po co więc, w jakim celu i kogo tumanić? Czy mamy to uważać za prowokację, czy za chęć zburzenia tego mostu, jaki powiew wolności zaczął budować między narodem polskim a rosyjskim, czy tylko za wynik złych informacji?

Historja odpowie na to niewątpliwie—my możemy tylko czekać, jak czekamy na wszystko, na zduszenie anarchii, na zaprowadzenie reform, na wolniejszy oddech dla zmęczonych długim uciskiem piersi. Rząd jednak widocznie czekanie to chce przedłużyć *ad infinitum*, jak zresztą przedłuża je dla całej Rosyi, która również ma już dosyć krwi, łez, pożogi, bomb i grozy stanów wojennych. A jednak — nie da się zaprzeczyć — że i tam i u nas szybkie wprowadzenie reform odrazu umożliwiłoby istnienie tym grupom społecznym, na których prędzej czy później rząd będzie musiał się oprzeć i które pozyskać sobie musi pewnemi ustępstwami. Te grupy stanęłyby wówczas do walki z anarchią, a chociaż odniesienie zwycięstwa wobec nad miarę zabagnionych i zaognionych stosunków nie przyszyłoby im łatwo, to przecież przyszyłoby prędzej, niżeli w obecnych warunkach przyjąć może.

Nieporozumienie na tym punkcie wytwarza w tej chwili stan wprost rozpaczliwy i jeżeli mamy prawo zamknąć oczy na to, co dzieje się w Rosyi, to nie możemy przeoczyć żadnego z tych nieszczęść, ku którym stale i konsekwentnie popychany jest nasz kraj. Grozi nam całkowita dezorganizacja życia, doszczętna ruina ekonomiczna, upadek kulturalny i zdziczenie obyczajowe szerokich warstw ludności, która pozbawiona chleba i światła, idzie łatwo w kierunku najskrajniejszych haseł rewolucyjnych, mających na celu rewolucję społeczną.

Podkreślaliśmy już to niejednokrotnie na tem miejscu, dziś jednak uważamy za swój obowiązek publicystyczny powtórzyć to dosadniej, niż kiedykolwiek, bo groza położenia jest coraz większa, a linia oporu coraz słabsza.

W tej chwili nie mamy jeszcze możności przeciwdziałania złu, ale chwila taka niewątpliwie nadejdzie i dla tego należy ją

mieć na uwadze zawczasu, bo lepiej jest niebezpieczeństwo przecenić, niż nie dojrzeć go przed sobą wcale.

Zbrojna rewolucya polityczna zbankrutowała. Nawet socjaliści w większości przestali już wierzyć, aby się ona udać mogła. Ale rewolucya społeczna ma natomiast wobec wzrastającej anarchii szanse do wybuchu coraz większe i jeżeli wybuchnie—przepłynie krwawą rzeką przez całe państwo, zalewając i nasz kraj nieszczęśliwy i na takie próby bolesne wydany.

Nie widzieć niebezpieczeństwa z tej strony byłoby więc błędem nie do darowania. Widząc je zaś, należy przygotować siły do odporu i tępić na naszym gruncie zasady nihilizmu wschodniego, z istoty swojej tak obcego naszej kulturze zachodniej.

*

*

*

Powstała w naszym mieście instytucja ogromnej doniosłości społecznej—Towarzystwo opieki nad dziećmi.

Wśród morza nędzy, jaka już oddawna istnieje w Warszawie, a jaka w ostatnich latach wskutek głębokich wstrząśnień ekonomicznych doszła do rozmiarów niebywałych—dzieci należą do istot najniebezpieczniejszych.

One—przyszła nadzieja i siła społeczeństwa, w zaraniu swego istnienia skazane są na głód i chłód, na brak opieki moralnej, na zgubne oddziaływanie środowiska, w którym ciemnota rodzi występki i zbrodnie, a brak środków do życia sieje ziarno nienawiści społecznej.

Znany dzieci warszawskie z ulicy i nieraz widząc rozłobowaną ich gromadkę, w nieludzki sposób wydrwiwającą obłąkanego, znęcającą się nad psem lub kotem, wreszcie śmiało stawiającą pierwsze kroki na drodze rozpusty i wyuzdania — zadajemy sobie pytanie, co z nich wyrośnie.

Jednocześnie z kroniki bieżącej drobnych faktów życia codziennego, dowiadujemy się coraz częściej o przestępcach małoletnich, a statystyka nożowictwa dostarcza aż nadto wiele faktów wymownych, świadczących o tem, że ta zaraza wczesnie przenika do umysłów dzieci i pcha je na drogę zbrodni.

Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności oddawna zwracało na to uwagę i wytyczało wszystkie swoje siły w kierunku ratowa-

nia dzieci, zwłaszcza sierot, od zagłady i upadku. Stworzyło ono szereg ochron i sal zajęć, prowadziło i prowadzi domy wychowawcze dla dziewcząt i dla chłopców, ale nie mogło i nie może podołać całemu ciężarowi obowiązków.

Kiedy przed kilku laty ks. Zdzisław Lubomirski otwierał we Frascati wystawę robót dziecięcych, wykonanych w salach zajęć i urządził pamiętny „przegląd“ wychowaućców i wychowanek Towarzystwa, zaznaczył wyraźnie, że jest to kropla w morzu, że, chcąc istotną rozciągnąć opiekę nad dziećmi Warszawy, należałoby czynić przynajmniej dziesięć razy tyle, ile się czyni obecnie, bo liczba dzieci, pozostających w nędzy, wzrasta szybko i określa się już dziesiątkami tysięcy.

I w słowach tych nie było wcale przesady. Wypadki dwóch lat ostatnich udowodniły to aż nadto wyraźnie.

Z bezmiarem nędzy, panującej w rodzinach robotniczych, zetknął się poraz pierwszy oko w oko komitet ratunkowy, powołany do bytu w roku ubiegłym i przekonał się, że żadna pomoc doraźna nie zażegna klęski, że trzeba tu pomocy stałej, zorganizowanej na szerszych podstawach.

W tym celu grono osób postanowiło urządzić na próbę t. zw. *Zimowiska* dla biednych dzieci warszawskich. Jakoż odrazu przystąpiono do dzieła i w porozumieniu z ludnością prowincyi urządzono kilkanaście *gniazd*, w których dzieci, czy to w dworach wiejskich i na plebaniach, czy u mieszczan, czy nawet u włościan, znalazły opiekę i chleb. Zaraz jednak w początku tej działalności okazało się, że i tu trzeba odrazu podstaw szerszych. Stworzenie Towarzystwa, obejmującego cały kraj, nastęrczyło się, jako postulat nieodzowny.

I Towarzystwo takie powstało. Celem jego i dążeniem zasadniczem jest połączenie w jedno wszystkich usiłowań rozbieżnych i zgrupowanie pod swoją egidą wszystkich instytucyj, poświęconych sprawie dziecięcej.

Ustawa jednak nie zamierza bynajmniej krępować w tej dziedzinie inicjatywy prywatnej, przeciwnie, Towarzystwo chętnie będzie pomagało do zakładania instytucyj oddzielnych, informując jedynie ofiarodawców i ludzi dobrej woli, jakiego rodzaju instytucje w zakresie opieki nad dziećmi są najpilniej potrzebne i najbardziej pożądane.

Zakres działania Towarzystwa jest szeroki, jak szeroką jest kwestya niedoli dziecięcej. Zamierza ono nieść dzieciom ubogim i opuszczonym pomoc materyalną, moralną i umysłową i to od

niemowlęstwa aż do pełnoletności. Nadto rozciąga także opiekę nad kobietami ciężarnymi i karmiącymi.

Wśród dzieci nie czyni ono żadnej różnicy i przygarnia do siebie wszystkie, moralnie zaniedbane i występne, zdrowe i słabowite, fizycznie i umysłowo upośledzone, nie wyłączając idiotów, obłąkanych, epileptyków i t. d.

Rzecz naturalna, że Towarzystwo stoi poza wszystkimi stronnictwami i występuje pod hasłami najczystszej humanitaryzmu.

Rozpoczynając działalność swoją w chwili przełomowej, bardzo niefortunnej dla przedsięwzięć, wymagających dużego nakładu pieniężnego i obficie płynącej ofiarności społecznej, wśród chaosu rewolucyjno-anarchicznego i wśród nędzy, wołającej o szybką, nie dającą się odłożyć nawet do jutra, pomoc, Towarzystwo potrafiło odrazu stanąć do pracy.

Oto skromne owoce dotychczasowych jego wysiłków — skromne wobec ogromu zadań, wprost jednak zdumiewające wobec trudnych warunków i braku środków odpowiednich.

Z ogłoszonego w m-cu sierpniu sprawozdania dowiadujemy się, że pierwszy wyjazd dzieci na t. zw. *Zimowiska* (o których wyżej) nastąpił dn. 20 stycznia r. b. Ostatnia zaś partya wyjechała dn. 25 lipca.

Ogółem w ciągu półrocza wysłano 438 chłopców i 527 dziewcząt, razem 925 dzieci. Z tej liczby na 1 sierpnia pozostało na wsi chłopców 239, dziewcząt 336, razem 575 dzieci.

Licząc do dn. 1 sierpnia średnio najdłuższy okres czasu przebyły dzieci w gnieździe „Szczebrzeszyn“ w lubelskiem (ochrona na 30 chłopców warszawskich założona była w Latyczynie u d-ra Villaume) i w gnieździe „Korzeniste“ w łomżyńskiem u p. Kisielnickiej. W tych dwóch gniazdach dzieci przebyły średnio po 156 dni. Największą ofiarę co do sumy ilości dni, danych dzieciom, poniosły gniazda: Służewo-Aleksandrów 7554 dni, Korzeniste 6564 dni, Turek 5622 dni, Szczebrzeszyn 5312 dni, Sieradz 4519 dni, Kutno 4411 dni i Wieluń 4063 dni.

Wykaz tych miejscowości świadczy o dużem zainteresowaniu się prowincyi sprawą niedoli dzieci warszawskich.

Wszystkie dzieci razem przebyły na wsi dni instytutowych 98882, a że ogółem dzieci na „wyżywienie“ wysłano 965, przeto średnio licząc, jedno dziecko przebyło na wsi 103 dni.

Z ogólnej liczby 965 dzieci 169 znalazło pomieszczenie w chałtach włościańskich, 233 u mieszczań, 567 u inteligencji i we dwo-

rach, 171 dzieci uczęszczało do ochron i szkółek. Większość pozostałych uczyła się w domu u opiekunów.

Na wiosnę r. b. zorganizowany został nadto specjalny *Oddział Wakacyj*, w celu dopomożenia biednym uczniom i uczniacom do wyjazdu na kilka tygodni na wieś. Dzięki gościnie, zaoferowanej przez ludzi dobrej woli, wysłano 92 dziewcząt i 50 chłopców, razem 142 młodzieży.

Sumarycznie tedy Towarzystwo Opieki nad dziećmi wysłało w r. b. na wieś dzieci i młodzieży szkolnej 1107, w tem dziewcząt 619, chłopców 488. Wszyscy razem do dn. 1 sierpnia przebyli na koloniach wiejskich 102944 dni, co średnio czyni 93 na jedno dziecko.

Przez styczeń, luty i marzec utrzymywany był dla dzieci, wyjeżdżających na wieś, hotelik-schronisko, przez który przeszło 793 dzieci, z których na kolonie wiejskie wysłano 695 dzieci, rodzicom zwrócono 89 dzieci, do szpitala miejskiego odesłano 2, uciekło z hoteliku do rodziców 7 dzieci.

W dniu 14 maja otworzony został *Dom Opieki* (Piękna № 9), przez który każde dziecko przejść musi, zanim przyjęte zostanie pod stałą opiekę T-wa.

W Domu Opieki dziecko przebywa do czasu, kiedy zgromadzone zostaną dokładne wiadomości co do stanu majątkowego jego rodziców czy opiekunów i co do umysłowego i moralnego rozwoju samego pupila.

Zależnie od potrzeb dziecka i możliwości ich zaspokojenia dziecko umieszczone zostaje przez T-wo w instytucjach istniejących lub u osób prywatnych, lub też przeznaczone do ochron, jakich Towarzystwo opieki nad dziećmi kilka już urządziło w Warszawie i na wsi. Do dnia 1 sierpnia, a więc przez półtrzecia zaledwie miesiąca przez Dom Opieki przeszło 130 chłopców i 106 dziewcząt, razem 236 dzieci, z których na kolonie wiejskie wysłano 131 dzieci, w zakładzie ks. Siemca umieszczono 3 dzieci, w Ignacowie u Sióstr Miłosierdzia 3, w Schronisku Dzieci Maryi 2, rodzicom wydano 20 dzieci, w szpitalach miejskich umieszczono 28 dzieci, chorych na choroby zakaźne.

W szpitaliku Domu Opieki leczyło się w tym czasie 27 dzieci.

Urządzenie Domu Opieki, który piszący te słowa zwiedził szczegółowo, zasługuje na zupełne uznanie. Stoi ono całkowicie na poziomie wymagań higieny, porządku i wygody, graniczącej niemal z pewnym komfortem. Niektórzy czynią nawet z tego zarzut instytucyi. Nie sądzymy jednak, aby ten zarzut był uzasadniony, gdyż przeniesienie dziecka do atmosfery życia kulturalne-

go nie może pozostać bez wpływów dodatnich. Wyrwane z objęć nędzy, z otoczenia przygnębiającego i smutnego, przekonywa się dziecko, że przecież można żyć inaczej, że czystość ciała i mieszkania osiąga się stosunkowo niewielkim nakładem pracy, że trzeba dążyć do zapewnienia sobie w życiu tego, co to życie czyni lżejszem i miłszem. Nabycie zaś w dzieciństwie pewnej kultury pozostanie już dobrym zadatkiem na przyszłość i obudzi w podrastających dzieciach wyraźne dążenie do więcej cywilizowanych warunków istnienia, nawet przy skromnym zarobku rzemieślnika lub robotnika.

Dziecko dostać się może do Domu Opieki wprost z ulicy. Każdy przechodzień, który je spotka błądzące samopas lub zaprawiające się do żebraniny, może je wziąć za rękę i przyprowadzić do zakładu.

Pierwszym etapem nowego przybyścia jest *przytułek noclegowy*. Skromny, niewielki pokój o kilku łózkach, zawsze gotowy jest na przyjęcie małych gości, którzy na zaspokojenie pierwszego głodu otrzymują zaraz szklanekę mleka i idą spać. Nazajutrz kąpią się, myją, strzygą, czeszą i przebierają. Potem bierze je na egzamin lekarz zakładu, aby przekonać się, czy są zdrowe i czy można je dopuścić do obcowania z innymi dziećmi. Dzieci chore pozostają albo w miejscowym izolowanym szpitaliku, albo—w wypadkach chorób zakaźnych idą do szpitali miejskich—zdrowe przechodzą pod opiekę dozorczyń i ochroniarek. Tam wśród rówieśników spędzają czas bądź na zabawach zbiorowych, bądź na zajęciach kształcących i rozwijających umysł, przy Domu Opieki bowiem istnieje wzorowo prowadzona przez p. Stefanię Marciszewską szkoła ochroniarek.

O tej szkole godzi się powiedzieć obszerniej.

Sprawa ochron w kraju naszym wysunęła się ostatniemi 'czasami naprzód. Nie trzeba dodawać, że siłą ochrony, tak w mieście, jak i na wsi, siłą, która nadaje wartość całej instytucji, jest jej kierowniczka, czyli owa skromna ochroniarka, do niedawna pozostająca zupełnie w cieniu i nie zwracająca na siebie uwagi społeczeństwa.

Ochioniarka tymczasem, jak słusznie twierdzi p. Marciszewska, ma być *tym ideałem*, jaki pragniemy widzieć w ludzkiej naturze. I nie może być inaczej. Będąc bowiem wychowawczynią ludu, ochioniarka nadawać będzie dzieciom wioski lub miasta charakter, kształcić ma wyobrażenia, uszlachetniać uczucia, rozwijać umysł. W jej ręce, jak w ręce artysty, składa naród bryłę surowego marmuru, z którego ona ma wytworzyć arcydzieło człowieka. A je-

śli weźmiemy na uwagę, że ochraniarka u nas, szczególniej na wsi, musi być nauczycielką młodzieży i zarazem kierowniczką matek, to przyznać musimy, że są to obowiązki tak szczytne, tak ważne i tak odpowiedzialne, że z pewną obawą każda do tej pracy iść powinna.

Bez gruntownego więc i specjalnego przygotowania zadaniu tak trudnemu podołać nie można.

I dla tego dobra szkoła ochraniarek posiada niezaprzeczenie wielkie znaczenie dla całej sprawy wychowania narodowego.

Szkoła jednak, jako taka, bez praktyki jest niczem, bo sama teoria, w najprzystępniejszej nawet podana formie, nie wystarczy. Każda uczenica powinna bezwarunkowo widzieć zastosowaniem w życiu to, co słyszała w teorii. Na to przy szkole ochraniarek musi być wzorowa ochrona, połączona z salą zajęć. W ten sposób uczenice mają możność praktycznego poznania dzieci, gdyż obcują z niemi ciągle, w każdej chwili dnia.

W tak wyjątkowo szczęśliwych warunkach jest właśnie szkoła p. Marciszewskiej, założona przy Domu Opieki, gdyż ma ona ogromne pole zajęć praktycznych dla swoich uczenic.

Obcowanie z dziećmi odbywa się tam pod kierunkiem doświadczonych i wykwalifikowanych dozorecziń, uczenice zaś robią spostrzeżenia, notatki i sprawę z nich zdają na zebraniach tygodniowych, dowiadując się, o ile sąd ich jest słuszny, trafny i sprawiedliwy. Tą drogą poznają też one swoje strony ujemne i dodatnie w obcowaniu z dziećmi.

Szkoła wskutek tego, narówni z całym *Towarzystwem Opieki nad dziećmi* zasługuje na specjalną uwagę społeczeństwa i nie wątpimy ani na chwilę, że byt obydwu tych instytucyj szybko utrwalony zostanie.

*

*

*

Zarząd główny Macierzy szkolnej złożył Kuratorowi Warszawskiego okręgu naukowego podanie o pozwolenie otwarcia szkół w początku nadchodzącego roku szkolnego w różnych stronach kraju.

Ogółem Macierz szkolna w roku bieżącym zamierza powołać do istnienia 153 szkoły męskie, w tem 24 szkoły średnie (8-io, 6-io

i 4-o klasowe), 1 szkołę 4-o klasową żeńską, oraz 128 szkół mieszanych jednoklasowych po miastach i wsiach.

Praca to ogromna i materyalny wysiłek wielki, przy współudziale ogółu jednak cel zostanie osiągnięty. A współdział ten jest coraz żywszy na całym obszarze kraju. Z uznaniem musimy zaznaczyć na tem miejscu, że hasła Macierzy, mimo, iż prasa socjalistyczna, a za nią także prasa pseudo-postępowa, starały się osłabić zaufanie społeczeństwa do jedynej jego instytucji oświatowej, na szerokich opartej podwalinach, że hasła te, znalazły przecież odgłos wszędzie. Koła Macierzy tworzą się nie tylko w miastach, miasteczkach i podrzędnych osadach, ale nawet po wsiach, które dotąd nie brały żadnego udziału w życiu zbiorowym narodu.

Pozwala to przypuszczać, że poczucie potrzeby oświaty jest tak silne wśród ogółu, iż nic go nie osłabi, że pomimo najtrudniejszych warunków, praca rozpoczęta pójdzie naprzód i prowadzić nas będzie do lepszej, jaśniejszej przyszłości.

Pole, na którym do niedawna jeszcze nie wolno było stanąć do roboty, dzisiaj otwarte jest dla wszystkich. Każdy ma obowiązek stanąć na niem i cegłę swoją przyłożyć do wielkiego gmachu, którego fundamentem jest dobra szkoła ludowa polska. Nikt nie może się usuwać od tego, ani wymawiać tem, co poprzednio stanowiło osłonę wszelkiego niedołęstwa i apatyi. Teraz zdajemy egzamin z naszych sił społecznych, z naszego wyrobienia i dojrzałości w dziedzinie pracy zbiorowej.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Dnia 12 czerwca 1906 r. odbyło się posiedzenie lwowskiego Towarzystwa Historycznego, na którym prof. Uniw. dr. Bruchnalski przedłożył sprawę p. t. „O Piaście.“

Studia nad wyjaśnieniem, jaka treść kryje się w podaniach o Piaście, mają wielką doniosłość w nauce. Z nich bowiem wnioskuje się o początku dynastyi i państwa polskiego. Taka lub inna odpowiedź rzuca decydujące światło na charakter tworzenia się państwa polskiego.

Ze studyów, które dotąd kwestyi Piasta poświęcono, wybiły się trzy przedewszystkiem: prof. Wojciechowskiego, historyka; prof. Brücknera, lingwiny i St. Ciszewskiego, etnografa. Według teoryi uczonego pierwszego „Piaśt“ nie jest żadnem imieniem, ani nazwiskiem, lecz oznacza urząd dworski: *majordoma*, który jak w państwie frankońskiem Merowinga, tak u nas strącił Popiela i tron książęcy po nim opanował. Zdaniem prof. Brücknera, podanie o „Piaście,“ to—wierutny wymysł czasów późniejszych, analogon tylko do baśni czeskich o Przemyślu i Przemysłowicach, bez wszelkiej wartości historycznej. Pan Ciszewski wreszcie zwrócił uwagę na instytucyę prastarą, właściwą wszystkim narodom pierwotnym, t. z. *atałykat*, pewnego rodzaju opiekę czyli zastępstwo ojca, i sprzęgnął go z majordomatem polskim. Lecz p. Ciszewski, aczkolwiek rozporządzał materiałem bardzo bogatym, nie zstąpił po za w. XI, a skutkiem tej okoliczności praca jego, jak gdyby utknęła w połowie drogi.

Autor odczytu podjął na nowo sprawę zawiłą, a opierając się na wynikach p. Ciszewskiego i swoich własnych studyach, wykazał: 1) że „Piaśt,“ według praw, rządzących powstawaniem dynastyi, nie mógł być ani imieniem osobistem praojca, ani *mianem żadnego urzędu*, lecz że urząd taki, jak majordomat, tkwił w nim *in potentia*, i 2) że historia atalykatu, zastosowana do podania o „Piaście,“ nakazywałaby — po odrzuceniu dodatków pewnych — podanie to w owej formie, w jakiej przechowało się w najstarszej kronice t. z. Galla, przyjęć za prawdziwą tradycyę dworską.

W szczególności, a w następstwie dalszem z argumentów, przez prelegenta naprowadzonych, wynikałoby, że: 1) *chłop*, którego imienia nie znamy, był *atałykiem*, czyli *ojcem przybranym* Popielidy ostatniego; 2) że *żona* owego chłopca, imiennie przez tradycję zapamiętana, była mu *mleczną matką*; 3) syn ich obojga, *Ziemowit* był mu *bratem mlecznym*; 4) *księżę Popiel* zaś, w uroczystości postrzyżyn *Ziemowita* udział biorący, był wobec postrzyganego chłopca t. z. *ojcem postrzyżynowym*, a zarazem *adoptującym*.

Wiążąc fakty powyższe w całość, nadto uwzględniając jedną okoliczność, w kulturze pierwotnej znaczenie pierwszorzędne mającą, okoliczność, na podstawie której *pokrewieństwo sztuczne* stawiane było, lub nawet jeszcze dzisiaj stawiane jest wyżej od *pokrewieństwa rzeczywistego*, przyjąć należy za pewnik logiczny, że *po zejściu rodziny Popielidów niewiadomo, jakim, czy naturalnym, czy gwałtownym dziedzicem ich został Ziemowit, pierwszy księżę, syn „piasta,” Piastowie.*

Na tem samem posiedzeniu zamianowało Towarzystwo Historyczne zasłużonego uczonego, prof. Władysława Nehringa z Wrocławia, członkiem honorowym.

N O W E K S I Ą Ż K I.

— HENRYK SIENKIEWICZ. Na polu chwały. Powieść historyczna z czasów Jana Sobieskiego z ilustracyami St. Sawiczewskiego. Warszawa. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 8-o, maj., str. 351.

Jeszcze jedną perłę dorzucił Sienkiewicz ze skarbcza swego talentu naszej literaturze. Powieść piękna, barwna, plastyczna, ze znakomitą charakterystyką epoki i ludzi, czyta się z nienustającym zajęciem, a do piękniejszych jej kart czytelnik po kilka razy z lubością powraca. Ale żadna powieść Sienkiewicza, tak jak ta, biernie nie została przyjętą; po kilku miesiącach w prasie cicho, ani jednej dotąd obszerniejszej recenzji. Czy to czas rewolucyjny, czas strejków temu jest przyczyną?

W notatce „o nowych książkach,” zanim ukaże się w „Bibliotece Warszawskiej” obszerne sprawozdanie, wzmiankę tylko czynimy, jako o znakomitym utworze, gdzie z zadziwiającą prawdą, jak w kalejdoskopie życia, prześuwają się prawdziwe, zda się żyjące postacie, z rozmachem prawdziwego talentu odtworzone. Jest ich cały szereg, nowa galeria typów sienkiewiczowskich. Anulka Sienińska—typ Polki cichej, z rezygnacją niepowodzenia życia przenoszącej, a niosącej wysoko sztandar idealów moralnych. Pągowski—starzec samolubny, zazdrosny, pyszałkowy, dla poddanych nielitościwy. Jacek Taczewski—oblubieniec Sienińskiej, syn podupadłego rodu, jest obrazem materialnej dekadencji znakomitego rodu, ale dobry i prawy żołnierz. Cyprianowicz—uszlachcony Ormianin, widzący niebezpieczeństwa, w jakie wpada Rzeczpospolita i chcący im zaradzić. Tryskający życiem, ale i sławni głupotą Bukojemscy. Opijus, pieniącz Krupecki i zjadliwe, jak gadziny, jego siostry, stare panny—to postaci, jakich plastyka i wyrazistość raz jeszcze każe uchylić czoła przed talentem Sienkiewicza. Ale jest i zawód. Mieliliśmy ujrzeć Sobieskiego pod Wiedniem „na polu chwały” w majestacie sławy, jeszcze mo-

że większym i piękniejszym, niż żyje w tradycji, bo zdobić go miał talent Sienkiewicza. I tu zawód. Powieść się kończy z chwilą, gdy hufce dążą pod Wiedeń, a dostosowana do powieści pieśń Kochowskiego, którą śpiewają wojska, kończy się słowami „na polu chwały,” co wyjaśnia tytuł powieści.

— ANDRZEJ SAMUEL I JAN SEKLUCYAN. Z polecenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu napisał Ks. Dr. I. Warmiński, członek tegoż towarzystwa. Poznań, 1906. 8-o, str. XVI + 550.

Jest to jedno z najznakomitszych dzieł, poświęconych wiekowi XVI, które w roku Jubileuszu Reyowskiego ukazały się na półkach księgarskich. Ks. Warmiński przynosi tu historii naszej literatury całą wiązkę nowych nieznanych dotąd szczegółów niejednokrotnie bardzo ważnych. Tu dopiero po raz pierwszy znajdujemy prawdziwy obraz czynności reformatorskich Seklucyana, tu po raz pierwszy spotykamy się z prawdziwą i udowodnioną charakterystyką sprytnego, a przewrotnego eks-księdza. Dowiadujemy się także, że owo sławne tłumaczenie Nowego Testamentu t. zw. królewieckie zarówno jak i „Ortografia Seklucyana“ nie wyszły bynajmniej z pod jego pióra. Autorem tych ważnych w naszej literaturze XVI w. utworów jest Stanisław Murzynowski. Dowodzi tego autor w III-cim rozdziale § 5-go, gdzie niezbite na to dowody przytacza. Seklucyan nie jest więc tak zasłużonym w naszej literaturze autorem, za jakiego go miano, jest prędzej sprytnym i wielce zasłużonym wydawcą, który umiał wyzyskać okoliczności, aby nie tylko dla siebie korzyść wyciągnąć, ale także dla rozwoju literatury polskiej nie małe położył zasługi.

Część pierwsza dzieła obejmuje początkowe losy mnicha Samuela i Jana Seklucyana do r. 1544. Część druga wyjaśnia dalsze ich losy i daje obraz całej spuścizny literackiej Seklucyana, uwzględniając nie tylko kwestye bibliograficzne i wydawnicze, ale w pierwszym rzędzie krytyczną ich ocenę filologiczną i literacką. W dodatkach autor pomieszcza *in extenso* 27 listów i dokumentów wyjaśniających dziwne koleje życia Seklucyana i służących jako *pièces justificatives* do przytoczonych w dziele dowodzeń. Dokładny indeks osób i miejscowości zakończy to wielce pracowite dzieło.

F. P.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— BONIECKI ADAM: Herbarz Polski. Tom IX — Zeszyt VI. 4-o, str. 201 — 240; od Kamieńscy — Karczewscy.

— EKONOMISTA. Zesz. II. B. Wasiutyński: Administracya lokalna Królestwa Polskiego, (1807—1905) wobec samorządu ziemskiego;—Wł. Grabski: Płace i zarobki ludności wiejskiej w oświeceniu warsz. komit. statystycznego;—Z. Grotowski: Rozwój instytucyj dobroczynnych w Warszawie;—Al. Szczepański: Listy z Niemiec;—B. Wasiutyński i J. Szye: Kronika ekonomiczna;—Ruch cen i kursów;—Rozbiory i sprawozdania;—Przegląd czasopism;—Bibliografia.

— KWARTALNIK TEOLOGICZNY. Zeszyt III i IV. Ks. Pr. St. Chodyński: Biskupi Suffragani wrocławscy (c. d.);—Ks. Dr. Fr. Gabryl: Realizm i nominalizm w dziejach filozofii (c. d.);—Ks. A. F. Sobalski: Listy znakomitych mężów wieku XVI w roku 1678 zebrane w trzy księgi przez Bisk. St. Karnkowskiego (c. d.);—E. Sleszyński: Testament Anny Maryi z książąt Ostrogskich Chodkiewiczowej;—Ks. L. Jarosiński: O godności stanu kapłańskiego i wypływających stąd obowiązkach kapłana, praca konkursowa (c. d.);—Ks. L. Janczak: Z dziejów klasztoru księży Trynitarzy w Orszy (c. d.);—Ks. Dr. Fr. Gabryl: Dusza w psychologii najnowszej;—Ks. Prof. Dąbrowski: O istocie przeistoczenia;—Ks. J. Gołąb: O tłumaczeniu nowego testamentu przez Ks. J. Wujka (dok.);—Ks. A. Szaniawski: Z mego archiwum;—Ks. A. Szaniawski: Pisma św. Jana od Krzyża, w przekładzie z oryginału hiszpańskiego;—Ks. A. Szaniawski: Najnowsze odkrycia w teorii budowy Psalmów (c. d.);—Ks. A. Szaniawski: Księga praw najstarsza w świecie. Kodeks Hammurabi'ego, króla Babilony (r. 2250 przed Chr.) (c. d.);—Ks. A. Szaniawski: Słownik biblijny wedle najnowszych wzorów: francuskich, angielskich i niemieckich;—Krytyka i bibliografia.

— OGNISKO. Czerwiec. G. N.: Eliza Orzeszkowa;—K. Laskowski: Pod Lipskiem;—A. L.: Historia o dwóch braciach;—Lew Tolstoj: Czemu?;—Or-Ot: Pieśń o dziejach naszych;—U Cesarzowej Chińskiej;—K. Niedzielski: Z tronu na stracenie;—E. Doyle: Geniusz śledczy;—Dr. K. Brzeski: Aseptyk;—L. Peretz: Dusza;—St. Bosakowski: Henryk Ibsen;—E. Żmijewska: Sprawy kobiece;—Rozmaitości.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Tom III. Zesz. 1. (Lipiec i Sierpień). Próbkę najnowszej krytyki, przez Al. Brücknera.—Sprawa zastawu ziemi Dobrzyńskiej, przez Władysława Opolczyka i pierwsze lata sporu (1391—1399). Szkice historyczne (Zastaw Złotoryi i ziemi dobrzyńskiej), przez Maryana Goyskiego.—Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej (Mazurowie w świetle cudzych opinij), przez Władysława Smoleńskiego.—Przeгляд dziejów wewnętrznych Rosyi (1814—1830), przez Szymona Askenazego.—Legion awanturników (Epizod z roku 1848), przez Br. Łozińskiego.—Z archiwum byłego trzeciego wydziału w Petersburgu (Mickiewiciana), przez Al. Kraushara.—Druki litewskie. Studium historyczno-statystyczne (z tablicą graficzną), przez M. Bernsztejna.—O prawie przyzwalania krewnych na pozbywanie nieruchomości w Wielkopolsce aż do ustawodawstwa Kazim. Wielkiego, przez Nor. Michalewicz.—Sprawozdania, Miscellanea.

— ROZPRAWY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI, wydział filologiczny, serya II, tom XXVIII, ogólnego zbioru tom 43. Kraków, 1906. Nakł. Akademii Umiej. Spółka Wyd. Polska. 8-o, str. 488.

— ZDROWIE. Zesz. 7. Lipiec. L. Rutkowski: Pomoc lekarska dla ludności wiejskiej;—M. Osmala: O niehygienicznym odżywianiu się robotników;—Dr. Żenczykowski: W sprawie nowego typu ochrony. Wydział higieny ludowej;—Dr. Józef Jaworski: O sekcje Maryawitów ze stanowiska higieny społecznej;—Dr. J. Polak: Zdrowie Publiczne wobec stronnictw i Izby państwowej. Wydział szpitali i przytułków.—Program działalności Komitetu dla walki z ra-

kiem, opracowany przez dr. J. Jaworskiego. Odezwa do kobiet. Kwestyonaryusz w sprawie raka macicy.—Z ruchu i potrzeb higieny Polski.—Dział sprawozdawczy.—Z towarzystw higienicznych oraz im pokrewnych.—Ze zjazdów i wystaw.—Wiadomości drobne.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA. — PSYCHOLOGIA.

APOKALYPSIS JANA TEologa. Tłómaczenie z greckiego, z tekstem greckim i uwagami. Berlin, 1905. Skł. gł. w księg. Gebethn. i Wolffa. 8-o, str. 292.

ENCYKLOPEDIA PODRĘCZNA, KOŚCIELNA. Opracowana pod kierunkiem Ks. ks.: St. Galla, J. Niedzielskiego, St. Przędzieckiego, A. Szlagowskiego, A. Tamera i red. ks. Z. Chelmskiego. C. D. Tom VII—VIII. Warszawa, 1906. Skł. w księg. Gebethnera i Wolffa. Wydaw. Bibl. Dzieł Chrześcij. zeszt. 65 i 66. 8-o, str. 421 + 65 — 96.

GABRYL FR., Ks. DR. PROF. UNIw. JAG.: Psychologia. Kraków, 1906. Nakł. autora, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 472 i 2 nl.

KOZŁOWSKI W. M.: Wykłady o filozofii współczesnej. Lwów, 1906. Nakładem Księgarni Polskiej. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 358.

Ks. KRYNICKI WŁADYSŁAW: Wymowa święta. Wydanie Bibliot. Dzieł Chrześcijańskich.

MUKLANOWICZ JÓZEF: Lenistwo. Warszawa, 1905. Wyd. Książek dla wszystkich, M. Arcta. 16-o, str. 64.

ROSTWOROWSKI JAN Ks. T. J.: Liberalny katolicyzm (Broszury o chwili obecnej, zeszyt II). Kraków, 1906. Nakł. Redakcyi wydawnictw Tow. Jez. 8-o, str. 60.

STRASZEWSKI MAURycy, zw. profesor filozofii w uniw. Jagiellońskim. Filozofia św. Augustyna na tle epoki. Kraków, 1905. Nakładem Spółki Wydawniczej Polskiej. 8-o, str. 386.

VIANNey JAN MARYA BŁ.: Kazania niedzielne i świąteczne, wydał w skróceniu z francuskiego i zaopatrzył przedmową ks. dr. Jakób Górka, prof. semin. biskupiego w Tarnowie, tom I i II. Lwów i Kraków, 1906. Skł. głów. Z. Jeleń w Tarnowie. 8-o, str. XVI, 503 i 2 nl. z portretem błogosław., 2 nl. i 355.

HISTORIA LITERATURY.—BIBLIOGRAFIA.

ESTREICHER K.: Bibliografia polska, 140,000 druków, część III, tom X, lit. L.—Lz., ogólnego zbioru tom XXI, stulecie XV—XVIII w układzie abecednym. Kraków, 1906. Wyd. Akad. Umiej. 8-o, str. IX, 550 i IX.

GALLE HENRYK: Stylistyka i teoria literatury. Wykład systematyczny - oraz wypisy i ćwiczenia stylistyczne. Wydanie drugie, przejrzone i poprawione. Warszawa, 1906. Nakładem M. Arcta. 8-o, str. 375.

GRABOWSKI TAD. ST.: Szkice i rozprawy z piśmiennictw słowiańskich. Anton Askerc, poeta słowiański. Sylweta jubileuszowa (1855—1906). Kraków, 1906. Gebethner i Sp. (Odb. ze „Świata Słowiańskiego“). 8-o, str. 39 z portretem poety.

TENŻE: Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce 1550—1650, odbitka z Rozpr. Wydz. filolog. Akad. Umiej. Kraków, 1907. Nakł. Akademii Umiej. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 239.

KIELSKI BOLESŁAW: O wpływie Moliera na rozwój komedyi polskiej, studyum historyczno-literackie. (Odb. z Rozpr. Wydz. filolog. Akad. Umiej.). Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej. Spółka Wydawn. Polska. 8-o, str. 182.

WOJCIECHOWSKI KONSTANTY DR.: Zwięzły podręcznik historii literatury polskiej. Wydanie drugie poprawione. Lwów, 1906. Nakładem księgarni Stanisława Köhlera. 8-o, str. IX i 204.

H I S T O R Y A.

ACTA TOMICIANA, tomus duodecimus epistolarum, legationum, responso-
rum, actionum et rerum gestarum. Serenissimi principis Sigismundi primi regis Poloniae, magni ducis Lithuaniae, per Stanislaum Gorski, canonicum cracoviensem et plocensem, a. d. MDXXX. Posnaniae, 1906. Sumpt. Biblioth. Kor-nicensis. (Wydął Celichowski). 4-o, str. 2 nl. i 435.

BERG MIKOŁAJ PROF.: Zapiski o polskich spiskach i powstaniach. Prze-
kład z rosyjskiego. Część I. Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Wyborow. № 438. 8-o, str. 167.

Część II. Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Wybor. № 439. 8-o, str. 188.

Część III. Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Wyb. № 441. 8-o, str. 149.

GOMULICKI WIKTOR: Rewolucya Kościuszkowska, z 12 ilustracyami.
Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda i Synów. Skł. gł. w księg.
E. Wende i Sp. 8-o, str. 40.

GOYSKI MARYAN DR.: Wzajemne stosunki Polski, Litwy i Zakonu w la-
tach 1399 — 1404, studyum historyczne. Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp.
8-o, str. 66 i nl. 1.

GÓRAL BOLESŁAW E. KS.: Zasady interpunkeyi Polskiej. Milwaukee
Wis. Lwów, 1905. Nakł. „Orędownika Językowego.“ 8-o, str. 32 i 2 nl.

HELENIUSZ EU.: Listki z Ukrainy. Tom III-ci. Kraków, 1902. Nakła-
dem autora. 8-o, str. 255.

HIRSCHBERG ALEKSANDER: Maryna Mnischówna. Lwów, 1906. Nakł.
Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. VII, 339 i IV z ilustracyami.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Miscellanea historyczne. VI. Z archiwum se-
natora Nowosilecowa. Uwagi nad Konstytucyą Królestwa z r. 1815. Warszawa,

1906. Nakł. „Przeglądu historycznego.“ Skł. gł. w księg. Gebethn. i Wolffa. 8-o, duże, str. 10.

— VII. Z archiwum senatora Nowosilcowa. Memoriał więzienny Maurycego Mochnackiego z r. 1824. Warszawa, 1906. Nakł. „Przeglądu historycznego.“ Skł. gł. w księg. Gebethn. i Wolffa. 8-o, duże, str. 12.

— VIII. Trzy sceny sejmowe w zamku Kólewskim w Warszawie 1611—1791 — 1818 z ilustracjami. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, duże str. 7.

— IX. Z archiwum b. Trzeciego Wydziału w Petersburgu. Mickiewicza. Warszawa, 1906. Nakł. „Przegl. historycz.“ 8-o, duże, str. 8.

E T N O G R A F I A.

KOLBERG OSKAR: Śląsk Górny, materyały etnograficzne zebrane przez... z papierów pośmiertnych, wydał Seweryn Udziela (odbitka z „Materyałów antropol. archeol. Akad. Umiej.“). Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 74.

S. S. I.: Przyczynki do etnografii Wielkopolski (Odbitka z Materyałów komisji antropol. archeol. Akad. Umiej.). Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 139, z 5 kolorowemi tablicami.

PRAWO. — EKONOMIA. — NAUKI PRAWNO-POLITYCZNE.

BIRENCWEIG BERNARD, magister prawa i administracyi, adwokat przysięgły przy Warszawskiej Izbie Sądowej. O małżeństwie cywilnem ze stanowiska historycznego, państwowego, kościelnego i obyczajowego. Kraków-Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 80.

BOUGLÉ C., Dr.: Demokracja wobec wiedzy. Przetłóżyła z francuskiego dr. Felicja Nossig. Lwów, 1907. Pol. Tow. Nakładowe w Warszawie. Skład głów. E. Wende i Sp. 8-o, str. XV + 405.

GRUŻEWSKI BOLESŁAW: Sądownictwo Królewskie w pierwszej połowie rządów Zygmunta Starego. Studya nad historją prawa polskiego, wyd. pod redakcyą O. Balzera, tom II, zt. 4. Lwów, 1906. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 124.

KAUTSKY KAROL: Kwestya rolna w Rosyi. Przetłóżył S. Posner. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Naukowej. 8-o, str. 45.

TENŻE: Republika a socyalna demokracja we Francyi. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Powszechnej. 8-o, str. 156.

MENGER ANTONI, PROF. DR.: Nowa nauka o państwie. Przekład z upoważnienia autora. Wydanie drugie, przejrzone i poprawione. Lwów, 1907. Polskie Tow. Nakł. w Warszawie. Skł. gł. E. Wende i Sp. 8-o, str. XV + 372.

NIEMIĘDZKI R.: Materyały i uwagi do oceny gospodarki finansowej Państwa Rosyjskiego. Warszawa, 1906. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 64.

HISTORIA SZTUKI.

SOKOŁOWSKI MARYAN: Dwa gotycyzmy: wileński i krakowski w architekturze i złotnictwie i źródła ich znamion charakterystycznych. Odb. z t. VII Spraw. Komisji do badania historii sztuki. Kraków, 1906. Nakł. Akademii Umiej. 8-o, str. 40 i fig. 14.

TEKA grona konserwatorów Galicyi zachodniej, tom II. Kraków, 1906. Nakładem Grona Konserwatorów Galicyi zachodniej. Spółka Wydaw. Polska. 8-o, str. VII, 599 i 1 ul., z 258 ilustracyami w cynkotypii, 3 w światłodruku i 3 tablicami w heliografurze.

NAUKI PRZYRODNICZE.

NEUMAR MELCHIOR, PROF. DR.: Dzieje ziemi. W opracowaniu prof. dr. Wiktora Uhliga. Tom pierwszy. Geologia ogólna, 368 rysunków w tekście, 2 mapy, 15 tablic, z których 2 kolorowe. Przełożyli z 2-go wydania niemieckiego: Jan Zaleski, Zygmunt Weyberg, Stanisław Janiszewski. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym im. d-ra Józefa Mianowskiego; wydał Józef Morozewicz. Warszawa, 1906. Skład główny w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. XVI i 763.

SĘDZIAK JAN: O stanie laryngologii, rynologii i otiatrii w Polsce wieku XIX. Odbitka z „Nowin Lekarskich.“

SZYSZŁOWSKI WINCENTY, DR.: Ewolucya materji. Nowa wiedza. Atom. Życie. Myśl. Dusza. Bóg. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 40.

WSZECHŚWIAT I CZŁOWIEK. Dzieje badań przyrody i zastosowania jej siły na pożytek narodów. Przełożył Stanisław Kramsztyk. Tom II. Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda i S-ów. 8-o, str. 553 + IX.

PEDAGOGIA. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

KRASNOWOLSKI ANTONI: Gramatyka języka polskiego, szkolna w czterech kursach koncentrycznych. Opracował ... Kurs II-gi. Warszawa, 1906. Systematyczny kurs nauk. Nakł. M. Arca. 8-o, str. 166.

LEDER A.: Gramatyka niemiecka. Etymologia, Ortografia i Składnia. Ułożył ... Podług pierwszego wydania, zatwierdzonego przez Ministerjum Oświaty i Finansów dla użytku w szkołach z wykładowym językiem niemieckim. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. L. Fiszera. 8-o, str. 94.

ŁOJKO M. I OSTERLOFF W.: Podręcznik do nauki języka niemieckiego, według metody poglądowej. Ułożyli ... Część I, początki języka. Wydanie drugie poprawione. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arca. 8-o, str. 110.

SEMPOŁOWSKA STEFANIA: Niedola młodzieży w szkole galicyjskiej. Kilka słów o narodowej szkole w Galicyi. Kraków, 1906. Nakł. administracyi „Naprzodu.“ 8-o, str. 58.

SOKOLNICKA E.: Kurs elementarny: Zoologii, Botaniki, Mineralogii. Cz. I Zoologia. Wydanie pierwsze. Łódź, 1906. Nakł. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 126.

STREUSAND B.: Zbiór zadań arytmetycznych dla szkół początkowych. Część I. Warszawa, 1906. Nakł. Jana Fiszera. 8-o, str. 126.

WEYCHERTÓWNA WŁ.: Nauka poprawnego wysławiania się i pisania, oraz wskazówki dla czytających książki. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Polskiej J. Sikorskiej. 8-o, str. 113.

P O W I E Ś C. — P O E Z Y A.

CZECHOW A.: Wybór 20 obrazków, satyr, humoresek i karykatur. Z rosyjskiego przełożył Zygmunt Światopelk Słupski. Poznań, 1906. Nakł. Z. Słupskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff. 8-o, str. 148.

GAMASTON (G. KAMIEŃSKI): Fata morgana. Powieść. Warszawa, 1906. Nakł. „Wędrowca.“ Skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 165.

IRZYKOWSKI KAROL: Nowele. Warszawa - Stanisławów, 1906. Skł. gł. w księg. Jana Fiszera. 8-o, str. 182.

JACZEWSKI CEZARY: Oko Ahura-Mazdy, powieść na tle legendy o Zaroastrze. Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 351.

JESKE-CHOIŃSKI TEODOR: Malżeństwo, jakich wiele. Studium powieściowe. Warszawa, 1906. Biblioteka Dzieł Wyborowych № 440. 8-o, str. 135.

KONOPNICKA MARYA: Głosy ciszy. Kraków, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa w Warszawie. 8-o, str. 153.

MISSONA KAZIMIERZ: Dziady, dzieło Adama Mickiewicza w 6 odsłonach, ułożył ... Kołomyja, 1906. Na składzie w księgarni F. Westa w Brodach. 8-o, str. 74 i 4 tablice nut.

MROZOWICKA IRENA: Złote mosty. Powieść. Spółka Wydawn. Polska. Kraków, 1906. 8-o, str. 214.

ODROWĄŻ W.: Dwa szkice. Kraków, 1906. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 147.

PLĄŻEK FELIKS: Elektra. Tragedya. Lwów, 1906. Księgarnia Polska. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Błękitni. Powieść. Warszawa, 1906. Nakł. „Wędrowca.“ Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 434.

— Na wyżynach. Powieść. Nakł. „Wędrowca.“ Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 527.

— Straszny dziadunio. Powieść. Warszawa, 1906. Nakład „Wędrowca.“ Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 139.

ROMANOWSKI MIECZYŚLAW: Wybór pism, wydał Tadeusz Pini. Lwów, 1905. Biblioteka Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Tom I, 8-o, str. 152; tom II, str. 128.

STRZELECKI ADOLF: Jak we śnie. Powieść. Warszawa, 1906. Skład głów. w księgarni A. G. Dubowskiego. 8-o, str. 171.

SUE EUGENIUSZ: Żyd wieczny tułacz. Warszawa, 1906. Nakładem księg. S. Bukowieckiego. 8-o, str. t. I. 205, t. II 202, t. III 209, t. IV 212, t. V 211, t. VI 230, t. VII 143, t. VIII 112, t. IX 166, t. X 182, t. XI 179, t. XII 192.

ZOLA EMIL: *Germinal*. Tłómaczył z francuskiego F. Mirandolla. Lwów, 1906. Nakładem W. Podwińskiego. Skł. główny w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 473.

PUBLICYSTYKA.

GAŁĘZOWSKI JÓZEF: W sprawie Muzeum narodowego polskiego w Rapperswilu, wykaz błędów i niedorzeczności zawartych w broszurze pod tytułem: „Gdzie się podział skarb narodowy, historia miliona narodowego w Rapperswilu.“ Kraków, 1906. Skład głów. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 64.

JEZIORAŃSKI JÓZEF: Sprawa agrarna w Rosyi. Napisał ... Dodatek do „Słowa.“ Warszawa, 1906. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 27.

MOSZYŃSKI JERZY: List otwarty do J. E. ks. bisk. Edwarda Roppa, członka Izby deputowanych w Petersburgu. Kraków, 1906. Skł. główny G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 30 i 1 nl.

NUSBAUM HENRYK D-R: Głos antysyonisty do polskiej inteligencji żydowskiej zwrócony. Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 26.

PIOTROWSKI STANISŁAW: Bezrobocie powszechne. Studium. Warszawa, 1906. Nakładem księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 17.

POTOCKI TOMASZ: Kwestya agrarna w Rosyi. Warszawa, 1906. Skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 35.

ZIMMERMANN K., KS.: Kilka zdań o potrzebie działalności społecznej duchowienstwa Poznań. 1906. Księgarnia św. Wojciecha. 8-o, str. 73 i 1 nl.

ZWIĄZKI KATOLICKIE W NIEMCZECH: Z myśli społecznej III. Warszawa, 1906. Nakł. księg. M. Szczepkowskiego. 8-o podł., str. 52.

SPIS RZECZY
ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM
z roku 1906.

H I S T O R Y A.

WALERYAN ŁUKASIŃSKI, — przez <i>Szymona Askenazego</i>	<i>Str.</i> 1 i 248
SOKOLNICKI I KRUKOWIECKI, — przez <i>Al. Kraushara</i>	479

SZKICE POLITYCZNE.

NA ROZDROŻU, — przez <i>Adama Krasieńskiego</i>	209
---	-----

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

GOSPODARCZE NIEDOBORY NASZEGO KRAJU, — przez <i>Kazimierza</i> <i>Rakowskiego</i>	125
PROBLEMAT AGRARNY, — przez <i>W. Studnickiego</i>	417

L I T E R A T U R A.

NAD GŁĘBIAMI (powieść), — przez <i>Dr. T. Konczyńskiego</i>	31
WROGOWIE (nowella), — przez <i>Aleksandrę Suszczyńską</i>	229
PAMIĘTNIK (powieść), — przez <i>Mariona</i>	446

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

	<i>Str.</i>
O KSIĄŻCE I OKOŁO KSIĄŻKI, — przez <i>M. Konopnicką</i>	52
POD ZNAKIEM TYMCZASOWOŚCI, — przez <i>W. Bogusławskiego</i>	78
H. BALZAC, — przez <i>Wł. Jabłonowskiego</i>	104
O TWÓRCZOŚCI WYSPIAŃSKIEGO, — przez <i>Józefa Kotarbińskiego</i>	293
OPTYMIZM W POWIEŚCI ANGIELSKIEJ, — przez <i>Maryę Rakowską</i>	316
KU HUMANIZMOWI, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	337
IMPROWIZACYA ADAMA MICKIEWICZA, — przez <i>A. Górskiego</i>	511
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	554

R O Z M A I T O Ś C I.

MATERIAŁY DO ZYCIORYSU JOACHIMA LELEWELA, — przez <i>Ka- zimierza Woźnickiego</i>	165 i 351
TEMPUS EDAX? — przez <i>M. M.</i>	574

K R Y T Y K A.

Moje przepawy. Pamiętnik Andrzeja Zamoyskiego. Tom II. Z autogra- fu wydał, opatrzył wstępem i epilogiem Aleksander Kraushar, — przez <i>A. R.</i>	170
ALEKSANDER KRAUSHAR: Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Księga IV. Czasy polistopadowe, — przez <i>A. R.</i>	176
MIECZYŚLAW SROKOWSKI: Krew, — przez <i>Z. D.</i>	180
Pamiętnik literacki. Rocznik IV. Zeszyt IV. Pamięci Mikołaja Re- ja z Nagłowic 1505—1905, — przez <i>Z. D.</i>	183
Powstanie narodu polskiego 1830 — 31 r. w świetle krytyki mocarstw europejskich, — przez <i>A. R.</i>	363
ALEKSANDER KRAUSHAR: Obrazy i wizerunki historyczne — przez <i>A. R.</i>	369
IGNACY CHRZANOWSKI: Marcin Bielski. Studium literackie. 1906, — przez <i>A. R.</i>	375
J. T. Ks. LUBOMIRSKI: Adam Kisiel, wojewoda kijowski, — przez <i>A. R.</i>	379
MAURYCY STRASZEWSKI: Filozofia Św. Augustyna na tle epoki, — przez <i>Dr. Wojciecha Gieleckiego</i>	382
WARSCHAUER: Der polnische Reichstag von 1603 in der historischen Ue- berlieferung und in der Darstellung des Schillerschen Demetrius. Vortrag gehalten in der öffentlichen Sitzung der Historischen Gesellschaft für die Provinz Posen. 1905, — przez <i>A. R.</i>	586
MICHAŁ RAWITA-WITANOWSKI: Kłodawa i jej okolice pod względem hi- storyczno-ludoznawczym, — przez <i>dr-a Emmanuela Świewy- kowskiego</i>	589

MARYA KONOPNICKA: Głosy ciszy, — przez <i>Z. D.</i>	Str. 592
TADEUSZ JAROSZYŃSKI: Miasto. Powieść, — przez <i>Z. D.</i>	595

KRONIKA MIESIĘCZNA.

LIPIEC:

Walka partyjna.—Terror ekonomiczny a bandytyzm.—Perspektywy anarchii. — „Macierz szkolna.“ — Towarzystwo kursów naukowych w Warszawie	186
---	-----

SIERPIEŃ:

Z chwili obecnej.—Projekt samorządu miejskiego.—Instytut pedagogiczny im. Elizy Orzeszkowej.—Młodzież polska zagranicą i konieczność zorganizowania dla niej pomocy materialnej	391
---	-----

WRZESIEŃ:

Chwila obecna. — Wzrost anarchii i przygotowanie gruntu dla rewolucji społecznej. — Towarzystwo opieki nad dziećmi.— Szkoły, zakładane przez Macierz Polską	597
---	-----

NEKROLOGIA.

ALEKSANDER REMBOWSKI, — przez <i>Z. D.</i>	581
--	-----

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

LIPIEC	198
SIERPIEŃ	405
WRZESIEŃ	611

DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIE LIPCOWYM (№ 7): Gospodarka finansowa miasta Warszawy, — przez <i>Stefana Gorskiego</i>	1
PRZY ZESZYCIE SIERPNIOWYM (№ 8): Wartość pieniężna produkcji rolnej gubernii Piotrkowskiej, — przez <i>Jordana Kańskiego</i>	1
PRZY ZESZYCIE WRZEŚNIOwym (№ 9): Prusy zachodnie,—przez <i>A. C.</i>	1